

PRZEPĘDZANIE ZŁA

www.slaskgtl.pl

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

20.
ROK
ZE SŁĄSKIEM

SŁASK

CENA 7 ZŁ (w tym 5% VAT)

Nr 4 (233) • ROK XX • KWIECIEŃ 2015

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

„Rozmowa na 20. lecie”: prof. **DOROTA SIMONIDES**

GRZEGORZ SZTOLER

– Bar zamknięty, muzeum otwarte

BRONISŁAW HUBERMAN – zapomniany geniusz

Proza i poezja:

TADEUSZ

KOZIURA,

JERZY

SUCHANEK

— Kolekcja

jubileuszowa:

JAN

SZMATLOCH



ISSN 1425-3917



9 771425 391509



11 marca w sali koncertowej Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego w Katowicach odbyła się uroczystość nadania tytułu doktora *honoris causa* Uniwersytetu Śląskiego księdzu profesorowi Michałowi Hellerowi – wybitnemu kosmologowi, matematykowi, filozofowi i teologowi, laureatowi nagrody Johna Templetona za pokonywanie barier pomiędzy nauką a religią. Ceremonii przewodniczył JM rektor Uniwersytetu Śląskiego prof. zw. dr hab. Wiesław Banyś. O nadanie najwyższej godności akademickiej po raz pierwszy w historii śląskiej *Alma Mater* wnioskowały aż trzy Rady Wydziałów: Matematyki, Fizyki i Chemii; Nauk Społecznych i Teologicznego. Na zdjęciu od lewej: JM rektor UŚ prof. W. Banyś, prof. Michał Heller i prof. Alicja Ratuszna, dziekan Wydziału Matematyki, Fizyki i Chemii.

21 marca 2015 prezydenci Węgier i Polski odsłanili pomnik Henryka Sławika i Józefa Antalla, który stanął przy Międzynarodowym Centrum Kongresowym. Ślązak Henryk Sławik (1894-1944) i Węgier József Antall senior (1896-1974) podczas II wojny światowej wspólnie uratowali 5 tysięcy polskich Żydów.

„Pragnę wyrazić nadzieję, że pomnik usytuowany w tak niezwykłym miejscu, które samo w sobie jest symbolem nowych czasów i w Polsce, i tu w Katowicach, na Śląsku, będzie działał na naszą wspólną i polską, i węgierską wyobraźnię, budując dalsze zobowiązanie, aby i w przyszłości przyjaźń polsko-węgierską umacniać” – powiedział Bronisław Komorowski podczas ceremonii odsłonięcia pomnika.

Uroczystości związane z obchodami Dnia Przyjaźni Polko-Węgierskiej w Katowicach rozpoczęły się mszą świętą w Archikatedrze Chrystusa Króla pod przewodnictwem metropolity katowickiego abp. Wiktora Skworca.

(Więcej na temat uroczystości na str. 67)



Nagrodę specjalną miesięcznika „Śląsk” w XVI edycji konkursu Górnos Śląskie Kroszonki za swoje miniaturowe, wielkanocne dzieła sztuki, wykonane techniką rytowniczą otrzymał pan Szymon Dylus. Uroczystość wręczenia nagród odbyła się 21 marca 2015 roku. Organizatorem konkursu było Muzeum Górnos Śląskie w Bytomiu. W gronie patronów medialnych tego wydarzenia był miesięcznik „Śląsk”.

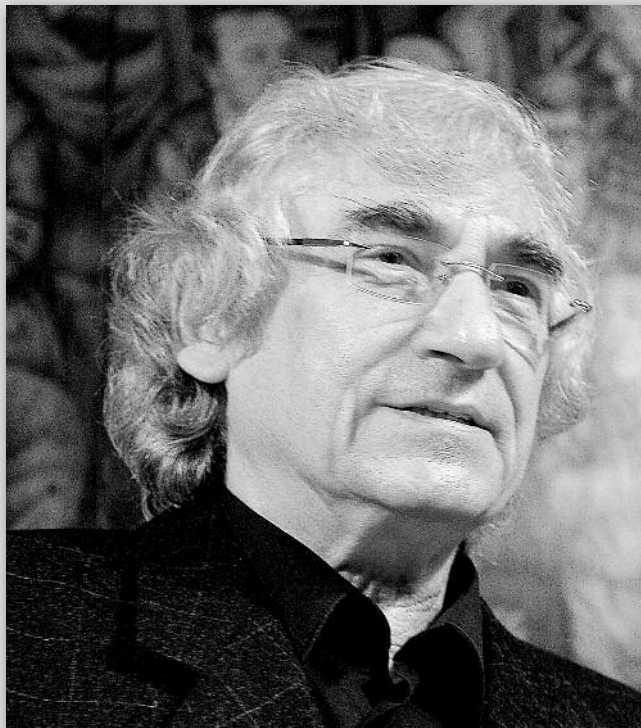
(Więcej o konkursie na str. 64)

Nasz partner



Rybnik. Miasto z ikrą.

FELIKS NETZ (1939-2015)



W niedzielę, 12 kwietnia 2015 roku zmarł Feliks Netz. Odszedł wielki poeta, prozaik, twórca słuchowisk radiowych (m.in. *Pokoju z widokiem na wojnę polsko-jaruzelską* – premiera w 2006 r.), finalista międzynarodowego konkursu radiowego Prix Italia, autor jednego z trzech najlepszych na świecie słuchowisk zrealizowanych w 2006 r. Felietonista, krytyk, tłumacz z języków: rosyjskiego, niemieckiego, angielskiego i węgierskiego. Znanca, komentator i tłumacz dzieł Sándora Máraia.

Ukończył filologię polską na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach, w których mieszkał od 1955 roku. Od połowy lat 60. minionego wieku związany zawodowo ze śląską prasą i radiem. Jego utwory tłumaczone były na język albański, angielski, bułgarski, czeski, hiszpański, macedoński, niemiecki i węgierski.

W ostatniej dekadzie wydał: *Dysharmonia caelestis* (powieść, nominacja do nagrody NIKE), *Cwiczenia z wygnania* (eseje, nominacja do nagrody mediów COGITO), *Trzy dni nieśmiertelności* (poezje). W grudniu 2014 r. ukazał się ostatni tom Jego poezji zatytułowany „Krzyk sowy”.

Od 1995 roku był zastępcą redaktora naczelnego i kierownikiem Działu prozy i poezji miesięcznika „Śląsk”, którego był współtwórcą.

Kochany Feliksie!

Byłeś z nami od pierwszego numeru. Jesteś także i w tym, dla Ciebie ostatnim, w którym zamieszczamy nasze żegnające Cię słowa. „Śląsk” bez Ciebie nie będzie już tym samym „Śląskiem”... Miej dalej baczenie na to, co kochałeś najbardziej – prozę i poezję, i na wszystko, co pojawi się w polskim i światowym kinie. Opisz to Tam skrupulatnie, bo ktoś to lepiej zrobi od Ciebie! Przy redakcyjnym stole zawsze będziesz z Nami... Żegnaj, Przyjacielu!

Rodzinie i wszystkim najbliższym
śp. Feliksa Netza
składamy głębokie wyrazy współczucia

Zespół redakcyjny „Śląska”

Pamięci Feliksa Netza poświęcimy majowe wydanie „Śląska”

Dwie śmierci

Dwie śmierci były w moim domu;
po mieczu: *der Tod – des Schlafes Bruder*;
po kądzieli: śmierć – siostra snu.

Germańska śmierć jest mężczyzną,
w każdym razie rodzaju męskiego,
słowiańska i romańska – kobietą,
w każdym razie jako rzecz Mistrz
Polikarp: przyrodzenia niewieściego;

jest rzeczą godną mężczyzny walczyć
ze śmiercią rodzaju męskiego, nawet,
gdyby, jak u Ingmara Bergmana, polem
bitwy była tylko szachownica;

u Federico Felliniego śmierć zawsze
jest kobietą, zachwyca i zarazem budzi
odrazę, coś pomiędzy Claudią Cardinale
a truchłem;

gdy umierał ojciec, siedziałem przy nim
w ciemności, poddając jego płytkiemu
oddechowi rytm mego dwudziestoletniego
oddechu, jakbym podnosił go, dziecinnie
bezbronnego z ziemi, i chciał mu pomóc
pokonać ostatni odcinek drogi, w ojcu
coś pękło, usłyszałem suchy trzask, tak
pęka stalowa sprężyna doprowadzona do
ostateczności, zerwałem się z krzesła, lecz
ręka w czarnym lśniącem rękawie ugodziła
mnie w pierś, jakby chciała mi powiedzieć,
że mój ojciec nie należy już do mnie, to
był *der Tod*, Pan Śmierć, szedł od niego
silny zapach potu, gdy się poruszył,
osunęły się z niego mokre grudy, Wielki
Kret utrudzony pracą głęboko pod ziemią,
widziałem go, mając pewność, że jest
niewidzialny;

Do mojej matki przyszła Śmierć, siostra
snu, by zarzucić na mnie siedzącego na
skraju łóżka (nie liczącego dni, ni godzin,
jakbym był tutaj i zarazem gdzie indziej),
białą materię, coś jak żaglowe płótno albo
jedwab lub nylon, biel mnie oślepiła, to
zaraz minie, usłyszałem głos, jakby szedł
do mnie z głębi studni bez dna: nie wolno
ci patrzeć, gdy będę wyprowadzać duszę
z ciała twojej matki;

w holu mojego domu, tam gdzie zwykle
wieszam kurtkę i wełnianą czapkę, wiszą
dwie kosy, czasem słyszę jak w nocy jedno
ostrze lekko uderzy o drugie,
jakby mówiły: śpij spokojnie,
jesteśmy,
czuwamy.

Z tomu *Krzyk sowy*, 2014

WYDAWCA:
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO
LITERACKIE W KATOWICACH
TADEUSZ SIERNY

prezes
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13
tel. 32 253-62-21
e-mail: zarzad@slaskwn.com.pl

WSPÓLWYDAWCA:
BIBLIOTEKA ŚLĄSKA
40-021 Katowice, plac Rady Europy 1
tel. centr. 32 20 83 700
informacja: info@bs.katowice.pl
sekretariat: bs@bs.katowice.pl

Redaguje zespół:

DARIUSZ ROTT
Redaktor naczelny

WIESŁAWA KONOPELSKA
Zastępca redaktora naczelnego,
Sekretarz redakcji

KATARZYNA BERETA
Dział krytyki literackiej
portal www.slaskgtl.pl

FELIKS NETZ

Dział poezji i prozy

MARIA SZTUKA
Dział kultury

BOGDAN WIDERA
Dział społeczno-historyczny

WOJCIECH ŁUKA
Dział graficzny

IRENA FALKIN-SIBIGA
Korekta

ADRES REDAKCJI:
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13
tel./fax 32 206-82-71
e-mail: redakcja.slask@onet.pl

DTP: STP „KorGraf”
40-081 Katowice, ul. Dąbrowski 15/12
tel. 32 354-09-88, 32 781-06-48
e-mail: korgraf@korgraf.com.pl

Druk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań
tel. 61 633 71 65

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek
i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku
oraz skracanie korespondencji.

Warunki prenumeraty: poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpośrednio – w sekretariacie Redakcji oraz w urzędach pocztowych. Wpłaty należy dokonywać na konto: GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”, PKO PB SA I O/Katowice 92 102023130000 3302 00202176. Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna – 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział S.A.
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.pl

Cena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Czasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
jest dostępne w wersji elektronicznej
w ŚLĄSKIEJ BIBLIOTECE CYFROWEJ

W NUMERZE:

PUBLICYSTYKA

6. *Dobrava Skonieczna-Gawlik* PRZEPĘDZANIE ZŁA I PRZYWOŁYWANIE WIOSNY
10. „ROZMOWA NA 20. LECIE”
Rozmowa z prof. dr hab. Dorotą Simonides ŚLASK MATECZNIKIEM POLSKI
13. *Grzegorz Sztofer* BAR ZAMKNIĘTY, MUZEUM OTWARTE
18. *Jacek Kurek* BALLADA O JANKU
20. *Henryk Szczepański* KATOWICE ZA RÜPPELLA
24. *Rozmowa ze Stefanem Stellerem* PAWEŁ STELLER – ARTYSTA DEPORTOWANY, PAMIĘĆ PRZYWRÓCONA
30. *Piotr Szalsza* BRONISŁAW HUBERMAN CZYLI PASJE I NAMIĘTNOŚCI ZAPOMNIANEGO GENIUSZA
34. *Adam Regiewicz* PISARZ NA PROWINCJI
38. *Rozmowa ze Zbigniewem Studenckim* MUZEALNIK O SERCU ODKRYWCY
40. *Jerzy Paszek* „EMERYCKI HEDONIZM” POLONISTÓW
42. *Joanna Jurgala-Jureczka* TERAZ JEST BLIŻEJ I SKUTECZNIEJ
44. *Wiesława Konopelska* ZASŁUCHANI.PL
54. XXV LAT RESTYTUCJI SAMORZĄDU TERYTORIALNEGO
Krzysztof Kosiński DRABY MIEJSKIE*
56. *Łukasz Karkoszka* BEKSINSKIEGO EKSPERYMENTY Z FOTOGRAFIA
58. *Jerzy Stankiewicz* OLIVIER MESSIAEN NA ŚLĄSKU
64. *Wiesława Konopelska* MINIATURÓWE, WIELKANOCCNE DZIEŁA SZTUKI

FELIETONY

23. NOTATNIK SPÓŻNIONEGO PRZYBYSZA
Marek S. Szczepański UROKI DYKTATURY
36. PORADNIA JĘZYKOWA
Katarzyna Wyrwas ALE MEKSYK!
37. Z MOICH GÓREK
Witold Turant POTWORY GROŻNE I NIEGROŻNE
66. MIĘDZY NUTAMI
Magdalena Dziadek W 330. ROCZNICĘ URODZIN JANA SEBASTIANA BACHA. WYCIECZKA HISTORYCZNA
75. ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSzcZYZNA
Jan Miodek CLIWOTA W CZAS POWIERUCHY
83. ANEGDOTY HENRYKA BZDOKA
84. Z ZAPISKÓW EMERYTA
Jarosław Starzyk WĄTRÓBKĘ SIĘ SOLI NA KOŃCU

PLASTYKA

46. *Rozmowa z Wernerem Lubosem* KU ŚWIATŁU
49. *Werner Lubos* MALARSTWO I WITRAŻE
50. *Jacek Rybczyński* MALARSTWO
51. POGWARKI ARTYSTYCZNE HENRYKA BZDOKA
Rozmowa z Jackiem Rybczyńskim ... WTEDY POWSTAŁA RZECZPOSPOLITA WAPIENNICZA
60. *ks. Henryk Pyka* WIKTOR OSTRZOLEK – ARTYSTA WPISANY W ŚLĄSKIE SACRUM
84. KOLEKCJA JUBILEUSZOWA „ŚLĄSKA”: JAN SZMATLOCH

TEATR

65. *Witold Kociński* TARAPATY SZALONEJ RODZINY

KSIĄŻKI

69. *Bogdan Widera* KRÓTKO O KSIĄŻKACH
70. *Katarzyna Taluś* DIFFERENTIA SPECIFICA WAŁBRZYCHA
71. *Ewa Bartos* PRAKTYKOWANIE MITU
72. *Katarzyna Niesporek* POETKA CODZIENNOŚCI
73. *Jan Baron* MODLITWY, SOLILOKWIĄ, WIERSZE MILKNAĆE
73. *Roma Jegor* BUŁKI, MLEKO, MIŁOŚĆ

POEZJA I PROZA

3. WIERSZ NA OTWARCIE
Jerzy Suchanek MAKARON
16. *Jerzy Suchanek* WIERSZE
26. *Tadeusz Koziura* MIŁOŚĆ CZĘŚCIOWO NIEŚWIEŻA

EKOLOGIA

62. *Jolanta Karmańska* TOPÓR NAD PARKIEM

STAŁE RUBRYKI

4. ŚLĄSKI MIESIĄC
67. ZNAKI I TWARZE MIASTA KATOWICE. POMNIK PAMIĘCI HENRYKA ŚLAWIKA I JOZEFA ANTALLA ODSŁONIĘTY
68. OPOLSKIE
74. Z ŻYCIA BIBLIOTEK
Grażyna Dittrich SPOTKANIE BIBLIOTEKARZY, NAUCZYCIELI I REGIONALISTÓW

NOTATNIKI KULTURALNE

76. *Wiesława Konopelska* KATOWICE
78. *Jan Picheta* BIĘLSKO
79. *Joanna Kotkowska* CZĘSTOCHOWA
80. *Janusz Wójcik* OPOLE
81. *Maria Szuka* ZAGŁĘBIE
82. *Jacek Sikora* ZAOLZIE

NA OKŁADCE:

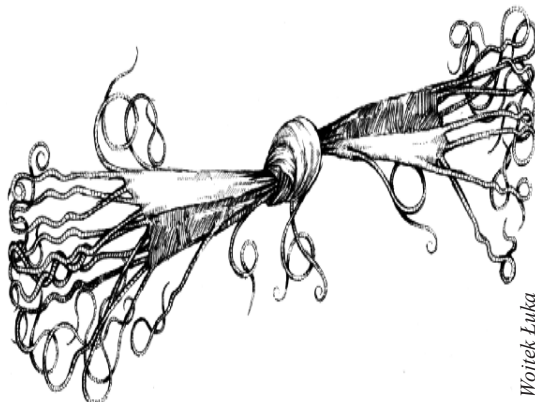
Ewald Gawlik *Ciepło rodzinne*, 1989-1990, olej

JERZY SUCHANEK

Makaron

Jeszcze byliśmy młodzi, choć już był z nami zmarły, Janek, na drugie Krzysztof, po ojcu Adamkiewicz, piliśmy wódkę, do jedzenia były tylko główki cebuli w takim gdańskim garażu, gdzie mieszkawali jeszcze nie-aktorzy, którzy już na niczym się nie znali, wierzyli już-aktorom i powtarzali za nimi role w tej komedii; dzisiaj wstyd wspominać te lata osiemdziesiąte ubiegłego wieku, ojczyzną były owe główki cebuli, Żydzi nie byli wtedy Żydami, jeszcze pamiętali, że to Niemcy, Hegel i Nietzsche ich wymordowali, jeszcze byliśmy razem, nosiliśmy za długie włosy i pożyczaliśmy pieniądze od kolegów ze studiów, którzy mieli etaty i mieszkania poza kolejnością i pierwsi zaczęli strzyc się krótko, bardzo krótko, by nas lepiej strzec; wtedy od tej wódki i cebuli w mojej głowie zagotował się Bałtyk, któryś jeszcze nie-aktor wziął się za gotowanie makaronu i od tamtego brzasku jemy wciąż ten makaron ugotowany w Bałtyku, w mej głowie wrzącym, wewnątrz lat osiemdziesiątych, a te przecież już dawno nie istnieją, nawet wtedy gdy internetowa kamera pokazuje w za długim ujęciu Janka Krzysztofa, poetę, nigdy-aktora, w moim śnie płynącego pod żaglem afisza opery Jesus Christ Super Star prosto i śmiało w burzę, we wrzątek; jeszcze byliśmy, a przynajmniej tak się wydawało, nam i nie nam przy wódce, na którą wydawaliśmy pożyczone pieniądze i cierpliwie czekaliśmy na wydanie reszty, reszty z nas; później z nas zostaliśmy wydalen, czy raczej sami się wydaliśmy i wydaliliśmy, niewydolni, niewydajni, niewydojeni wcześniej; Janku Krzysztofie, Bałtyk ostygł, ale makaron zgrabnie owija widelce i zgrabiałe języki, bo w poezji rozwinęła się turystyka zagraniczna, hoduje się też węgry, oczywiście genetycznie zmodyfikowane, a w ramach tej mody kwitną wrzody, zaś kto nieskory by nie iść na nieszpory traci kolory, bo w jego skóry pory wbijają, co mają: knebelki, skobelki, kołeczki i poprzeczki; Janku Krzysztofie, obudziłem się, choć nie umarłem, jednak nie otworzę okna, w które stukasz, za mało o sobie wiedzieliśmy i wiemy, więc nie uniknęlibyśmy pytań, wielu pytań o butelkę wódki, kilka główek cebuli i paczkę makaronu na stole oraz o już-aktorów dupczących jeszcze nie-aktorów w pory oglądalności.

(pamięci poety Jana Krzysztofa Adamkiewicza)



Rys. Wojtek Łuka

Jerzy Suchanek ur. 1 sierpnia 1953 w Bytomiu, poeta, prozaik, publicysta, animator kultury. Mieszka w Gliwicach.

Zapis wydarzeń
z miesiąca
poprzedzającego
zamknięcie
numera

■ **KOMPANIA Węglowa** psuje rynek sprzedając wydobywany przez siebie surowiec poniżej kosztów – tak twierdzi konkurencja, czyli Lubelski Węgiel Bogdan-ka i Katowicki Holding Węglowy. Obie spółki wyśtosowały w tej sprawie pisma do nadzorującego branżę górnictwem ministra skarbu. Nie wykluczono też interwencji w instytucjach unijnych.

■ **LIBERALIZACJA** w nadawaniu imion dzieciom. Rodzic wybiera i ma – jakie sobie tylko zamarzy. Bo wreszcie można nadawać dzieciom imiona obcego pochodzenia. Może być na przykład Jezus albo Milka. Już nie Piotr a Peter. Nie Gosia, lecz Margaret. Nie Mikołaj, a Nicolas. Niedopuszczalne są jedynie zdrobnienia i imiona ośmieszające.

■ **JAKA** będzie Kompania Węglowa po reformie? Obecnie to bankrut, ale nowe władze spółki wzięły się do roboty – czyli planowania. Wedle ich wizji, z którą oczywiście nie zgadzają się związkowcy (pytanie czy znów będą strajki?) w nowej KW do 2020 roku zmniejszy się zatrudnienie o 8800 osób. Górników zastąpić mają pracownicy firm zewnętrznych (w 2014 roku było ich 2890, w 2020 ma być ponad 7200), a sama Kompania w 2017 roku ma wreszcie przynieść zysk – ponad 2 mld zł przy zakładanej sprzedaży 28 mln ton węgla rocznie. Dla „schłodzenia” pozytywnego zapachu przypomnijmy, że w zeszłym roku spółka przyniosła 2,4 mld zł straty – jest więc na głębokim minusie.

■ **WYBITNY** i lubiany śląski aktor Franciszek Pieczka został z początkiem marca laureatem Orłów 2015, czyli polskich Oskarów, jak nazywa się te filmowe nagrody. 87-letni aktor rodem spod wodziślawskiego Godowa otrzymał nagrodę za Osiągnięcia Życia. Prawie 60 lat spędził na scenie, wystąpił w ponad stu filmach. Kim nie był? Gustlikiem z „Czterech pancernych”, Jańcio Wodnikiem u Kolskiego, żydowskim karcmarzem w „Austerii”, św. Piotrem w „Quo va-

dis”, czy choćby Stachem Japyczem w serialu „Rancho”.

■ **PIERWSZY** w województwie śląskim miejski system bezobsługowych wypożyczalni rowerów, jaki uruchomiono w Bielsku-Białej, zdał pomyślny egzamin. Dlatego oprócz dwunastu istniejących system będzie miał jeszcze sześć kolejnych stacji. A zamiast 120 będzie aż 160 miejskich rowerów. Powstanie także tor dla rolkarzy. Cykliści w innych śląskich miastach mogą jedynie pomarzyć o takich funkcjonalnych luksusach.

■ **MARSZAŁEK** pod ścisłą kontrolą „starego” marszałka? Nowy – od ostatnich wyborów samorządowych – marszałek województwa śląskiego, Wojciech Saługa, ma nowego doradcę ds. specjalnych poruczeń, którym został... poprzedni marszałek, dobrze rozpoznawalny, Mirosław Sekuła. Ma on m.in. nadzorować niekończącą się budowę Stadionu Śląskiego, otwarcie Muzeum Śląskiego i budowę dróg wojewódzkich. Mamy więc marszałków dwóch – pytanie, który ważniejszy?

■ **DUSZPASTERSTWO** akademickie w Rybniku chwali się, że otwiera pub – i że to niby pierwsza taka inicjatywa w kraju. Jednak w zasadzie to nie pub będzie, bo piwa tu nie uświadczysz, a zwyczajna kawiarenka. Chociaż inicjatorzy tego szlachetnego skądinąd przedsięwzięcia głęboko wierzą, że jednak pub... Nieważne. Ważne to, że ludzie (młodzi zwłaszcza) chcą się spotykać i rozmawiać.

■ **MODERNIZACJA** zabytkowych murów rybnickiej bazyliki wraz z adaptacją jednej z dwóch wież na taras widokowy kosztowała pięć milionów złotych. Tyle dała Unia Europejska, miasto dołożyło kolejne pół miliona. Szkoda więc, że panoramę Rybnika podziwiają nieliczni, bo dostęp na wieżę jest utrudniony. Trzeba się specjalnie umawiać, prosić [a kto to lubi?]. Taras widokowy miał być ogólnie dostępny, a niestety – nie jest.

■ **GEBURSTAG** z Janoschem świętowany w Zabrze. Genialny śląski – choć zamieszkały na Teneryfie – pisarz, malarz i rysownik, Horst Eckert, obchodził 11 marca 84. wiosnę. Z tej okazji udało się pani Angeli Bajorek stworzyć genialną (i szczerą) biografię autora „Cholonka”. Nosi ona tytuł „Heretyk z familoka”. Nic dodać, nic ująć.

■ **KOSMOLOG**, wybitny filozof i teolog, ksiądz profesor Michał Heller otrzymał tytuł doctora honoris causa Uniwersytetu Śląskiego.

■ **WYBRANY** ponownie na przewodniczącego Ruchu Autonomii Śląska dr Jerzy Gorzelik zapowiedział utworzenie po jesiennych wyborach parlamentarnych Śląskiej Partii Regionalnej, która – jak sam stwierdził – „po-

winna objąć śląskie środowiska od Związku Górnośląskiego po mniejszość niemiecką” z samorządowcami włącznie. Ale właśnie z tym jest problem. Wszyscy mówią o śląskiej jedności po swojemu.

■ **WYŻSZY** Urząd Górnictwa zamierza objąć rygorystycznym dozorem podziemne trasy turystyczne w całej Polsce. WUG zażąda m.in. zatrudnienia kierownika ruchu zakładu. I mimo dwuletniego okresu przejściowego, niektóre z podziemnych obiektów turystycznych mogą po prostu zostać zamknięte, bo wprowadzenie zmian jest kosztowne. Na liście obiektów, które mają zostać objęte dozorem górnictwem, jest 16. tras podziemnych z całej Polski, cztery z nich znajdują się w naszym regionie (kopalnia i sztolnia w Tarnowskich Górach, kopalnia Guido, Sztolnia Królowa Luiza w Zabrze).

■ **KATOWICE** nie stały się Europejską Stolicą Kultury, ale mają szansę zostać światową stolicą kultury, a może bardziej rozrywki... wirtualnej. Już po raz drugi organizowane są tu bowiem światowe igrzyska gier komputerowych Intel Extreme Masters, na które – nie trzeba dodawać – ciągną rzesze przeważnie młodych fanów. I czekają cierpliwie w wielogodzinnych kolejkach – na wejście. Oplaca się, bo pula nagród wyniosła aż 2 mln zł. Na świecie nie ma większego turnieju e-sportowego. Imprezie towarzyszyły targi rozrywki elektronicznej Intel ESL Expo.

■ **MARSZAŁEK** nie zgodził się na powieszenie tablicy na ścianie skoczowskiej szkoły, która mieści się w dawnym domu Herberta Czai. Tablica miała właśnie o tym informować i podkreślać, że był orędownikiem „porozumienia pomiędzy Niemcami a ich wschodnimi sąsiadami”. Inicjatywa Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Niemców w Raciborzu nie spotkała się jednak z pozytywnym odbiorem. Spora część opinii publicznej i lokalnych polityków wytknęła hitlerowski epizod w zyciorysie „zasłużonego” – pomagał on nazistom w likwidacji Uniwersytetu Jagiellońskiego. No i przecież działalność Czai w Ziomkostwie Górnoślążaków, czy w Związku Wypędzonych odbija się dotąd czkawką...

■ **PANTEON** wybitnych Ślązaków w podziemiach katowickiej katedry zamarzył się śląskiemu metropolicie abp. Wiktorowi Skwrcowi. Zdradził go na łamach „Dziennika Zachodniego”. To pomysł godny jak na 90-lecie powołania diecezji katowickiej, z bliską perspektywą jej jubileuszu. Tylko czy znów nie skończy się na kłótniach – kogo warto upamiętniać?

■ **PIERWSZE**, nagłośnione w mediach, ćwiczenia mobilizacyjne za nami. W poniedziałek, 23 marca, ok. 500 żołnierzy rezerwy otrzymało w ramach szkolenia wezwania do stawienia się w tamogórskim 5. Pułku Chemicznym. Przyszli niemal wszyscy i to dośry chętnie. Miejsce ćwiczeń do ostatniej chwili było owiane tajemnicą. W tym roku wojsko planuje jeszcze powołać 12 tysięcy rezerwistów na obowiązkowe ćwiczenia. Choć głośno się tego nie mówi, wszyscy wiedzą, że szykujemy się na Putina. Tak na wszelki wypadek, gdyby przyszedł...

■ **OGŁOSZONO** wszem i wobec rozpoczęcie operacji Big Lift 2, czyli dokończenia zadania Stadionu Śląskiego. Podjęła się tego zadania niemiecka firma Pfeifer: Seil-und Hebetechnik, za 70 mln zł. Prace miałyby się zakończyć w pierwszej połowie 2016 roku, a postęp prac można będzie śledzić przez kamery internetowe. Oby ten serial miał wreszcie koniec...

Z wielkim smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci
w dniu 12.04.2015

Feliksa Netza

współzałożyciela Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego
i miesięcznika „Śląsk”,
wieloletniego zastępcy naczelnego redaktora tego czasopisma
i kierownika Działu poezji i prozy,
wybitnego tłumacza, poety i prozaika,
naszego nieocenionego mentora i przyjaciela.

Wyrazy szczerego współczucia Rodzinie i Przyjaciółom
składa

zarząd Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego

Drodzy Czytelnicy

Wkrótce minie rok od momentu, gdy miałem przyjemność objąć redakcję naszego miesięcznika. To jeszcze nie czas na jakieś szczególne podsumowania, zwłaszcza w kontekście długiego trwania czasopisma, które w tym roku obchodzi swoje dwudziestolecie. Naszemu jubileuszowi towarzyszy kolekcja plastyczna, w której tym razem gościmy profesora Jana Szmatlocha. Z tej też okazji kilka miesięcy temu zainaugurowaliśmy cykl rozmów na dwudziestolecie. W numerze majowym zachęcam szczególnie do spotkania z profesorem Dorotą Simonides. W ogóle numer majowy obfituje w ważne rozmowy – Marek Lyszczyna, kurator wystawy w Muzeum Historii Katowic „Paweł Steller – artysta deportowany”, rozmawia z synem katowickiego artysty, zesłanego w 1945 roku do Kamerowa na Syberii, Stefanem Stellerem, a Maria Sztuka – ze Zbigniewem Studenckim, który przez trzydzieści lat (od początku istnienia do 30 marca bieżącego roku) kierował Muzeum w Sosnowcu. Dziękujemy Panie Dyrektorce! Zachęcam ponadto do lektury rozmowy z malarzem i autorem projektów witraży profesorem Wernerem Lubosem. Wiesława Konopelska omawia dwa konkursy, których byliśmy patronami, a Łukasz Karkoszka pisze o wystawie i niezwyklej publikacji wydanej przez Muzeum w Gliwicach. Jest to kilkaset listów Zdzisława Beksińskiego pisanych do Jerzego Lewczyńskiego od 1957 roku we wzorcowym opracowaniu Olgi Ptak (ponad siedemset stron pasjonującej lektury!). Piotr Szalsza natomiast przypomina postać urodzonego w Częstochowie wybitnego skrzypka i pedagoga Bronisława Hubermana, m.in. założyciela Filharmonii w Tel Awiwie. W dalszej części numeru doktor Jacek Kurek pisze o Janie „Kysie” Skrzeku, zmarłym 29 stycznia. Bez niego i jego twórczości Śląsk jest uboższy...

Kilka miesięcy temu zaproponowałem wszystkim członkom naszego zespołu redakcyjnego pisanie „rotacyjnego” wstępniaka. Sporym zainteresowaniem Czytelników cieszył się zwłaszcza tekst redakcyjny zaproponowany przez Wojciecha Łukę w formie komiksu. Na naszym profilu w „książce twarzy”, jak to określił Marek Bieńczyk, odnotowaliśmy już nieco ponad 750 osób, które deklarują, że nas lubią, a strona internetowa www.slaskgtl.pl bije wszelkie rekordy popularności – w ciągu zaledwie kilku miesięcy, bez pozycjonowania, znacznie przekroczyliśmy liczbę 50 tys. wejść na stronę. Dziękujemy. Po raz kolejny podkreślę, że staramy się, by nasze czasopismo spełniało wysokie standardy dziennikarskie i regularnie gościło w Państwa domach, tym bardziej cieszą nas bardzo dobre opinie o dwóch ostatnich „półmonograficznych” numerach – marcowym (w którym dominowała problematyka urbanistyczna) i kwietniowym (skandynawskim). Bardzo serdecznie dziękuję w tym miejscu całemu zespołowi redakcyjnemu, gronu naszych współpracowników oraz tym wszystkim, którzy podejmują się trudu druku, składu, dystrybucji i sprzedaży miesięcznika. Wszak bez Was nie byłoby „Śląska”. Przy okazji proszę wszystkich Państwa o sygnały, gdzie nie można go kupić lub gdzie jest niewystarczająca liczba egzemplarzy, ponieważ chcielibyśmy znacząco usprawnić dystrybucję (redakcjaslask@onet.pl).

DARIUSZ ROTT

P.S. W chwili zamykania numeru nadeszła wiadomość o śmierci red. Feliksa Netza. To wielka strata dla polskiej kultury, dla nas niepowetowana.



Niedziela Palmowa, Gilowice 2006

Przepędzanie zła i przywoływanie wiosny

DOBRAWA
SKONIECZNA-GAWLIK

W zwyczajach i obrzędach wiosennych występujących wśród ludności rodzimej w granicach województwa śląskiego zachowało się do dnia dzisiejszego немало elementów reliktowych.

Wiele ze zwyczajów występuje w każdym z poszczególnych regionów województwa (Górny Śląsk, Zagłębie Dąbrowskie, Śląsk Cieszyński, Beskid Śląski) acz często w nieco innej formie

lub czasie. Natomiast inne obrzędy charakterystyczne są tylko i wyłącznie dla mniejszego terytorium: parafii, kilku wsi, gminy. Jednakże wszystkie zwyczaje wiosenne silnie są powiązane z wierzeniami agrarnymi, hodowlanymi a w podejmowanych zabiegach magicznych szczególną rolę zawsze odgrywała woda i ogień.

Wiosenne czynności ludzi podporządkowane są oczyszczeniu – z jednej strony skupiają się na rytualnym niszczeniu zła, chorób i zimy z drugiej na pobudzeniu do życia, wegetacji. Zło było najczęściej upostaciowane np. w słomianej kukle (*marzanna*, *marzaniok*, *Judasz*) którą należało zniszczyć paląc ją lub topiąc. Zło starano się również odpędzić hałasem za pomocą dźwięku *kołatki*, *klekotki*, bądź wystrzałów z tzw. *moździerz*y. Z drugiej strony czyniono zabiegi mające przywołać wiosnę: wnoszono do wsi *gaik* (*maik*) – wiecznie zielone drzewko, chodzono z *kogutkiem* (figurka koguta umieszczona na dwukółowym wózku), *traczykiem*, czyli pomalowanym na zielono wózkiem pełnym gałązek bukszpanu z umieszczonym w środku barankiem, oblewano się wodą i smagano gałązkami wierzbowymi.

Przygotowania do nadejścia wiosny rozpoczynały się wraz ze Środą Popielcową, zaczynając czterdzieści dni postu trwającego aż do Niedzieli Wielkanocnej. Niegdyś był to czas, w którym nie spożywano potraw mięsnych, żadnych tłuszczów, słodczy a nawet mleka. Zgodnie z naukami Kościoła w czasie poprzedzającym Wielkanoc unikano również picia alkoholu, nie urządzano weseli i zabaw. Z jednej strony Wielki Post był okresem religijnego przygotowywania duszy, a z drugiej strony miał uzasadnienie zupełnie prozaiczne: był to czas przednowku, czyli moment, w którym kończyły się zapasy żywności zgromadzone jesienią. Być może religijne uzasadnienie przymusowego ograniczenia jedzenia, dla wielu ludzi czynił post łatwiejszym do zniesienia?

Każda z niedziel poprzedzających Wielkanoc nosiła, dziś już zapomniane nazwy. I tak na Śląsku była to niedziela *głucho* (*tlusto*), *czorno*, *bielo* (*śródporno*), *marzanio* (*gajowo*), *palmiano* (*kwietnio*). Natomiast w Zagłębiu Dąbrowskim: *Niedziela Wstępna* (I niedziela postna), *Sucha* (II niedziela postna), *Głucha* (III niedziela postna), *Śródporna* (IV niedziela postna), *Niedziela Męki Pańskiej* (V niedziela postna) i *Niedziela Palmowa* (VI niedziela postna).

W niedzielę *marzanią* miało miejsce topienie *marzanny* symbolizującej zło, choroby i zimę. Była to słomiana kukła ubrana w strój kobiety i osadzona na żerdzi. *Marzannę* w pochodzie, śpiewając pieśni, niesiono prze wieś, poza granicę po czym rozbierano i wrzucano do rzeki bądź stawu. Gdy nie było możliwości topienia *marzanny* – palono ją. W niektórych wsiach po unicestwieniu



Judasz, Skoczów 2007



Turki w procesie po rezulekcji, Koziegłówki 2014



Procesja konna, Ostropa 2013

słomianej kukły, jako symbolu wszystkiego co złe wnoszone do wsi *gaik* (*moik*) – zielone drzewko ustrojone wstążkami, czasami wydmuszkami (Śląsk Cieszyński), jako symbol życia i odradzającej się przyrody. Obecnie zwyczaj topienia *marzanny* przeniesiony został na początek kalendarzowej wiosny czyli 21 marca zatracając swój pierwotny, magiczny charakter i przeradzając się w zabawę dzieci w wieku szkolnym.

W szóstą niedzielę postu następuje w kościele, na pamiątkę wjazdu Chrystusa do Jerozolimy, poświęcenie specjalnie przygotowanych palm, dlatego też niedziela ta nazywana jest *Wierzbną*, *Kwietną* lub podobnie jak w całej Polsce – *Niedzielą Palmową*. Palmy wielkanocne w zależności od regionu, różniły się pomiędzy sobą. Spotykamy więc palmy w kształcie niewielkich wiązanek, palmy wite (dochodzące nawet do 3 metrów wysokości) lub palmy rosochate (z rozwidlonej wierzbowej gałęzi). Oprócz wierzbowych gałązek zwanych *baziami*, *kocankami*, *kotkami*, w skład palmy mogły wchodzić inne rośliny takie jak: cis, sosna zwyczajna, jałowiec, brzoza, bukszpan, trzcina pospolita a także borówka brusznica. Całość czasem udekorowana była suchymi bądź bibułkowymi kwiatami, zasuszonymi kłosami zbóż, traw i wstążkami.

Gałązka wierzbowa jest symbolem życia dlatego też smagano się nią co miało dać siłę i zdrowie. Michał Federowski, pod koniec XIX wieku wspomina „młodzież płci obojga od samego poranka ugania się za sobą z gałązkami wierzbowymi, którymi chłostając się wykrzykują: nie ja bije, wierzba bije!”. Zwyczaj smagania się wierzbowymi gałązkami w kwietną niedzielę wprawdzie zanikł, ale jeszcze w latach powojennych dzień ten obfitował w różne praktyki, często o charakterze magicznym, mające na celu zabezpieczyć ludzi, zwierzęta i całe domostwo od wszelkiego zła i nieszczęścia. Ważne było aby poświęconą palmę przechowywać w do-

mu przez cały następny rok. Umieszczano ją za obrazami świętych, nad drzwiami lub w postaci zrobionych z palemki krzyżyków na ścianach domostw. Wierzono, bowiem, że palma wielkanocna uchroni dom od piorunów, krowy od uroku i czarownic odbierających mleko, a poświęcone rośliny podane w postaci naparu pomogą choremu człowiekowi lub zwierzęciu. Palmy używano także do okadzania krów, wkładano do uli i gniazd gęsi, podawano do zjedzenia psu, aby zabezpieczyć go przed wścieklizną. Ponadto krzyżyki zrobione z gałązek wierzby wtykano w ziemię na polu, co miało uchronić pole przed gradobiciem i zapewnić dobry plon. Wierzono, iż kawałki palmy wrzucone do ognia podczas silnej nawałnicy rozpedzą chmury i przywrócą pogodę a palma położona pod łóżkiem chorego pozwoli mu szybciej powrócić do zdrowia. Do dnia dzisiejszego wielu mieszkańców województwa śląskiego uważa, że palmy, jako poświęconej w kościele nie wolno wyrzucać, można ją jednak spalić lub wynieść na strych albo innego pomieszczenia gospodarczego gdzie samostnie ulegnie zniszczeniu.

Niedziela Palmowa jest wstępem do Wielkiego Tygodnia – po niej rozpoczynają się intensywne przygotowania do Wielkanocy. Zazwyczaj początek tygodnia przeznaczony był na sprzątnięcie domu, obejścia i zabudowań gospodarczych, natomiast od Wielkiego Czwartku przystępowano do przygotowania, pieczenia i gotowania potraw na świąteczny stół. Gospodynie wypiekały chleb, baby, kołaczki, robiły masło, przygotowywały mięsa i szynki oraz barwiły i zdobiły jajka.

Oprócz prac domowych Wielki Tydzień przeznaczony był na wiele praktyk religijnych i magicznych. W Wielką Środę zwaną na Górnym Śląsku *żurowo strzoda* miało miejsce palenie śmieci, starych szmat, zniszczonego sprzętu oraz tzw. *pomietel* (Śląsk Cie-

szyński), *żuru*, *skrobaczek*, *skoczek* (Górny Śląsk) czyli starych, zużytych brzożowych mioteł. O zmierzchu chłopcy wychodzili na pola z zapalonymi miotłami, dodatkowo oblanymi smołą bądź żywicą i biegali z nimi do momentu kiedy się nie wypaliły. Palenie *żuru* w niektórych wsiach śląskich odbywało się również w Wielki Czwartek.

W Wielką Środę, Czwartek lub Sobotę w niektórych miejscowościach na Śląsku miało miejsce chodzenie z *Judaszem* (*Judoszem*) – słomianą kukłą ubraną w męskie łańchmany. *Judasza* karano za zdradę Chrystusa zrzucając go z dachu, dachu wysokiego budynku, wieży lub dzwonnicy, następnie objano kijami a pozostałości palono.

Po czwartkowej porannej mszy następuje w kościele tzw. „zawiazanie dzwonów”, których głos zastępowały *kołatki*, *klekotki*, *turkotki* i *kłapaczki*. Dźwięk drewnianych *kołatek* można było usłyszeć kilka razy w ciągu dnia, kiedy to chłopcy, najczęściej ministranci, obchodzili z nimi kościół wzywając na nabożeństwo. Do dnia dzisiejszego w wielu miejscowościach województwa śląskiego od Wielkiego Czwartku do Wielkiej Soboty można zobaczyć grupy chłopców chodzących z *kołatkami*.

W czwartek poprzedzający Wielkanoc na Śląsku Cieszyńskim czyniono różne zabiegi mające przyczynić się do urodzaju w gospodarstwie. Potrząsano więc drzewkami owocowymi aby pobudzić je do lepszego owocowania, rozpoczynano siew lnu oraz jęczmienia.

W powiecie będzińskim zachował się ciekawy zwyczaj nazywany „pękanie skał”. Przez cały okres Triduum, aż do nabożeństwa rezurekcyjnego na polanach zbiera się młodzież by strzelać karbidem z „bańki po mleku”. Głośne wystrzały symbolizują „pękanie skał”, którymi przywalony był grób Jezusa”. Zwyczaj ten będąc niegdyś praktykowanym w wielu wsiach dziś spotykany jest jedynie sporadycznie.

Z Wielkim Piątkiem nieodłącznie związana jest adoracja Bożego Grobu. W wielu miejscowościach do dziś zachował się zwyczaj trzymania straży przy grobie Chrystusa przez organizację kościelne, harcerzy oraz strażaków. Ewenementem na skalę województwa śląskiego jest straż grobowa w parafii w Koziegłówkach oraz Winownie tzw. *Turki*. Są to postacie w kolorowych strojach, z wysokimi czapkami ustrojonymi pasanterią, świecidełkami i kwiatami, z maskami zasłaniającymi twarze, włosami z konopi, w rękach trzymający drewniane ustrojone, barwne piki.

Powszechnym zwyczajem wielkopiątkowym było obmywanie się przed wschodem słońca w strumieniu, rzece lub potoku. Wierzono, bowiem w uzdrawiające i zapobiegające chorobom skóry właściwości wody zaczerpniętej w Wielki Piątek. Wodą tą obmywano

Fot. Robert Garsvika



Obchód z tragacykiem, Borucin 2012

także chorych a nawet zwierzęta, wyparzano również masielnice aby zapewnić dobry smak masła i trwałość *masnički*. Piątek jest dniem „żałoby”. W dniu tym starano się mówić cicho, zachowywać spokojnie, osłanianie nawet kirem lustra. Ponadto w Wielki Piątek surowo przestrzegano postu nie tylko wyrzekając się mięsa i tłuszczu, ale również spożywając jeden skromny posiłek w ciągu dnia. Tego dnia nie należało wykonywać żadnych ciężkich prac – istniał zakaz rąbania drewna i szycia – czynności te, bowiem przysporzyłyby cierpienia Chrystusowi. Dzień ten, przeznaczony był przede wszystkim na przygotowywanie świątecznych potraw. W Wielki Piątek wypiekano słodkie drożdżowe baby, kołaczki, semiki, makowce oraz baranki z ciasta. Malowano, drapano, oklejano jajka – symbol życia i niezbędny atrybut Wielkiej Nocy. Jaja najczęściej farbowano w łupinach cebuli uzyskując w ten sposób skorupkę w kolorach od złotego do brązowego. Jako barwnik stosowano również kwiaty malwy, odwar z buraków, pędy młodego żyta a na gładkiej kolorowej skorupce wydrapywano wzory. Skorupki jaj ozdabiano także za pomocą wosku a następnie farbowano. Jajka oklejano również rdzeniem z sitowia, kolorową włóczką i skrawkami tkanin.

Zgodnie z tradycją w Wielką Sobotę (niegdyś już w Wielki Piątek wieczorem lub w niedzielny poranek) wierni udają się do kościoła, aby ksiądz po odmówieniu modlitwy poświęcił przyniesione pokarmy. Chociaż zwyczaj ten w niektórych wsiach zanikał by, najczęściej pod wpływem księży, znów się pojawiać nasi pradziadowie do koszyka (tzw. *kobialki*) lub drewnianej niecki wkładali chleb, szynkę, kielbasę, wędzonkę, jaja, ciasto, ser, chrzan oraz sól. Czasami w koszyku znalazła się również buteleczka octu lub wina. Pokarmy przykrywano białą serwetką i ozdabiano zielonymi gałązkami bukszpanu lub barwinku. W niektórych rejonach obecnego województwa śląskiego nie zanoszono pokarmów do poświęcenia do kościoła lecz księża chodzili lub objeżdżali domy wiernych by poświęcić wielkanocny stół, za co obdarowywani byli przez parafian jajkami.

W Wielką Sobotę w kościele ma miejsce również ceremonia święcenia ognia i wody. Od palącego się przed kościołem ogniska ksiądz zapala paschał, który następnie wnosi do kościoła. Wierni zgromadzeni w świątyni zapalają od paschału, a następnie jeden od drugiego przyniesione ze sobą gromnice bądź inne świece, które potem zanoszą do domu. Jeszcze w pierwszych latach po drugiej wojnie światowej istniał zwyczaj wkładania do poświęconego ognia drewniek złożonych w krzyż. Opalone krzyżyki zatykano później na krańcach pól w drugi dzień świąt. Wierzono, iż uchroni to pola przed klęskami żywio-



Święcenie pokarmów, Sosnowiec 2012

lowymi i zapewni urodzaj. Również kilkadziesiąt lat temu do naczynia ze święconą wodą wrzucano „węgielki” powstałe ze spalonego na stosie drewna. Dlaczego to czyniono – nikt już dzisiaj nie potrafi wyjaśnić.

Sobotnie święcenie wody ma miejsce w kościele, przed ołtarzem. W czasie mszy następuje także odnowienie przyrzeczeń chrzcielnych. Dawniej święconą wodą gospodarze kropili bydło przed pierwszym wypasem, zboże przed siewem i ziemniaki przed sadzeniem.

Dzień Zmartwychwstania Pańskiego rozpoczyna msza rezurekcyjna odprawiana w niedzielę wcześniej rano, po której zasiadano do wielkanocnego śniadania. Gdy rezurekcja miała miejsce w sobotni wieczór spożywano uroczystą wieczerzę składającą się ze święconego. Popularny dziś zwyczaj dzielenia się jajkiem i składania życzeń niegdyś nie był na Śląsku powszechnie znany.

Dawniej w Niedzielę Wielkanocną nie należało ścielić łóżek, zamiatać podłogi, myć naczyn, wykonywać czynności w gospodarstwie, które nie były konieczne a w niektórych regionach także rozpałać ognia pod kuchnią czy przygotowywać obiadu. Nie odwiedzano się nawzajem twierdząc, że od tego mogą powstać wrzody zwane *bolączkami*.

Zwyczajem, który przetrwał do dnia dzisiejszego w pojedynczych wsiach, jest konna procesja objeżdżająca w pierwsze lub drugie święto okoliczne pola. Objazd pól miał zapewnić urodzaj.

Poniedziałek Wielkanocny kontrastował swym charakterem z poprzednimi dniami. Bawiono się, radowano, ucztowano i wzajemnie się odwiedzano. Dzień ten nazywano *mokrym poniedziałkiem*, *śmigusem*, *dyngusem*, *śmirgustem* albo *lanym poniedziałkiem*. Do chwili obecnej świąteczny poniedziałek związany jest ze zwyczajem oblewania wodą a w niektórych regionach (np. na Śląsku Cieszyńskim) także ze sma-

ganiem wiklinowymi witkami. Chłopcy odwiedzali domy w których mieszkały panny. Aby polać je wodą używali wiader, konewek, garnków i drewnianych sikawek. Nierzadko zdarzało się, że dziewczyna wrzucana była do pobliskiej wody: rzeczki lub stawu. Jednak żadna z „pokrzywdzonych” nie obrażała się, gdyż zmoczone ubranie świadczyło o powodzeniu dziewczyny, było wyrazem przyjaźni chłopców i powodem zazdrości innych dziewczyn.

Za *dyngowanie* na całym Śląsku dziewczęta obdarowywały chłopców malowanymi jajkami a w niektórych regionach także *murzynem*, kielbasą (wędzonką) zapiekaną w białym cieście.

W niektórych częściach Śląska, zwłaszcza Cieszyńskiego a także na pewnych obszarach Zagłębia Dąbrowskiego w drugi dzień świąt Wielkiej Nocy obchodzono domy z *gaikiem* (*moikiem*, *latoroślą*, *nowym latkiem*) – zieloną gałązką ustrojoną wydmuszkami, paseczkami z kolorowego papieru, bibuły. W Zagłębiu istniał także zwyczaj chodzenia z *traczykiem*, czyli pomalowanym na zielono wózkiem pełnym gałązek bukszpanu z umieszczonym w środku barankiem. Natomiast na Górnym Śląsku znany był niegdyś zwyczaj chodzenia z *kokotkiem* – drewnianym kogutkiem umieszczonym na obrotowej tarczy przymocowanej do dwukołowego wózka.

Czas Wielkanocy to także „prognoza” pogody, której pomyślność dla zbiorów przepowiadały przysłowia: *Jak na Wielkanoc pada to trzeci kłos w polu przepada*, *Jaka w dzień Zmartwychwstania pogoda, tyle chłodu i deszczu czerwiec pada*, *Pogodny dzień wielkanocny, grochowi wielce pomocny*.

Autorka jest kustoszem Muzeum „Górnośląskiego Parku Etnograficznego w Chorzowie”.



Z prof. DOROTĄ SIMONIDES rozmawia KATARZYNA BERETA

Śląsk matecznikiem Polski

– Z domu rodzinnego i środowiska górniczego wyniosła Pani Profesor etos pracy i hierarchię wartości, które zawsze pozwalały na wybór właściwego kierunku postępowania. Czy obecnie mamy nadal do czynienia z takim etosem?

– Niestety, ze smutkiem obserwuję, jak on zanika. W niektórych rodzinach dąży się jeszcze do wychowania dzieci zgodnie z nim. Jednak stwierdzam, że rodzice, szkoła, a nawet niektórzy księża zbyt mało uwagi przywiązują do kształtowania podstawowych wartości u młodych. Myśmy ten etos niejako wyssali z mlekiem matki. To było takie oczywiste. Nas wychowywało całe otoczenie, nie tylko rodzice (w moim wypadku cała wspólnota nikiżowska). Dziś każdy boi się zwrócić uwagę młodemu, bo może być za to w różny sposób zaatakowany. Wolimy mieć oczy zamknięte. Dawniej obowiązkiem nie tylko rodziców, ale krewnych i sąsiadów, było uczenie szacunku do drugiego człowieka, jego pracy, własności, a nawet w tamym czasie poszanowania przyrody. Dzieciom zabraniano zanieczyszczania rzek, plucia do nich, obrywania liści, kopania w drzewa itp. Powiedziabym wręcz, że obecnie dochodzi nie tylko do powolnego znikania tamtego etosu, ale do zderzenia się dwóch zupełnie odmiennych światów. Niestety, coś się skończyło!

– W ostatniej Pani książce *Szczęście w garści* napisała Pani Profesor, że „familok to była wspólnota miejsca”. Czy w dzisiejszym świecie obserwuje Pani jakieś wspólnoty, które byłyby podobne do tamtej, a może świat stał się jedynie zbiorowiskiem anonimowych, często obojętnych, a czasami nawet wrogich ludzi?

– Tak całkiem nie. Jednak w Nikiżowcu, z którego pochodzę, nie było nikogo, kto by nie znał nas, czyli Badurów, a my znaliśmy wszystkich innych. Anonimowość była zupełnie obca. Przyczyną była nie tylko wspólnota miejsca. Nasi ojcowie pracowali bowiem w tej samej kopalni, matki kupowały w tych samych sklepach, prały w tej samej pralni zbudowanej dla rodzin górniczych, maglowały w tym samym maglu, wszyscy chodziliśmy do tego samego kościoła, dzieci do tej samej szkoły i bawiły się wspólnie na podwórkach familoków. Była to więc wspólnota nie tylko miejsca, ale przestrzeni rodzinnej, kopalnianej, szkolnej i religijnej. Pomiedzy dziećmi była taka więź, że gdy z innego familoka ktoś pobił kolegę z naszego podwórka, to cała grupa stawała za poszkodowanym. Szkoła, w której uczyły się dzieci całej osady, integrowała i usuwała waśnie pomiędzy uczniami poszczególnych podwórek familoków. Także w kościele odbywała się społeczno-religijna integracja.

Wie współczesnych blokowiskach brak możliwości tworzenia się takich wspól-

not, gdyż poszczególne rodziny nie znają się, pochodzą z różnych regionów, brak wspólnego miejsca pracy i pracodawcy. A zatem jest już trochę tak, że żyjemy w jakiejś globalnej wiosce, w której się nawzajem nie znamy. Ta anonimowość jest, moim zdaniem, powodem tego, że ludzie nie szanują się nawzajem, nie pozdrawiają, nie pomagają sobie, często się nawet nawzajem boją.

W kilkurodzinnych domach istnieje jeszcze możliwość bliższej znajomości i nawiązania więzi sąsiedzkich. Mieszkam w takim domu. Jest nas tutaj pięć rodzin. Spotykamy się przy kawie lub winku, dzielimy się opłatkiem, pomagamy sobie nawzajem w razie potrzeby. Stanowimy lokalną wspólnotę.

– Czy jest szansa na renesans takiej wspólnoty w szerszych kręgach społecznych, bo przecież jej potrzeba jest w nas pierwotna, a gromadzenie się i budowanie więzi stanowi o naszym człowieczeństwie?

– Jest to możliwe, ale bardziej przenieśliśmy tę wspólnotę na przyjaźnie i więzi w pracy. Tam jest małe grono i jeżeli nie ma wyścigu szczurów, a jest atmosfera, w której ludzie sobie nawzajem pomagają, to taką wspólnotę zbudować jest łatwiej. Koleżanka koleżankę może wówczas poprosić np. o przypilnowanie dziecka. Koledzy z pracy zapraszają się też wzajemnie do swoich domów, do restauracji, na wspólne wyjazdy. Czasami prosi się nawet przyjaciółkę z pracy o zostanie chrześną dla naszego dziecka, bo ona jest nieraz bliższa niż kuzyn, brat męża itd. Zmieniły się więc więzi, kto inny jest nam dzisiaj bliższy niż niegdyś.

– Wokół śląskich tradycji osnuto w ostatnich latach wiele rozmaitych narracji, by wspomnieć tylko niektóre z nich: Kazimierz Kutz pisze językiem rubasznym, prof. Aleksander Nawarecki esejistycznym, prof. Stefan Szymutko filozoficznym, a w narracji Małgorzaty Szejnert jest nade wszystko obecna fascynacja *genius loci* Śląska. To, co uderza w Pani książce, to ogromny szacunek do wspólnoty familoka i wypracowanych przez nią norm i obrzędów. Jaką rolę w kształtowaniu się tej postawy szacunku odegrała Pani naukowa świadomość etnografa, folklorysty i antropologa?

– Przede wszystkim świadomość tych wartości narastała we mnie w miarę poszerzania się mojej wiedzy podczas kolejnych studiów. Ucząc się, najpierw w szkole średniej, później na uniwersytetach, zrozumiałam, jakie wartości niosą ze sobą śląskie tradycje. Wszystko co robiłam, miało być uporządkowane i sensowne. Studiując, miałam zeszyt do każdego przedmiotu. Przygotowywałam się do każdego egzaminu, byłam punktualna i tam, gdzie mogłam, pomagałam innym. To były wartości wpajane przez moje środowisko rodzinne. Za-

sada, że starsze rodzeństwo wychowuje młodsze obowiązywała powszechnie w minionych czasach. Miałam tę samą postawę względem młodszego ode mnie rodzeństwa. I w tym moim mikro- i makroświecie, czyli w Nikiszowcu, gminie Janów i w Katowicach, mieściły się te wszystkie zasady, które były niesłychanie wartościowe w wychowaniu dorosłego już potem człowieka. Ale świadomość ich wartości zdobyłam później. Przeniosłam je oczywiście także do mojego domu i do pracy ze studentami. Usiłowałam je także wdrożyć, wszędzie tam, gdzie mnie ich brakowało. Wzajemna pomoc sąsiedzka, więź krewniacza, dbanie o przestrzeń wspólną – to ważne zjawiska w antropologii i każdy student tego kierunku uczy się o nich.

– Czy jako wieloletnia parlamentarzystka oraz reprezentantka Polski w Zgromadzeniu Parlamentarnym OBWE mogłaby Pani Profesor wskazać wydarzenie po 1989 roku, które miało największy wpływ na obecny kształt polityczny, gospodarczy i kulturalny Polski i Śląska? Które było najbardziej brzemiennie w skutkach i dlaczego?

– Przez 15 lat zasiadałam w Zgromadzeniu Parlamentarnym OBWE. Omawialiśmy tam różne sprawy, ale ja byłam członkiem III Koszyka, czyli ludzkiego wymiaru, praw człowieka i mniejszości narodowych i etnicznych. Toteż głównym tematem były ich prawa, tolerancja dla inaczej myślących i różnych tożsamości. Następnie rozróżnienie obywatelstwa od narodowości czy etniczności. Opieraliśmy się na Deklaracji Kopenhaskiej z 1990 roku, którą podpisała także i Polska. W punkcie 32. Deklaracja mówi, że o narodowości decyduje subiektywna wola indywidualnego człowieka, którą on sam deklaruje. Narodowość nie może być narzucona przez państwo lub jakąkolwiek instytucję. Z tej deklaracji nie mogą wypływać żadne przywileje ani żadne dyskryminacje dla danej jednostki.

Kiedy więc referowałam to zagadnienie w naszym Parlamencie, zawrzało. Mówiono, że to jest niemożliwe. Warszawiak rodzi się Polakiem. Koniec, kropka. Ja natomiast tłumaczyłam, że na pograniczu francusko-niemieckim Alzacyk może się świadomie określić Francuzem, Niemcem lub pozostać tylko Alzacykiem. Wynika to z jego indywidualnej decyzji. Tak samo Ślązak ma prawo decydować o własnej kulturowej, etnicznej czy narodowej przynależności. Dlaczego o tym mówiłam i dlaczego to było dla mnie takie ważne? Bo z tego brała się tolerancja i prawa dla odmiennych społeczności lokalnych. Było to trudne do przyjęcia dla niektórych parlamentarzystów, niezajomionych z obowiązującymi konwencjami.

Najłatwiej było mi to zilustrować historią Śląska. Kolejno należał najpierw do Polski, potem do Czech, następnie do austriackich Habsburgów, przejęty w 1740 roku przez pruskiego Fryderyka II, aby później wejść do Rzeszy Niemieckiej, a po klęsce Hitlera wrócić do Polski. Gdybyśmy nie trzymali się twardo przez cały ten czas spuścizny naszych ojców, to nie byłoby kultury i odrębnej społeczności Śląska. I to śląskie doświadczenie pogranicza, wielokulturowości i wielonarodowości trzeba było przybliżyć wszystkim Polakom. Podkreślałam nadto, że jeśli się przyzna rację bytu mniejszościom polskim na pograniczach litewskim, białoruskim, ukraińskim, słowackim i czeskim, to racje te muszą obowiązywać na wszystkich pograniczach Polski.

Z deklaracji kopenhaskiej wynika, że każda mniejszość narodowa czy grupa etniczna ma prawo do zachowania swoich tradycji i pielęgnowania swego języka, kultury i tożsamości.

– Można powiedzieć, że Pani działania zostały włączone w walkę ze stereotypem prawdziwego Polaka, który pokutuje w naszej świadomości od dziesięcioleci, jeśli nie wieków.

– Nie bez przyczyny Piłsudski, który się urodził na Litwie, powiedział, że Polska jest jak obwarzanek. W środku obwarzanek jest – mówiąc metaforycznie – pusty, co nie znaczy, iż kultura w centrum kraju się nie liczy, ale bogatsza w zabytki i społeczność jest ta na obrzeżach, bo jest wielokulturowa, wielonarodowościowa i wieloetniczna. Tak np. Śląsk jest spośród wszystkich regionów Polski najbogatszy w zabytki polskie, gdyż tu powstało pierwsze polskie zdanie: „Daj, acj ja pobruszę, a ty poczywaj”, tu powstał *Psalterz florjański*, a także pierwsze pieśni religijne oraz w 1417 roku pierwsza pieśń żakowska Mikołaja z Koźła, tu napisano pierwszy poemat o pracy *Officina ferraria* Walentego Rożdżeńkiego, *Ludycje wieśne* oraz wiele pierwszych językowych zabytków polskich. Żaden inny region nie jest tak bogaty pod tym względem. To powinno dać ludziom do myślenia. Gdyby zatem wziąć pod uwagę zabytki językowe, to Śląsk jest matecznikiem Polski. I ciągle to tłumaczyłam parlamentarzystom.

Przez wspomniany historyczny los powstał tygiel, w którym się wytapiały różne stopy, powstało to, co jest najpiękniejsze, na wszystkich obrzeżach – obywatel tolerancyjny, otwarty, skłonny do dialogu, umiający rozumieć innych, a przynajmniej chcący zrozumieć i potrafiący słuchać innych. Jeśli już, to na obrzeżach Polski rodzą się „prawdziwi Polacy”. Muszą wszak w codziennym życiu świadczyc o swej tożsamości.

Wracając zatem do pojęcia „prawdziwego Polaka”, to dla mnie ktoś taki nie istnieje. Obrzeża Polski zawsze były wielonarodowe. Czy idzie o wymieszanie

nie krwi czy o mentalność, waleczność. Nie przez przypadek Śląsk Opolski, kiedyś typowy region pogranicza, uchodził współcześnie za „cud jedności w różnorodności”. Przyjechali tutaj repatrianci, którzy żyli z Litwinami, Ukraińcami, Żydami, Niemcami, mieli więc podobne doświadczenie dialogu. Oni też najszybciej nawiązali porozumienie ze Ślązakami, bo byli wielokulturowi, jak i my. Mieli los podobny do naszego. Na początku może było zderzenie, ale bardziej cywilizacyjne niż kulturowe. Podobne zderzenia występowały w Polsce po zniesieniu zaborów i powrotu do wolnej Rzeczypospolitej.

Dlaczego to jest w ogóle tak skomplikowany problem? Otóż po rozbiorach pojawiła się potrzeba integracji społeczności poszczególnych zaborów. Pojęcie narodu utworzono dopiero w II połowie XIX wieku. Trudno było zatem określić, co to jest naród, ojczyzna? Łatwiej było poznać małą ojczyznę, niż tą wielką, wyobrażoną, z którą *de facto* łączy nas hymn narodowy, flaga i wspólny język. A z małą ojczyzną łączy nas wszystko, każda przestrzeń, każdy las, każda rzeczka, każdy kościół lokalny. Tak było też podczas zaborów, bliższa była ludziom mała ojczyzna, ale równocześnie rolę spoiwa narodowego spełniał wówczas Kościół. Po odzyskaniu niepodległości zetknięto się natomiast po raz pierwszy z pojęciem mniejszości narodowych. Polsko-Niemiecka Konwencja Genewska z 1922 roku ustanowiła na Śląsku Opolskim mniejszość polską, a w części katowickiej mniejszość niemiecką. Miały one swoje szkoły, msze św. w swoim języku, mogły się nim porozumiewać na co dzień.

W tym też okresie na Śląsku Opolskim, zwłaszcza w czasach 1933–1945, nastąpiła ostra germanizacja, na Śląsku katowickim, który był po trzech powstaniach śląskich i plebiscycie w Polsce – polonizacja. Zaraz po wybuchu wojny większość Ślązaków, za radą biskupa Stanisława Adamskiego, który chciał uratować Ślązaków przed śmiercią w obozach, podpisała volkslistę III, czyli w efekcie zgodę na to, że będzie „mięsem armatnim”. Jednocześnie byłych powstańców, ojców tych, których brano do Wehrmachtu, wysyłano do obozów koncentracyjnych. Moja babcia, która miała dziewięcioro dzieci, w tym pięciu synów, powiedziała im, że powinni iść na wojnę i walczyć za ojczyznę, ale wrócić mają żywi i dodała: ojczyzna potrzebuje żywych, a nie martwych.

Później przyszedł okres PRL. Młodych Ślązaków Sowieci wywozili do Donbasu, a polskie władze komunistyczne do wojska, co znaczy do najtrudniejszej kopalni. Traktowano nas trochę jak kogoś gorszego, obcego.

– Jak w okresie, gdy pełniła Pani służbę senatora oraz działała w jed-

nym z komitetów OBWE, prezentował się Śląsk w porównaniu z innymi regionami w Polsce i Europie?

– Muszę powiedzieć, że zgadzam się z Kazimierzem Kutzem w tym, że Śląsk był i jest regionem najmniej znanym. Równocześnie krążyły w Warszawie mity o węglowym bogactwie Śląska, o wysokich zarobkach górników, choć traktowano ich jako „roboli”, którym potrzeba piwa i krupnioków. Uczylam więc Śląska, gdzie się dało. Fakt, że w tej chwili działa w stolicy Towarzystwo Przyjaciół Śląska, składające się ze Ślązaków mieszkających w Warszawie, to już ogromnie poszerzyło świadomość warszawiaków

Towarzystwo organizuje spotkania autorskie, wykłady o Śląsku, koncerty i okolicznościowe imprezy śląskie dla warszawiaków. Obecnie zatem Warszawa trochę o tym Śląsku już wie.

– Studiowała Pani Profesor na dwóch prestiżowych uczelniach – Uniwersytecie Jagiellońskim oraz Uniwersytecie Wrocławskim. Jak postrzega Pani dzisiejsze uczelnie? Czy są to nadal kuźnie wiedzy i osobowości?

– Niestety, nie. Ja miałam mistrzów, u których mogłam się uczyć. Mogłam się także uczyć na ich wzorach. Miałam autorytety, które mnie wspierały, podnosiły, wskazywały kierunek. Mogłam dyskutować z nimi, pytać o radę. W tej chwili nie ma tego. Jest przerost biurokracji. Profesor przez papierkową robotę nie jest mistrzem, nie ma czasu na wolną dyskusję, na pytania studentów, na wskazywanie im kierunku, na zapraszanie ich domu, tak jak ja jeszcze mogłam to robić. Ja miałam więc ze studentami dzięki folklorowi, bo badania terenowe polegały na tym, że wyjeżdżaliśmy na miesiąc w małej grupce. Podczas takiego wyjazdu paliliśmy też ogniska, przy których się integrowaliśmy.

Poza tym widzę, że dzisiaj profesorami zostają osoby, które nie powinny być nimi nigdy zostać. Profesorowie zarabiają też stanowczo za mało, by móc poświęcić więcej czasu studentom. Po prostu biegają szybko na kolejną uczelnię. Studenci też są zagonieni, bo potrzebują pieniędzy. Nie uczą się. Profesorowie się skarżą. Ponadto młodzi mają zakodowane w świadomości przekonanie, że choćby skończyli kilka fakultetów, to i tak nie będą mieli pracy. To działa silnie demobilizująco na nich.

– Podczas wywiadu dla „Śląska” (1/2015) Wiesław Myśliwski stwierdził, że chłop nie wiedział, jaki jest jego folklor, wiedział jedynie, jaki jest jego los. Powiedział również, że kultura chłopów polskich to „był system wartości codziennego życia, zdolność przetrwania, sposoby na przetrwanie, jakie wytwarzał chłop, to jak w swojej zamkniętej przestrzeni potrafił się urządzić, by nie być bez-

radnym”. Jaka jest Pani opinia na ten temat?

– W stu procentach się z nim zgadzam, dlatego że to dopiero folklorysty nazwali te wartości, ten sposób zachowania i bycia chłopów, ich ludową wizję świata. Dokonało się to w XIX wieku. Dzisiaj uczestnik konkursu gwarowego potrafi wejść na scenę i oznajmić, że nam teraz zaprezentuje coś ze swojego folkloru. Ale folklorystyka – jako nauka o folklorze – to już zupełnie inny problem. Folklor i jego twórcy oraz nosiciele uległ takiej transformacji, że należałoby zjawisko to omówić odrębnie.

– W jaki sposób kultura popularna i folklor oddziałują na siebie? Czy można mówić o takich wpływach i jaki jest kierunek tych oddziaływań?

– Pomyłka jest, jeśli ktoś myśli, że folklor jest tylko ludowy. Istnieje folklor taksówkarzy, lekarzy, górniczy, istniał folklor szlachty, już istnieje folklor kosmonautów. Folklor miejski, wiejski, dziecięcy. To nie tylko folklor uległ zmianie, lecz i ci, co go przenoszą. Czy to będzie więc disco, czy szerzej kultura popularna, dziś wszystko można w zasadzie określić folklorem. Poza tym współcześnie to słowo nabrało trochę innego znaczenia, mówi się na przykład, że coś jest parlamentarnym folklorem.

Współczesna kultura popularna w dużym stopniu bazuje na folklorze. Ale zmienia się ona tak jak i folklor. Niedługo słowo to znaczyło *folk lore*, czyli ludowa wiedza. Dzisiaj ludowa znaczy ogólnopolska. Trudno szukać dawnego ludu.

– W 1974 roku opublikowała Pani Profesor artykuł *Telewizja a folklor słowny dzieci*. Czy w dobie cyfryzacji i wirtualizacji mogłoby powstać *studium Internet a folklor (niekoniecznie dzieci)*?

– Jak najbardziej. Są prowadzone takie studia i jest internetowy folklor. Przekaz, który dawniej trwał wiekami, teraz dokonuje się w przeciągu kilku sekund. To sekundowa komunikacja za pomocą maili, esemesów, telefonów komórkowych lub internetu. Z drugiej strony młodzi przenieśli swoją aktywność społeczną i informacyjną do Facebooka. Internetu zatem nie można rozdzielić od folkloru. Należy też pamiętać, że istnieje nie tylko folklor ustny, ale i pisemny, a obecnie też internetowy. Zaś wpływ telewizji na folklor także jest oczywisty. Zmienia się tradycyjne formy w nowoczesne, wzięte z telewizji, archaiczne wątki powstają jako widowisko dziejące się we współczesnych realiach. Ale zmiany folkloru, folkloryzacja współczesnych zjawisk czy wreszcie folkloryzm i jego wpływ na pieśni dzisiejsze wymaga nowych badań.

– Dziękuję za rozmowę. ■

Jeronie, co za czasy – bar „Źródłko” w Studzionce zamknięty. Bar „Źródłko”, do którego zaglądał mój dziadek Ludwik, komendant miejscowej straży, czasem po niedzielnej sumie. Choć nie jestem pewien, czy nie częściej. Nieważne. Gospoda zawsze była miejscem lokalnego życia – towarzyskiego, kulturalnego zresztą też.

Bar „Źródłko”, miejscowy koloryt, legenda – zamknięty! Ubolewam nad tym przybytkiem nie tylko z sentymentu. Po prostu chcemy się ogrzać, bo na polu (tak się godo w pszczyńskim) jest istno zimnica. Jeszcze nie tak dawno, chyba z kilka lat do tyłu, mój tata miał tu spotkanie rocznikowe – właściwie absolwentów komunii świętej. Nigdy nie słyshałem, by ktoś obchodził kolejne, okrągłe rocznice przystąpienia do tego sakramentu. Ale ten jeden raz to się zdarzyło – i tylko tu... W każdym razie – każdy powód na spotkanie się jest dobry. I mój ojciec Antoni, jak zanotowałem w pamięci, po mszy – podobnie jak jego przodek, spotkał się z kolegami i koleżankami w „Źródłku”, przy wesołej atmosferze i wspomnianiu. Kto tego nie lubi i kto do tego (takich chwil towarzyskich) nie tęskni? Tego, tej bliskości, nie odda żaden portal społecznościowy...

Więc stoję, „Źródłko” zamknięte. Bogdan Widera ze „Śląska”, mój współtowarzysz, mówi, że chyba już dawno knajpa skończyła działalność, bo klódki na drzwiach są zardzewiałe. Rzeczywiście. Idę do fryzjera naprzeciwko. Dziołcha, która tu pracuje, tłumaczy mi gdzie jest najbliższa gospoda (no, dopiero w Wiśle Małej, u Pustelnika, bo w gospodzie „Pod Dębem” jest sklep). Wychodzi na to, że Pawłowicach, bo chyba bliżej. W Studzionce zamknięte. Nawet ta klubowa jest chyba czynna po południem. Wszyscy pracują.

Takie czasy. Na szczęście otwarty jest dom parafialny, a w nim – muzeum. Najpierw była izba pamięci (otwarta w 2010 roku), która rozrosła się do rozmiarów małego muzeum. Teraz już coraz większego. Bo w jednym pomieszczeniu wiszą ornaty i wszystkie historyczne pamiątki związane z przeszłością Studzionki i przede wszystkim jej przedwojennego proboszcza, księdza Franciszka Długosza (1874–1940). A więc zdjęcia, dziesiątki zdjęć, modlitewniki, pisma, jakieś zapiski. Redaktor Beata Tomanek, która przyjechała tu realizować audycję wypatrzyła wiekowy radioodbiornik. Niewykluczone, że właśnie na nim ksiądz Długosz słuchał Polskiego Radia w Katowicach, które teraz zawitało do Studzionki, by opowiedzieć o tym fenomenie. Bo jak to – ksiądz Długosz już nie ma, przepadł, ale pamięć o nim z biegiem lat, potężnieje, zasługi rosną? Jak to się dzieje? Postać księdza-gospodarza, oświeconego społecznika, który od biednych rodzin nigdy pieniędzy za kolędę nie wziął (przeciwnie – sam starał się je wspomóc), popularyzuje właśnie to muzeum jego imienia. O tym fenomenie chce opowiedzieć



Spółeczni kustosze studzińskiego muzeum – Paweł Spyra i Józef Wydra (pierwszy z lewej), który jest autorem kilku książek poświęconych postaciom tutejszych księży, a także jednej publikacji o dziejach parafii w Studzionce.

Bar zamknięty, muzeum otwarte

GRZEGORZ
SZTOLER

słuchaczom. Więc mimo zimnicy – bo w muzeum grzeją popołudniami, kiedy palacz przychodzi, a i ludzi jest więcej, bo z pracy wracają i po kościele zaglądają tu – grzejemy się entuzjazmem i opowieściami o księdzu Długoszu. Oprowadza nas Paweł Spyra, miejscowy społecznik, kustosz tego miejsca, który wspólnie z Józefem Wydrą poświęcili się temu przybytkowi zupełnie.

– Józef lepi opowiada – stwierdza kategorycznie pan Paweł, ale i jego oprowadzenie nie jest pozbawione uroku. Co chwila jakaś puenta, żartobliwe stwierdzenie, zachowanie. Jak choćby w sali misjonarskiej, przy opisywaniu przedmiotów i ubiorów codziennych mieszkańców Nowej Gwinei, kiedy pan Paweł wymachiwał efektywnym toporkiem.

W bibliotece (działa od 2008 roku) z niemal czterema tysiącami książek, ze 170 czytelnikami, spotykam znajomą nauczycielkę biologii, z tutejszej podstawówki. A przedtem – matematyki. Obecnie już na emeryturze, panie udzielają się na rzecz tutejszej społeczności. Jest i dawna sąsiadka mojego taty z ulicy Polnej, która prosi mnie o książkę o moim dziadku Ludwiku i babce Bercie, którzy spoczywają przy samej cmentarnej bramie. Tutaj dziadek, wspomniany na początku, miejsce ma wyborne – widzi każdego, kto wędruje do kościoła. A ponieważ kościół z cmentarzem położony jest na niewielkim wzniesieniu – widok na miejscową remizę ze stojącym przed nim zabytkowym pojazdem gaśniczym, sklep, na starą szkołę (obecne przedszkole) i dawny dom parafialny, gdzie mój ojciec chodził na religię – ten właśnie widok na centrum, rynek jak mówią miejscowi, jest znakomity. Tylko nieczynny bar „Źródł-



Eksponaty z salki misjonarskiej.

ko” jest mniej widoczny, trzeba by się wychylić nieco za cmentarny płot by go dojrzeć, za mostem i rzeczką.

Więc mój dziadek widzi – jeśli mogę tak powiedzieć – to muzeum księdza Długosza, którego przecież pamięta. Ślub brał przed wojną, kiedy nastał już ten wybitny duszpasterz (od czerwca 1922 roku, a więc świeżo po przyłączeniu Górnego Śląska do Polski). A przecież kiedy zaczął udzielać się społecznie – i jako muzykant, bo chodził z bębniem z napisem „Cześć muzyce” i grał, na wszystkim, co wpadło mu w ręce, jak też wspomniany już aktywny strażak – musiał poznać ks. Długosza. Natrafiłem kiedyś nawet na zapis w kronice parafialnej, że w latach 30. robił elektrykę w miejscowym kościele.

Właśnie kościół, wzniesiony po pożarze w latach 30. XIX wieku (przedtem był tu drewniany przybytek) nie miał wieży. I dostawił ją nie kto inny, tylko ksiądz Długosz – oczywiście z parafianami. Ale to obrazuje – symbolicznie – pewien trend widoczny również w innych śląskich społecznościach. Znalazł się lider, ktoś kto potrafił zmobilizować ludzi do działania. Taki społecznik-przywódca. Śląskie społeczności, te małe zwłaszcza zawsze czekały na takich przywódców i z reguły byli nimi – choć oczywiście nie wszyscy – księża. Ksiądz Długosz był postępowy, skoro jak słyszę uczył stosowania nawozów sztucznych... na niedzielnych kazaniach. Prócz postępu w rolnictwie [nacisk na samoorganizację, to ks. Długosz powołał tutejsze kółko rolnicze], zapału w duszpasterstwie, wykazał duże zrozumienie dla kultury – w tutejszym domu parafialnym wystawiano sztuki teatralne (na scenie z widownią na setkę osób). Takie przedwojenne centrum kultury. Prócz tego we wsi działało wiele stowarzyszeń religijnych.

Zdjęcia – są już ich chyba setki, z ogromne, nieraz oryginały. Najstarsze z 1895 roku, kiedy w Studzionce świętowano uroczyste rocznicę bitwy pod Sedanem, w której uczestniczyło zdaje się spora grupa mieszkańców zaciągnięta do armii pruskiej. Pokonano Francuzów. Na pamiętkowej fotografii przykuwa uwagę – nie grupa kombatanów odświętnie przystrojona – lecz pewna dama w eleganckiej, długiej sukni, ozdobnym kapeluszu i chyba nawet z parasolką. Dama, z kreacji wyjętej z XIX wieku, przypomina moim rozmówcom postać księżnej Daisy, europejskiej piękności. Tylko gdzie jest ksiądz pszczyński, jej mąż? Damulka poza tym wydaje mi się zbyt puciułowata, mniej dystygowana, jak na księżną. Ale przecież moja wizja księżnej, jej postaci utrwaliła się dzięki zamkowym portreciskom, filmowi i kilku książkom. Czy jest prawdziwsza od tej fotografii?

Co rusz zresztą to niespodzianka. W pierwszej sali, w której wyłożona jest księga pamiętkowa, są nawet sztuce, których używał już legendarny ksiądz Długosz (przypadkowa zbieżność, ale ciekawa z królewskim kronikarzem



Efektowny dom parafialny powstały dzięki uporowi ks. Franciszka Długosza ukończono w 1935 roku. Dziś funkcjonuje w nim prawdziwe centrum kulturalne Studzionki – muzeum, biblioteka... Ksiądz Franciszek na pewno byłby dumny – zasiał dobre ziarno. To zdjęcie wykonane zostało wiosną ubiegłego roku. Opisywana wizyta miała miejsce w lutym, w naprawdę mroźny i wietrzny dzień. Jeden z uczestników naszej eskapady przypłacił to zapaleniem płuc. Wizyta w terenie wymaga poświęceń...

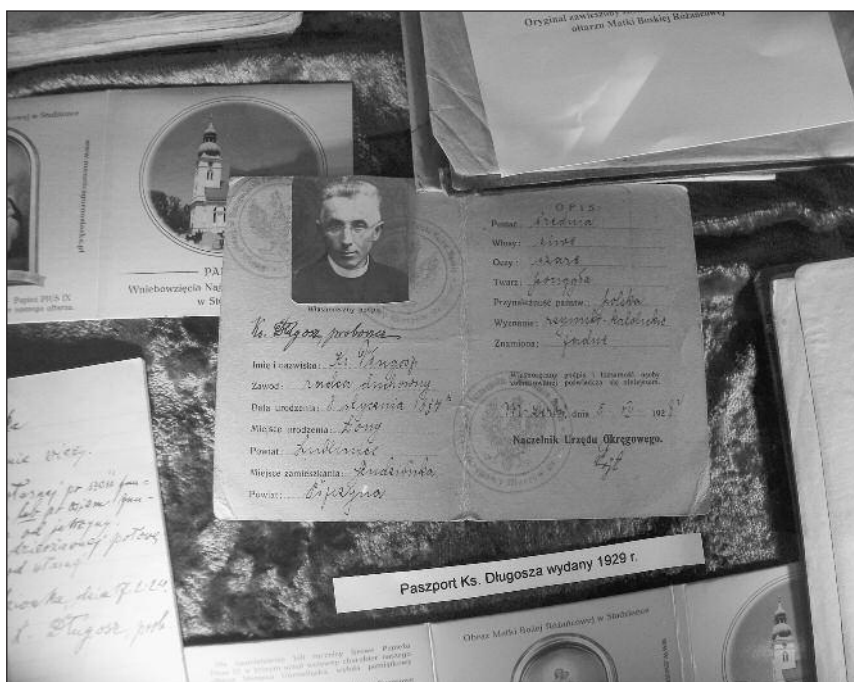
Janem Długoszem, obie postacie były również ambitne, wielkiego formatu – wyrastały ponad swoje środowisko, miały jakąś wizję i misję do spełnienia). Ksiądz Długosz, powstaniec śląski, który przybył tu z Opolszczyzny, w której zapanował po bratobójczych powstaniach duch niemieczyny. Ksiądz Długosz, jak część Ślązaków wybrał polskość, za którą cierpiał i był gotowy ponieść ofiary. Wierzył w nią...

Ksiądz Długosz zginął w obozie koncentracyjnym w Dachau 6 czerwca 1940 roku. Pozostała po nim pamięć i ten dobry gospodarski duch, którego zaszczepił w społeczności Studzionki. Pozostaje dotąd ona najbardziej zaradna i zorganizowana z okolicznych pszczyń-

skich wsi. To właśnie jest to coś. Wkład księdza Długosza.

Postać studzieńskiego proboszcza opisał wyczerpująco pan Józef Wydra, inżynier z wykształcenia (nakład tej, czwartej z kolei jego publikacji uległ wyczerpaniu, proboszcz ks. Janusz Ahnert, inicjator powstania muzeum, nalega na jej wznowienie). I również emeryt. Dlatego w pewnym momencie nasz radiowy (i redakcyjny) towarzysz Bogdan Widera, nieomal zakrzyknął: – Mam, mam już pytanie do naszej audycji, Beta – uśmiechnął się. – Czy to prawda, że gdy spotyka się dwóch emerytów, powstaje muzeum?

Pewno tak jest – obaj chyba nie zdawali sobie sprawy, że dzieło które tworzą – Izba



Jeden z oryginalnych dokumentów związanych ze studzieńskim duszpasterzem – oryginalny przedwojenny paszport.

Pamięci Księdza Długosza, nabierze rozpędu. Takiego rozpędu. – Przychodzą ludzie i przynoszą kolejne dokumenty, zdjęcia, pamiątki – opowiada pan Paweł. Wszystkiego przybywa. Nawet wpisów – misjonarzy, studzieńczan „na emigracji”, którzy od święta przyjeżdżają do wsi i przypominają sobie czasy młodości, rozpoznają na zdjęciach siebie, swoich kolegów, rodziców, a nawet dziadków. – Zdjęcia są ładne, wiszą, ale trzeba będzie je opisać dokładniej, kto na nich jest, dla naszych dzieci, młodzieży – zauważa rezolutnie sąsiadka mojego dziadka (i taty – bo mnie rozpoznała „tyś je łód Antka?”) z ulicy Polnej. – Zresztą, ciężko będzie z tym trochę, bo ludzie którzy znali, rozpoznawali swych przodków na zdjęciach już nima, pomarli, potracili się... Ale co się do – to opiszemy... – mówi wędrując między półkami mądrych książek w tutejszej bibliotece, która mieści się w dawnym domu parafialnym. I jest częścią z muzeum – większej, tworzącej się całości – centrum kulturalnego. Tożsamościowego. Bo w tym muzeum studzieńczanie przywracają do pamięci zbiorowej dokonania księdza Długosza na rzecz ich społeczności. Jest książka o nim, jest i wyrzeźbione w drzewie lipowym popiersi. Jak żywe – podobizna księdza Długosza jest identyczna jak na zachowanej fotografii-portrecie. To jedna z niewielu pamiątek. Nie zachowała się urna z prochami księdza. To znaczy usiłowano sprzedać taką urnę z rzekomo prochami księdza – ale miejscowi uznali, że jest to próba naciągnięcia. Zatem muzeum jest jakby jedynym miejscem jego symbolicznej obecności. A z biblioteką i całą działalnością pisarską pana Józefa, upowszechniającą dzieje wsi, dokonania księdza Długosza jest takim miejscem odrodzenia. Takim nowym, ożywym źródłem. Bo stare – może na szczęście – już wyszło...

A ksiądz Długosz – to jest ten co, jak się u nas mówi, „zastał Studzionkę gli-



Redaktor Beata Tomanek z Polskiego Radia Katowice zasłuchwała się w barwną opowieść o przeszłości Studzionki, jaką snuje Paweł Spyra. Redaktor Bogdan Widera wpisuje się do obszernej, pamiątkowej kroniki.

nianą, a zostawił dyłowaną”, bo zalecał miejscowym wymianę klepisk w domach na bardziej sanitarne, nowocześniejsze podłogi drewniane – wyjaśnia pan Paweł, oprowadzający nas po muzeum, dawnym domu parafialnym, w którym mój ojciec i jego starsze rodzeństwo pobierali lekcje religii.

Post scriptum

Pan Józef Wydra, drugi studzieński kustosz, na radiowej antenie w walentynkowym wydaniu audycji „Czy to prawda, że...”: – Mieliliśmy taką bardzo wzruszającą sytuację – opowiada. – Kiedyś przyszła do muzeum 85-letnia kobieta. Jak ona zobaczyła zdjęcie swoje z pierwszej komunii, i zobaczyła siebie, i swoje koleżanki – zaczęła je wszystkie

po imieniu wymieniać... ze łzami w oczach.

Kiedy rozmawiało się ze starszymi ludźmi, rodzicami, mieszkańcami Studzionki to wszyscy mówili, że Studzionka miała szczęście do dobrych proboszczów. A kiedy padało pytanie o księdza Długosza, odpowiadali: „Jaaa, Dłuugooszz”... Już w głosie akcentowali, że jednak był on kimś więcej, kimś wyjątkowym. Bo on był nie tylko proboszczem, ale był dobrym gospodarzem. Od niego rolnicy uczyli się nowych metod gospodarowania. On m.in. założył kółko rolnicze w Studzionce w 1922 roku i początkowo był jego sekretarzem. Uczył ludzi stosować nawozy, ale też uczył patrzeć na świat i na politykę.

Z wpisów do księgi pamiątkowej tutejszego muzeum:

15.09.2010

„Oglądając wracam myślami do minionych lat. Bogu dzięki proboszczowi za przytulny pokój pamięci” – podpis niezycielny

14.05.2013

„Bardzo dziękujemy panu Józefowi Wydrze za oprowadzenie nas po Izbie Pamięci ks. Franciszka Długosza” – klasa 6 z Mizerowa.

10.02.2013

„... Materiał zebrany o życiu i czynach [księdza Franciszka] jest bardzo pięknie wyeksponowany...”

20.06.2010

Wizyta grupy z Francji z Saint – Amand – Lex – Caur. „W podziękowaniu za serdeczne przyjęcie.”

14.08.2013

„Nigdy nie jest za późno na wdzięczność, dlatego Bogu dzięki za Was, którzyście otoczyli pamięcią zacnego kapłana” – pan Jerzy Chybiński z Gostonii koło Prudnika, gdzie również duszpasterzował ks. Długosz.

11.10.2013

Klerycy ze śląskiego seminarium dziękują za „żywą lekcję historii pisaną wiarą i cierpieniem, miłością i nadzieją wobec Boga, bliźnich i Ojczyzny”.

13.11.2013

W Izbie Pamięci gościło 22 księży seniorów z Domu Św. Józefa w Katowicach.

12.03.2014

Izbę zwiedziła Rada Pedagogiczna Szkoły Podstawowej nr 12 ze Studzionki.

8.05.2014

„Zwiedzaliśmy muzeum dzieła i skarbnicy z życia Studzionki” – napisali państwo Ganczarzyk z Niemiec.

22.09.2014

Grupa Radia Maryja ze Świętochłowic i Mysłowic – w sumie kilkanaście osób. „Życzymy Wam dalszego wzrostu pięknej historii parafii”.

17.01.2015

Gościli w Muzeum uczestnicy pieszego rajdu w 70. rocznicę Marszu Śmierci więźniów byłego obozu KL Auschwitz (organizuje go cyklicznie Jan Stolarz).

Wiersz niesprawiedliwy

Obcy najpierw wpuszczają się do pudełek pustych głów, w których przeciągi przecinały się, aż z sykiem uszły resztki. Wcześniej uchodziły niesłyszalnie, bo przecież długo nie uchodziło bez nich chodzić, czy pęzać; lecz mniejsza o czasowniki, przestały wpływać na czas, spróchniały i rozproszyły się po różnych i próżnych miejscach, gdzie jadła, piła i kradła jedność. Jej manierki brzęczały o manieri, główna wartość i wartość gówna stały w tej samej kolejce, *bel canto* i bekanie łączyły się w echu, grzech z grzechotką nie drwiły z cnoty, jeśli im nie ulegała, gdyż nierzadko ulegała im swą ulegałką, legając z nimi ukradkiem, ale zawsze ze ślepym i głuchym świadkiem, bo żeby grzech pojąć, trzeba w grzechu pogrzebać, a nim się go pogrzebie, objąć go, zobaczyć, którądy się wsuwa, aby wiedzieć co, gdzie i jak ciąć. Mycie ciała, przewietrzanie głowy, perfumowanie duszy sprzyjało postępom higieny od ostepów do ustępów i od wyjątków do ustępstw. Cnota potrafiła się załkać, by to załgać. Że się stało? Przecież ustało ledwie troszkę i przestało. Za mało miało, więc chleb i chluba się należą, skoro wszyscy leżą. Co tu mierzyć ciarki, miarki wypuczone są od pukania w pudełka, od rozwijania zwojów, znojów i złotogłowów. Może i na asfodelowych łąkach co się stało, to stoi. Tamże! Tuże niebo płynie, nie płonie! Kto pokaże, że kogoś pokarze? Woskowe wonie korka pokory topimy w winie! Nie baczmy na przebaczenie. Nie zboczmy od zboczeń, zbolenia nie zbawiają i nie zabawiają. Napęlniamy się pełnią słońca i księżycy, wysypujemy z pudełek złogi złych słów i skrzepłych sław, krzepimy się lekkimi powiewami, lektykami leków, łatwość się do nas łąsi, łąsice chronimy przed sowami i tymi innymi, a myszy i te inne przed łąsaciami, obcych przed obcymi, a przede wszystkim przed wszystkimi obcymi w nas i obok. Obłok? Wiemy. Wiemy, że chmura czasem udaje obłok. Krok po kroku wykraczamy poza nas, kłopot po kłopotie wyłapujemy się i łopoczemy, kropla po kropli wylewamy się z siebie, pudełka nasze kołysz się ładnie, łagodnie, pogodnie. I modnie! To już prawie, prawie nasz sad. Mamy większość posad. W prawie jeszcze jakieś głupawe parasolki trzeba zmienić, zakazać deszczu, szcurów, które przecież chętnie będą łąsaciami, i palenia pod tymi piekielnymi kotłami. Wtedy obcy nasi i obcy obcy nie będą tacy usmoleni, uspokoją się, upoją i upalą. Ich Bóg nam pomoże, choć go tak samo nie ma. Otwarliśmy na niego pudełka, to takie passionnant, exciting... Pardon, pardon, sorry, sorry... Mufir (مفیر!!!) W pokoju nie ma już pokoju, sprawiedliwa wojna sprawia się lepiej, sprawia nas... Niektórych z nas. Tych co naszą niesprawiedliwą uprawiali wojnę! I dość już! Wyłączamy cię. Tego twojego Pawła Włodkowica też, cwany i obcykany, naszych obcych obnażył, obciął obco! Twój wiersz niesprawiedliwy jest, a właściwie był. Jeszcze go nie ma i już go nie ma! I co? Obejdiesz się sadem, ale nim przed sądem stanie twój trup, rób w kamieniu aż po strup i grób. Для нас это захватывающее! Mufir! Mufir! Mufir!

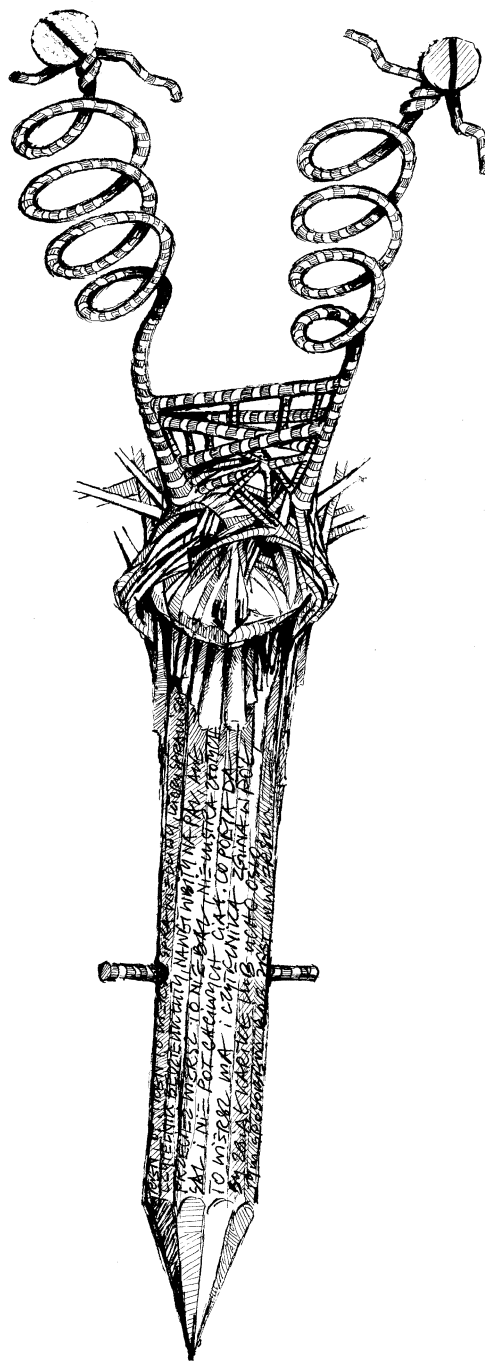


Rys. Wojtek Łuka

Wiersz sprawiedliwy

Czy wiersz jest sprawiedliwy? Czy jest wiersz sprawiedliwy? Jaki wiersz jest sprawiedliwy? Dzięki czemu i komu, jakim sposobem wiersz jest sprawiedliwy, gdy jest sprawiedliwy? Tylko cztery pytania ze wszystkich możliwych pytań i popłoch w opłotkach, opłatach i opłatkach, zaś płatki, plotki i płotki strzępią języki i pletwy, a plewy się lwią, lwy plenią a potem plewią, sny jawią, jawy ujawniają zjawy, sławy się pławią w plwocinie, upławach i upałach, szkolne ławki wydłużają ławy oskarżonych, aż piec sądu huczy, sędziowie swe młotki przegrzewają i rozdziewają się z kotylionów i kodeksów, rozdziewają gęby, w których dzierżą rybie łby, rozdzierają postaw sukna i odzież flagi, rozdzierają się na zbyt dobrze słyszających i widzących, rozczyniają w dzieży, oblepionej czerwoną bątką, mąkę z dziewanny. Taplają się plany panny, bo w wanny do kąpieli wlewają się chłody topieli i wanny się burzą na urząd i uwiad, na drogi, na drogi prąd i rząd. Jest zagwozodka, nie gwiazdka. Główki i półgłówki, połówki i ołówki obgryzają się, portki i kartki rumienia, jedynie rum, umór i rumor martwią się w miarę, klatki i klawiatury szczękają klapkami i klawiszami, śnieżą monity, monitory, modlitwy. Mon Dieu! Mein Gott! My God! Dios mio! Mój Boże! Szczegóły zabawy i zbawienia zbyt zbyteś, dlatego wpadam w wądoły wątpliwości, wątki Twej woli i wiononczeli łaski to wiodą, to wiodną; w mojej skali na skale niewiele rośnie. Nie wiem, że nie wiem. Odpisuję twoje ptaszki i strzałki, które stawiasz na stawie, w strawie lodu i śniegu ptasimi łapkami. Przyginam też do oczu wiotkie gałązki, niektóre łamią się, więc i ja się łamię, czy powinienem dopytywać. Czy ten wiersz, ten będzie sprawiedliwy? Odda matce, czy rozerwie na pół dziecko, dzieło, dzień i noc, obie kobiety, władcę i poetę? Jeszcze nie mogę go przyłożyć ani do ucha, ani do bolącego brzucha, jak muszlę i gorący kamień, i posłuchać szumu, z jakim ból ustępuje, oddala się, a równocześnie pozwala wydziobywać z głowy czereśnie Twoim szpakom. Pestki to wiersze sprawiedliwe, gorzkie w środku, bo życie możliwe jest tylko dzięki śmierci. Tren, o! tren to wiersz sprawiedliwy, który sprawiedliwy jest dla glisty i motyla, którymi jest poeta błota i buty. Czytelnik będzie ukłuty, nawet wbity na pal, ale przecież wiersz to nie bal, nie lustro złotych sal i nie pot chciwych ciał. Co poeta da, to wiersz ma i czytelnika tym zgina w pół, by zagiął kartkę lub ucho ośło. Tym sposobem Bóg jest w wierszu Bogiem sprawiedliwym, a wiersz dzięki Niemu. Niemu niememu. I to rozumiem, choć tego nie umiem. Gdy wysyła morderców, kłamców, psów. W swojej gramatyce. Niemowa, niemota, motor sprawiedliwych wierszy, dobrych i złych uczynków.

10, 13 I 2015



Rys. Wojtek Łuka

W jednym z wywiadów na pytanie Aleksandra Prugara, co to jest blues, Jan Kyks Skrzek odpowiedział: „Blues to jest wszystko”. I od razu precyzował: „To życie, smutek, wesołość, opowieść. Tu na Śląsku wszystko jest bluesem, huta, kopalnia, familoki, każdy kamień”. Ze smutkiem dodawał, że wraz z zamknięciem kopalń ludzie też się na Śląsku zmieniają i być może nic z tego, co jest, w przyszłości nie będzie zapamiętane. W ostatnich latach coraz częściej towarzyszyły mu te gorzkie myśli. Ale był dumny z tego, że bluesa śpiewa gwara (po śląsku) i dziwił się nawet czasem, że mimo to chcą go słuchać też daleko stąd.

Fot. z archiwum redakcji



Ballada o Janku

O mój Śląsku umierasz mi w biały dzień
Jan Skrzek: *O mój Śląsku*

JACEK KUREK

Oko mi loto

Przed koncertem w warszawskiej Stodole miał poważne obawy o to, czy go nie wygwizdzą. Ostatecznie było akurat odwrotnie: wypuścić go ze sceny nie chcieli, a bisów zliczyć nie umiał. Jego energia, naturalność, miłość do muzyki emanowały z desek estrady niczym wściekle zaraźliwa radość życia. Ten skromny, zbyt często niewierzący w swoje artystyczne możliwości człowiek właściwie nigdy nie zdał sobie w pełni sprawy z siły artystycznego wyrazu, jaką dysponował. Tak samo było z filmami, w których grał często, chętnie i zawsze siebie. Pierwszy raz pojawił się na ekranie w zrealizowanym w 1986 roku filmie Janusza Kidawy *Komedianci z wczorajszej ulicy*, a fragment muzyki z tego filmu wykorzystał na swojej pierwszej w pełni autorskiej płycie „Czemu oni mnie chcą do tych filmów?” – pytał retorycznie. Nie dowierzał, że powodem może być jego osobowość i zniewalająca autentyczność. Sobą był jednak zawsze, obojętnie, czy grał właśnie w filmie, czy na harmonijce ustnej, stojąc

na muzycznej scenie, czy też „pastwiąc się” nad klawiaturą fortepianu... Także wtedy, kiedy po koncercie podchodził do swoich słuchaczy, by wychylić kufel piwa. Na katowickiej premierze filmu Kazimierza Kutza *Śmierć jak kromka chleba* w kinie Kosmos zobaczył się w scenie, w której leżał jako zabity górnik. Nie mógł się powstrzymać od komentarza, z jakim zwrócił się w stronę żony (komentarz ten dzięki charakterystycznemu „półgłosowi” Janka Kyksa usłyszało oczywiście niemało osób): „Patrz, oko mi loto”. Cała patetyczność filmowej chwili runęła w jednej sekundzie, ale zarazem upewniliśmy się w tym, że rzeczywiście on, nie kto inny, powinien grać tę rolę. Do dzisiaj to jedna z częściej powtarzanych anegdot z udziałem Janka. Tej wiary w siebie brakowało mu bardzo i na co dzień. Zrobił prawo jazdy, ale w zasadzie nigdy nie prowadził...

„Wbrew wszelkim lansom...”

Pracował ciężko, 340 metrów pod ziemią w kopalni Michał, a po szychcie jak nie szedł z kumplami na piwo, cwi-

czył w michałkowickim zameczku. Śpiewał i grał do późna, bo przecież „blues to było wszystko”. Jego „wszystko”. Dysponował ogromną – niedocenianą – kulturą muzyczną. Słuchał bluesa i jazzu, zachwycali go Paul Butterfield, John Mayall, Eric Clapton, Joe Cocker, uwielbiał wielkie kobiece głosy i osobowości od Arethy Franklin aż po Tinę Turner. Był czas, że fascynował się Czesławem Niemenem.

Zaczął w formacji jazzrockowej Rak w 1973 roku. W rozmowie z Mirosławem Gizą powiedział: „Kiedyś chciałem grać jazz. Stworzyłem suitę składającą się z jazzowej, rockowej i bluesowej części. Okazało się, że najlepiej gram bluesa”. Legendarny fotografik muzyczny Marek Karewicz w książce *Big Beat* pisał: „Miałem z nim problem, bo znając całą czołówkę naszych pianistów jazzowych, powinienem powiedzieć, że on w ogóle nie umiał grać. Zero techniki, gumowa fraza, toporna artykulacja – żywiol i nic poza tym. Śpiewał po „norwesku” lub w śląskiej gwarze. Robił to jednak tak szczerze, z takim zapalem, zaciętrzewieniem, przekonaniem, że przyciągał uwagę”. W samo sedno trafia Maciej Szczawiński, pisząc: „Kyks był zawsze i bez przerwy sobą. Czyli pod prąd, na opak, wbrew wszelkim lansom i komercyjnemu efekciarstwu. Zresztą to rozumiało się samo przez się, bo był genetycznie niezdolny do kreowania czegoś innego niż własny język (także muzyczny), własny sprawdzalny świat, własna twarz. Dlatego wygrał. Bo w bluesie wszelkie stylizacje i pozy kończą się klęską”.

Górnik Blues

W marcu 1985 roku Jan Skrzek namawiany przez otoczenie pojechał do Warszawy, by złożyć egzamin dający przepustkę do zawodowego śpiewu na estradzie. Egzaminował wybitny aktor, reżyser, dyrektor wielu teatrów i pedagog Aleksander Bardini, pamiętany też wówczas z brawurowo prowadzonych programów telewizyjnych dla marzących o występach amatorów. Bardini, gdy usłyszał Skrzeka, powiedział stanowczo i absolutnie: Nie. Nie taki głos, nie taka dykcja... Nic nie takie... Janek machnął ręką, usiadł i zagrał na organkach. Wtedy oczarowany profesor zmienił zdanie. Wydana przez Departament Teatru, Muzyki i Estrady Ministerstwa Kultury i Sztuki legitymacja Kyksa uprawniająca do wykonywania zawodu muzyka estradowego ma datę 30 marca 1985 roku. W tym samym roku w plebiscycie miesięcznika „Jazz Forum” Janek uznany został za najlepszego polskiego muzyka w kategorii instrumentów różnych (harmonijka ustna).

To był w ogóle dobry rok dla Janka. Zaśpiewał wtedy dla 15 tysięcy ludzi w Jarocinie. Miał tylko fortepian, harmonijkę i głos. Czarował publiczność między koncertami TSA i Kata. No i nagrał 13 września pierwszą prawdziwie solo-

wą płytę *Górnik Blues*, zaczynającą się od *Introdukcji* Orkiestry Detej KWK „1 Maja”, a potem było już tylko *Jasiowe granie*... Na płytach pojawiał się od 1981 roku jako gość SBB (*Memento z banalnym tryptykiem*) i brata Józka (*Józefina i Wojna światów – ścieżka dźwiękowa*). Grał tam oczywiście na... harmonijce ustnej. Był uznanym jurorem w festiwalach harmonijkowych, np. w poznańskim „Zaczarowanym Świecie Harmonijki”, który odwiedzał od roku 1986, a więc od samego początku.

W 1983 roku nagrał koncertowy album z Elżbietą Mielczarek, którą bardzo cenił i z którą wiele wtedy koncertował. Z każdym rokiem był coraz bardziej znany i rozpoznawany. Nikogo z artystów nie przypominał i to była jego siła, a także to jak głęboko kochał swój lokalny świat, którego chcąc nie chcąc był niestrudzonym ambasadorem. Bronił się przed statusem gwiazdy, ale i sam miał trudniejsze dni, zwłaszcza w późnym okresie życia. Przecież zdarzało mu się na zarzut opieszałości przed wejściem na scenę odpowiedzieć: „Jo kichna i już jest blues”.

O mój Śląsku

Kiedyś w piękny, słoneczny dzień wyszedł ze swojego mieszkania na ulicy Mariackiej w Katowicach do klubu Marcholt znajdującego się przy ulicy Warszawskiej i zobaczył jak ścinane są drzewa w miejscu, gdzie później stanął monumentalny budynek banku (wcześniej był to teren willi Friedricha Grundmanna, którą zburzono na mocy wydanej w 1972 roku decyzji partyjnych władz). Janek podszedł do robotników, pytał dlaczego to robią, nie krył wzburzenia. Widok ścinanych drzew tak bardzo go poruszył, że jeszcze tego samego dnia napisał jeden ze swoich najbardziej przejmujących tekstów *O mój Śląsku*, zaczynający się od słów:

*Był ładny słoneczny dzień
W samo południe, a oni przysli z
Pilami, poobcinali im głowy, ręce, nogi
By w końcu został zielony dywan
ściętych liści drzew*

To jedyne, co mógł wtedy zrobić, przebrać smutek w bluesową pieśń... I tak robił już zawsze. Blues był dla niego do końca schronieniem przed wyczerpującymi smutkami i zarazem ich artystyczną artykulacją. W końcu też orężem w walce ze słabością i przeciwnym wiatrem życia.

Pieśń węglodziaracza

Na drugim solowym krążku *Nikt nie zawróci kijem Wisły*, nagrany w lipcu 1988 roku w chorzowskim



Jan Skrzek z córką Basią i wnuczką Zosią (Boże Narodzenie 2010 r.).

klubie Leśniczówka, towarzyszył mu sześciuosobowy chór, co przydało płycie ducha gospel i przywoływało czasy czarnych „wielozbieraczy” schylających się na rozległych amerykańskich plantacjach, a zatem samą ojczyznę bluesa. Na okładce płyty niczym po Missisipi płynie dziewiętnastowieczny parostatek dymiący w harmonii z widocznymi na brzegu śląskimi kominami, obok których stoją górnicze szyby. Tak jak w przypadku debiutu i tu był autorem wszystkich kompozycji. Słowa pisał mu głównie Julian Matej. Na płycie *Górnik Blues* jednym z najbardziej poruszających jest jednak tekst autorstwa Tadeusza Kijonki *To był chop*:

*Ni ma chopa – a wczora był
s nami
Co tu dużo godać, taki już los.
Jak na wojnie, dyć i tu
dynamit.
Sjechał na dół łostatni ostatni ros.
W domu wdowa z dzieckami
placze.
Został yno górniczy znaczek.
Czyjo kolej – kto to wy
z nos?*

Kolejny album *Kyksówka Blues* firmowany był przez Jana Kyksa Skrzeka i Bezdomne Psy (Leszek Winder, Jerzy Kawalec, Michał Giercuskiewicz, plus gościnnie Zbigniew Gocek). Była to pierwsza studyjna płyta Janka. Nagrał ją w warszawskim studio Exodus w styczniu 1989 roku. Potem przyszły następne, koncertowe i studyjne... Również w Leśniczówce została nagrana koncertowa płyta *Modlitwa bluesmana w pociągu* (1997), poświęcona pamięci Ryszarda Riedla. W roku 2004 roku zmagistrował wraz ze Śląską Grupą Bluesową, album *Bo takie są dziewczyny* – sedno tego, co określano jako *silesian sound*. Z tej płyty pochodzi podniosły z głębi serca wydarty utwór *Śpiewam pieśń dla Bluesa*, kolejny tak bardzo Kyksowy tekst:

*O śpiewam pieśń dla
Bluesa
O śpiewam dla mojego
Bluesa
Pękła dusza, pęknie serce
O śpiewam pieśń dla
Bluesa*

Podczas koncertów w Muzycznej Owczarni w Jaworkach 7–8 sierpnia 2009 roku Śląska Grupa Bluesowa nagrała następną płytę *Pelnia Słońca* z ujmującym śpiewem Agnieszki Łapki. Z płyt Janek zawsze był dumny i uważał je za swoje największe osiągnięcia. Ostatnią, znakomitą *Kolory Bluesa*, nagrał – również ze Śląską Grupą Bluesową – niecały rok przed śmiercią. Wzruszająca jest symboliczna, zamykająca album przeszło siedmiominutowa kompozycja Leszka Winder *Ostatni blues*.

W dźwiękach bluesowych marzeń

Miłośnicy bluesa w wydaniu Śląskiej Grupy Bluesowej i Kyksa nie mogli, ani przecież nie chcieli, w tym ostatnim utworze czytać proroczej myśli. Raczej wierzyli w kolory – które tak potrzebne są ludziom stąd, które tak wymownie obecne są w tylu utworach na płycie. Muzyka na płycie w samej rzeczy jest wielobarwna z uwagi na osobowości artystów i różne stylistyki, którym na co dzień hołdują. Skupione razem dają jedyny w swoim rodzaju niepowtarzalny efekt. Miłośnicy Śląskiej Grupy Bluesowej ufali, że na następny krążek muzycy nie dadzą im długo czekać. Stało się inaczej. Teraz łatwo o symboliczne odczytywanie wymowy tekstów, tytułów... Doszukiwanie się znaczeń. Można się nawet pokusić o takie ukierunkowane spojrzenie na okładkę płyty. Lata temu dziewczynki w ten sposób wpisywały się do pamiętników: tekst – przeważnie wierszyka – był otoczony wianuskiem kwiatów, a pod spodem słowa: „Na wieczną pamiętkę miłemu/miłej... wpisała się...”

„Już lat czterdzieści jesteśmy razem w dźwiękach bluesowych marzeń” – śpiewał Janek Kyks Skrzek na tym ostatnim krążku w utworze *Zaklęty w klawisz*. I takim już dla nas pozostanie. Wyśpiewał swój prawie cały świat – miłość, ból, przyjaźń i tęsknotę, za tym co utracił. Przez łzy, a czasem z przymrużeniem oka. Prawie cały... *Nie zapomną bluesa* – wierzyli artyści ze Śląskiej Grupy Bluesowej. I nie mylili się. Wciąż bowiem nie można ominąć pamięcią głosu Janka Skrzeka, wciąż bowiem wypełniamy wyobraźnią puste miejsce na scenie, wciąż bowiem pali się *Mała szafirowa karbidka*.



Ulica 3 Maja, 1874

Zdjęcia reprodukcja: Lech Szaraniec, „Katowice w dawnej i współczesnej fotografii”, 2003.

Katowice za Rüppella

HENRYK
SZCZEPAŃSKI

Otto Rüppell został burmistrzem latem 1874 r. W przeciwieństwie do swoich poprzedników – trzydziestolatków, był statecznym panem pod pięćdziesiątkę. Nad Rawę, tak jak i oni został przeniesiony służbowo, tym razem z dalekiego Lwówka Śląskiego. Zasłynął z rzutkości, rozważli i oszczędnego gospodarowania. Sprawował ten urząd aż do śmierci w 1889 r. Jako mason uczestniczył w politycznych misteriach katowickiej loży „Zum Licht im Osten”, celebrowanych przez mistrza Richarda opromienionego blaskiem magicznych talizmanów – cyrkla, młotka i węgielnicy. 15-letnia magistratura Rüppella jest jednym z bardziej dramatycznych rozdziałów w historii miasta. Przetwał w potocznej pamięci niemieckich Katowic. Aż do 1922 jego nazwisko nosiła ulica dziś nazywana Wawelską.

Przez jakiś czas rezydował w narożnym domu przy obecnej 3 Maja 13, wciąż jeszcze pełniącym funkcję ratusza. Po kilku miesiącach, jesienią 1874 roku jego prywatne mieszkanie, gabinet i salę obrad miejskich radców przeniesiono pod adres Friedrichplatz 10 (obecnie: Rynek), do budynku z dwuspadowym dachem zaprojektowanym przez Karla Heinzege.

Tam też przekwaterowali swoje biura inni urzędnicy magistratu i policja z Inspektorem Karlem Müllerem na czele.

Jubileusze, sławny ożenek i przeprowadzka

Jesienią 1875 roku mijalo 10-lecie Katowic. Poza uroczystymi obradami w nowym ratuszu, żadnych hucznych anwersaży magistrat nie organizował. Natomiast urzędnika miejscowego katastru rewidenta Adolfa Nepilly’ego rocznica zainspirowała do sporządzenia kolorowego planu miasta w skali 1:2000. Z dużą dokładnością ukazuje ulice, domy i fabryki dzisiejszego Śródmieścia. Namalowany na dużego formatu kartonie o wymiarach 136 na 92 cm, pozostaje najstarszą mapą Katowic, z dużym wdziękiem prezentującą budowle i szlaki komunikacyjne.

W pierwszym roku urzędowania Rüppella o 2 osoby zwiększyła się liczba członków magistratu a także liczba członków miejskiej rady. Nie zmienił się tylko jej przewodniczący i grono jego stronników.

W 1876 r., w trzecim roku urzędowania Rüppella, władze miejskie świętowały czterdzięciolecie pracy lekarskiej Richarda Holtzege, radcy sanitarnego i eskulapa ubogich. Z tej okazji, jego nazwiskiem nazwano dzisiejszą ulicę Mariacką. Pomysłodawcą zaszczytnego wyróżnienia był podobno burmistrz.

W tamtych dniach kroniki towarzyskie i salony miejscowej burżuazji komentowały zaślubiny, 20 wiosen liczącej panny Franciszki von Tiele-Winckler, córki Walecki i Huberta – w maju 1876 roku wydanej za starszego o 12 lat, chronologicznie pierwszego katowickiego landrata barona Hansa Hermana von Berlepsch, pana fideikomisu na Kloster Seebach. Uroczystości weselne odbywały się w miechowskim pałacu Wincklerów. Wtedy nikt jeszcze nie przypuszczał, że po kilkunastu latach energiczny starosta z kresowych Katowic zostanie ministrem handlu i rzemiosła w berlińskim rządzie kanclerza Leona Capriviego.

W tym też roku z magistrackiej kamienicy przy Grundmannstrasse 13 wprowadziła się landratura. Kilkudziesięciu urzędników ulokowało się w nowo wybudowanej rezydencji przy Friedrichsstrasse 45. Od tej

pory, aż do 1891 r., w dawnej burmistrzowskiej siedzibie, niegdyś pełniącej rolę ratusza miejskiego funkcjonował już tylko sąd i kataster.

W 1883 r. Ruppel świętował srebrny jubileusz służby w pruskiej administracji. Kronikarz odnotował, że ojciec miasta cieszył się powszechną sympatią, spontanicznie manifestowaną przez wszystkich mieszkańców.

Pierwszy prokurator Katowice

W 1879 r., w ramach ogólnokrajowej reorganizacji wymiaru sprawiedliwości, również i w Katowicach przekształcono komisję sądową – podnosząc do rangi sądu rejonowego pierwszej instancji. Sprawował jurysdykcję na terenie powiatu katowickiego. Miał obsadę najliczniejszą w monarchii pruskiej. Rozstrzygało tam siedmiu sędziów. Od 1885 roku prowadził rejestry handlowe spółdzielni i wykazy wzorów. W tym czasie burmistrz i radni miejscy podjęli decyzję o budowie nowego gmachu dla katowickich arbitrów i adwokatury. Rozpoczęto ją jeszcze za życia Ruppela w 1888 r. W 3 lata później został oddany do użytku. Stał u zbiegu dzisiejszej Andrzeja i Mikołowskiej.

Zgodnie z ówczesną pragmatyką od 1879 r. jako burmistrz, Ruppel sprawował także urząd prokuratora powiatowego. On właśnie otwiera historyczny poczet urzędownych oskarżycieli w Katowicach.

Przemysłowcy

Od 1882 r. Katowice z czternastoma tysiącami mieszkańców są już nie tylko centrum administracyjnym powiatu ale także ośrodkiem dyspozycyjnym dla doskonale prosperującego przemysłu. W pomieszczeniach katowickiego Dworu Winklerów przy Zamkowej rozpoczynają pracę inżynierowie i urzędnicy zarządu Oberschlesischer Berg- und Hüttenmannischer Verein (Górnośląskiego Związku Przemysłowców Górniczo-Hutniczych) – zrzeszającego kadre techniczną przemysłu ciężkiego. Przed laty, jeszcze w Królewskiej Hucie, założycielem stowarzyszenia był Wilhelm Grundmann, teraz schedę po teściu przejął inż. Carl Mauve.

W latach 80. reorganizacji zostają podane cechy rzemieślnicze. Wychodzą zarządzenia regulujące obowiązek ubezpieczenia zdrowotnego dla rękodzielników. W lipcu 1886 roku odbył się w Katowicach Zjazd Delegatów Związku Wschodniemieckich Rzemieślników, co potwierdziło prestiż miejscowego środowiska na ziemiach królestwa Hohenzollernów. Dla miejscowych hotelarzy i restauratorów były to niezapomniane dni wielkiego powodzenia i jeszcze większych pieniędzy.

Na początku lat 70. XIX wieku Katowice stawały się terenem ekspansji ludzi pomyslowych i pracowitych. Był wśród nich Ludwik Katz, śląski Żyd urodzony w Toszku koło Gliwic. Cieszył się sławą doświadczzonego fachowca. Miał za sobą kilkanaście lat praktyki gospodarczej w największych ośrodkach miejskich i przemysłowych ówczesnego cesarstwa rosyjskiego. Jego „Fabryka robót asfaltowych i pokrywania da-

chów” – mieszcząca się w Warszawie przy ulicy Bielańskiej – cieszyła się renomą także poza granicami imperium Romanów-Oldenburgów. W 1875 r., w Katowicach, tam, gdzie dzisiaj zbiega się ulica Damrota i Krasińskiego, otworzył pierwszą na Górnym Śląsku – „Fabrykę asfaltu, papy dachowej i drzewnego cementu”. Jego wyroby uzyskały certyfikat Królewskiej Szkoły Technicznej w Berlinie i podbiły rynek budowlany niemieckich Kresów Wschodnich. Urzędowy atest papę Katza kwalifikował jako ogniotrwałą. Pokrywano nią nowoczesne eklektyczne a potem secesyjne i modernistyczne kamienice najzamożniejszych właścicieli budujących domy na Śląsku i w Niemczech. Papą najwyższej jakości były też pokryte dwie katowickie kamienice Katza – przy obecnej Warszawskiej i Staromiejskiej.

Życie codzienne

W 1874 roku katowiczanie czerpali wodę z ponad 1000 studni. Tylko one zaopatrywały kuchnie i umywalnie domowe – zarówno w gospodarstwach wiejskich jak i w kamienicach śródmieścia. Miały murowane ocembrowane osłonięte blaszanym daszkiem. Były głębokie na 3 a czasem na 17 m. W ciągu 25 lat, w mieście i w sąsiednich gminach wyszło 60 archaicznych ujęć.

Od 1874 r. księgarska oficyna Gotfryda Siwinny wydaje codzienne czasopismo „Kattowitzter Zeitung”. Katowiczanie prenumerują dziesiątki tytułów prasy niemieckiej ukazujących się we Wrocławiu i Berlinie. Miejscowi Polacy są abonentami periodyków drukowanych w Warszawie, Poznaniu, Krakowie i Lwowie a także w Bytomiu, gdzie Karol Miarka redaguje „Katolika”, kolportowanego również przez katowickie sklepy z książkami. Niezłe sprzedaje się „Gazeta Górnośląska” a od 1884 r., drukowane gotycką frakturą ale pisane językiem Kraszewskiego, ewangelickie „Nowiny Śląskie” wydawane we Wrocławiu przez pastora Jerzego Badurę i wspierane mecenatem prof. Alfonsa Parczewskiego. Nad Rawą, po polsku wychodzi starokatolicka „Prawda” a po 1876 „Przyjaciół ludu” ks. Edwarda Wołowskiego.

O tym co i po ile kupowało się wtedy w katowickich sklepikach z przysłowio- wym „szwarcem, mydłem i powidłem” dowiadujemy się z reklamy żydowskiego kupca zamieszczonej w „Katoliku”.

„S. Altman w Katowicach naprzeciw katolickiego kościoła sprzedaje nadzwyczaj tanio swoją, za pomocą maszyny parowej paloną kawę. Funt cukru po 31 fen. Funt faryny po 29 fen. Funt palonej kawy 1,30 M. Funt perłowej kawy 1,4 M. Funt cykorii 45 łutów 15 fen. Funt prawdziwej kawy Francka Franckaffee 15 fen. Funt ryżu 15 fen. Funt grochu Victoria 11 fen. Funt slipek 15 fen. Funt wielkich rodzynków 25 fen. Funt zielonego mydła 15 fen. Funt najlepszego krochmalu pszenicznego 24 fen. Funt Oranienburskiego mydła 23 fen. Funt najlepszej sody 5 fen. Funt świec parafinowych (paczka) 30 fen. Prócz tego udzielam każdemu odbiorcy przy 3 mrk rabatu 10 fenygów”. (Katolik, nr 19 z 6 marca 1885 r.)

Za kadencji Ruppela coraz wyraźniej rysowuje się przepaść pomiędzy burżuazją a biedotą. Wśród proletariuszy „Manifest komunistyczny” Marksa staje się równie popularny jak modlitewnik. Narasta kryzys gospodarczy. Podatki wzrastają trzykrotnie. Powiększa się liczba dłużników i przymusowych licytacji. Najpierw gwałtownie zwyżkują a zaraz potem drastycznie spadają ceny wynajmu lokali. Zimą i na przedwiośnie 1877 roku, do miejskiego lazaretu z czternastoma łózkami zgłasza się niemal 1200 ofiar tyfusu plamistego. Prawie 120 umiera. Miasto zagrożone upadkiem opuszczają zamożni kupcy i przemysłowcy. Ludzie żyją w niedostatku, tracą pracę i dachy nad głową. Nasiłają się kradzieże. Ich przyczyną był głód. Jesienią 1875 r. na katowickim targowisku kramarz dotkliwie pobił chłopca, który próbował ukraść słodką bułkę. W tym czasie Zarząd Powszechnego Związku Kobiet (Der Vorstand des allgemeinen Frauen-Vereins) opiekujący się grupą 175 dzieci, wystosował dramatyczną odezwę wzywając do zbiórki odzieży zimowej i pieniędzy na bezpłatną supę dla biednych.

Od 1875 roku w Katowicach pożary gasił Ochotniczy Związek Strażacki i Ratowniczy. Do pogorzeliców pędzili konnym zaprzęgiem a ogień tłumili wodą bądź piachem. W okolicy dzisiejszej ulicy Sienkiewicza, strażacy mieli wieżę, z której obserwowali miasto aby jak najrychlej wypatrzeć czerwonego kura. W tamtych latach walczyli z płomieniami trawiącymi hotel „De Prusse”, młyn parowy przy dzisiejszej Młyńskiej i tartak braci Goldsteinów. Do ich obowiązków należało też udzielanie pierwszej pomocy medycznej w nagłych przypadkach.

W tym czasie otwarto w Katowicach przedstawicielstwa towarzystw ubezpieczeniowych z Halle i Gothy, powstały także małe kantory, zajmujące się obiegami pieniędzy, udzielaniem drobnych pożyczek itp.

Ulicami kursowało 26 koncesjonowanych dorożek. Fiaków obowiązywał regulamin zatwierdzony przez władze municypalne. Podlegali zarządowi policji. Ich atrybuty to: kapelusz z wielkim rondem, peleryna i biczyśko. Mieli obowiązek doprowadzania koni na okresowe badania weterynaryjne. Główne postoje znajdowały się przed dworcem kolejowym, obok ratusza w Rynku, przed budynkiem landratury przy dzisiejszej Warszawskiej 45 oraz przed sądem rejonowym przy obecnej 3. Maja 13. W sąsiedztwie stały betonowe lifasy, słupy ogłoszeniowe oklejane plakatami i afiszami obwieszczającymi najważniejsze decyzje władz miejskich i powiatowych a także imprezy artystyczne. Niemal wszystkie zakamarki śródmieścia oświetlały gazowe latarenki zasilane przez zakład Kremskiego zlokalizowany przy ulicy dziś zwanej Wojewódzką.

W 1876 r. katowiccy Niemcy organizują Stowarzyszenie dla Krzewienia Języka Niemieckiego i Niemieckiej Kultury. Jest oczkiem w głowie dr. Holtzego, który wraz z teściem Grundmannem, już kilkanaście lat wcześniej postanowił ucywilizować miejscowych autochtonów. „Umacnianie” niemieczyzny jest dobrze widziane i popierane przez władze administracyjne



Pierwszy ratusz miejski przy obecnej ulicy 3 Maja, 1874.

rejenacji opolskiej. Mimo sprzyjającej koniunktury, stowarzyszenie zostaje rozwiązane w 6 lat później. Jednak ideologia germanizacji narodowości tubylczych, na nowo ożyje w ostatniej dekadzie XIX wieku. Idee pangermanizmu będzie propagował, zawiązany w 1891 r., All Deutscher Verband.

Dzieci uczą się w dwu szkołach wyznaniowych. Kierownikiem ewangelickiej jest Gürich a katolickiej – Wagner.

Od 1879 r. browar parowy Edwarda Wenzela, przy obecnym placu Wolności, staje się coraz bardziej popularnym miejscem spotkań towarzyskich. Powstaje tu chętnie odwiedzana piwiarnia, restauracja i dom koncertowy z audytorium na 500 osób, do którego od 1883 r. przyłgnie dumna nazwa Reichshalle – Hala Rzeszy.

Pod przęgiem kłatwy

Starokatolików proboszcza Kamińskiego, modlących się w swojej świątyni przy ówczesnej Karlstrasse, otaczała aura nieufności. W czasach wojny o rząd dusz, która przeszła do historii pod nazwą „kulturkampf”, linie frontu przebiegały także w sercach i umysłach mieszkańców tej okolicy. Bojaźliwi przechodnie ze zgrozą spoglądali na pruski mur budowlany, która od kilku lat była przybytkiem kapłanów wyklętych przez biskupa i papieża.

„W maju 1875 r. plotka, która wywołała poważne rozruchy przed budynkami szkolnymi w szeregu miejscowościach Górnego Śląska, skierowana była i obliczona na skompromitowanie Kamińskiego. Głosiła ona, że Kamiński będzie chodził po szkołach i przepisywał dzieci na starokatolicyzm, a tym, które się nie przepiszą, obetnie żelazną sztabą ręce lub nogi albo je wykastruje.” – pisze Zdzisław Surman, jeden z dziejopisów niepokornej wspólnoty.

Starokatolicy stanowili zdecydowaną mniejszość wyznaniową. Było ich około 3 tysiące. Tamtej wiosny, młody krakowski malarz Kajetan Saryusz podróżując do rozłąką do Królewskiej Huty odwiedził miasteczko nad Rawą.

„W Boże Ciało byliśmy w Katowicach na procesji. Uroczystość ta odbywała się z prawdziwym namaszczeniem; księża

są to ludzie światli, którzy pokończyli uniwersytety. Procesja odbyła się z całą pompą, gdyż tłum 27-tysięczny manifestował wtedy przeciwko partii starokatolików.”

Żydzi w Katowicach

W 1882 r. jako pierwsza na kontynencie europejskim powstała żydowska loża masoniska w Berlinie. Jako druga, już w następnym roku – loża „Concordia” w Katowicach. Była jednym z ogniw światowej organizacji o nazwie B'nei B'rith – synowie przymierza. Nazywano ją też „Bundes Bruder” (Związek Braterski). Była instytucją integrującą elity środowisk żydowskich.

W 1884 r., zwołano do Katowic – międzynarodową konferencję delegatów Chovevej Sijon – Ruchu Miłośników Syjonu, który po latach doprowadził do zjednoczeniowego kongresu w Bazylei i powstania międzynarodowej organizacji syjonistycznej inicjującej narodziny państwa Izrael. Obrady odbywały się w hotelu Antona Klemenza, na rogu Młyńskiej i Stawowej, naprzeciw miejsca, w którym dopiero 10 lat później wybudowano hotel „Kaiserhof”. Katowiczanie, na tym forum reprezentowali Moritz Moses, Selig Freuthal, Salomon Friedländer oraz Adolf Löbinger.

Wybór Katowic na miejsce historycznego spotkania świadczył o europejskim autorytecie tutejszej gminy wyznania mojżeszowego. Jej członkom powierzano wysokie godności we władzach miasta i powiatu. Spośród około 90 radnych miejskich jacy decydowali o losach miasta w latach 1866-1891 aż 30 było Izraelitami. Uchodzili za najbogatszych w Niemczech. Utrzymywali ożywione kontakty handlowe z zachodnimi prowincjami cesarstwa Wilhelmskiego a także z imperium rosyjskim. Handel i hotele znajdowały się głównie w ich rękach.

Blżej nowoczesnej Europy

Poroku 1880, rozpoczęto budowanie domów o trzech piętrach. O jedną kondygnację podwyższano istniejące już

nizsze budynki. Teraz zdobiły je elewacje o bogatszej formie architektonicznej. Na podwórkach wciąż jeszcze królowały studnie. Dopiero w 1887 doprowadzono pierwszy wodociąg; wodę pompowano do ogromnego zbiornika na szczycie Kamionki Katowskiej (obecnie: wzgórze Kościuszki), a stamtąd na miejskie posesje.

W 1881 r. nad ulicą św. Jana zawiął monumentalny, stalowy wiadukt kolejowy, po którym przetaczały się wielkie parowozy, ziejące ogniem i dymem. Ciągnęły za sobą wagony – osobowe, pomalowane na charakterystyczny brunatny kolor i pocztowe w jaskrawo żółtej barwie.

W 1887 r. Katowice doczekały własnej rozmównicy telefonicznej. Najdalej, można z niej było dzwonić do Nysy, Wałbrzycha i Wrocławia. Do ogólnoniemieckiej sieci abonentów, Górny Śląsk podłączono dopiero w ostatnim dziesięcioleciu XIX wieku.

Nie we wszystkich Katowice były w czołówce i na medal. „Miasto nasze gorliwie stara się upiększać plac okalający kościół katolicki, który zarazem jest prawdziwą ozdobą miasta. Urządzą obecnie wzdłuż ulicy Fryderykowskiej piękny sztalet żelazny. Ale z drugiej strony zachodniej owego placu znajduje się miejsce będące prawdziwą gnojownią – miejsce owo jest własnością radcy sanitarnego dr. Holtze” – 1 listopada 1879 roku „nie przebiegając w słowach ubolewał publicysta wychodzącej w Bytomiu „Gazety Górnoszląskiej” ks. Franciszka Pszynińskiego.

Niewiele lepiej było półtora roku później: „W Katowicach można nawet oczami oglądać, że kościół katolicki deskami zabity. Ulica prowadząca prosto od dworca żelaznego do kościoła została nowym płotem odgradzona w całej szerokości na samym końcu to jest właśnie przed probostwem i kościołem. Grunt pusty przed kościołem należał do p. dr. Holtzego, a teraz należy do jego teścia p. Grundmana” – skarżył się redaktor pożytecznego tygodnika. (Katolik 10 V 1881 nr 36).

Ponad 20 lat urbanizowane Katowice wciąż jeszcze były miastem kontrastów, nie wyróżniającym się niczym szczególnym – co zdaje się potwierdzać autor hasła „Kattowitz” zamieszczonego w popularnej niemieckiej encyklopedii „Meyers Lexikon” opublikowanej w roku 1889, ostatnim roku urzędowania burmistrza Ruppella.

„Kattowitz, miasto powiatowe w opolskiej rejenacji Prus, nad rzeką Rawą węzeł komunikacyjny linii Koźle – Oświęcim oraz pruskiej kolei miejskiej Nendza – Katowice, 272 m n.p.m., ma jeden ewangelicki, jeden katolicki i jeden starokatolicki kościół, Synagogę, sąd rejonowy, gimnazjum, zakład budowy maszyn kolejowych, huty żelaza i cynku, tartaki, zakład impregnacji drewna, mleczarnię, cegielnię parową, przedsiębiorstwa prowadzące handel węglem i drewnem.

W 1885 14200 mieszkańców (2482 ewangelików, 10140 katolików i 1576 żydów).”

• Kozy, wielbłądy i libijskie reminiscencje

Na przełomie sierpnia i września 2006 roku trafiłem po raz pierwszy do Libii, a dokładniej do Wielkiej Arabskiej Ludowej Libijskiej Dżamahiry – bo tak brzmiała oficjalna nazwa państwa. Krajem rządził wówczas niepodzielnie pułkownik Muammar al-Kaddafi, syn pasterza i hodowcy wielbłądów oraz kóz. Zawodowy rewolucjonista, który w 1969 roku obalił króla Idrisa I. Swoją siedzibę, czyli system betonowych budynków i bunkrów, ulokował w samym środku stołecznego Trypolisu. Nawet niewprawny obserwator dostrzegał liczne wieże kontrolne, gniazda karabinów maszynowych, otwory strzelnicze, stadionowe oświetlenie. A jednak podróż po tym policyjnym i zbójckim państwie choć uciążliwa była względnie bezpieczna. Utrapienia wynikały z ciągłych kontroli cudzoziemca, do których uprawnionych było aż 16 formacji mundurowych.

• Odrażający, brudni, źli?

Po dokonanych w październiku 2011 roku linczu na dyktatorze przestała właściwie istnieć Libia, rozpadając się jak domek z kart na kilka nieuznawanych przez społeczność międzynarodową państweczek. Podobne losy spotkały Irak, którego okrutny swawolnik Saddam Hussein, został powieszony przez, nazwijmy ich wielkodusznie, rewolucjonistów w 2006 roku. Na gruzach tego państwa i na terytorium Syrii, której fragmentami zarządza Baszar al-Assad, powstał nadzwyczaj brutalny Kalifat Islamski i Lewantu, znany między innymi z dekapitacji niewiernych, dokonywanych wcale nierzadko przez dzieci. Niespokojny, po obaleniu prezydenta Hosni Mubaraka w roku 2011, jest Egipt, regionalne mocarstwo, targane teraz konfliktami społecznymi, religijnymi i politycznymi. A ledwie kilka tygodni temu byliśmy świadkami zamachu na turystów zwiedzających tunezyjską chlubę muzealną – Brado. 17 grudnia 2010 roku wybuchła w tym kraju fala protestów przeciwko biedzie, inflacji, bezrobociu, doprowadzając do obalenia rządzącego od ponad 20 lat prezydenta Zina el-Abidina Ben Alego i jego banicji.

• Mądrości pijanego Dantona

Wszystkie te zdarzenia skłaniają do stawiania licznych pytań, na któ-



MAREK S. SZCZEPAŃSKI

Notatnik
spóźnionego przybysza

Uroki dyktatury

re zapewne nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Czy lepiej jest żyć w kraju rządzonym dyktatorsko, w pełni reżimowo, ale z gwarancją integralności terytorialnej państwa oraz względnie pewnego bezpieczeństwa egzystencjalnego? Czy może się okazać, że rewolucje – jak zwykł mawiać zwłaszcza w stanach nietrzeźwości Georges Danton – nie tylko pożerają własne dzieci, ale rujnują kraje, fundamentalnie dzielą społeczeństwa i nakręcają spiralę ludzkiej nienawiści. Czy fatalne skutki czynów rewolucyjnych rekompensowane są przez późniejsze osiągnięcia cywilizacyjne, obywatelskie i polityczne? Mam wiele w tym zakresie wątpliwości i nie zawsze podzielam zdanie, że *głos ludu jest głosem Boga (Vox populi, vox Dei)*.

• Zawód: burzyciel pomników

Analizując zdarzenia w państwach arabskich dostrzec można kilka podstawowych prawidłowości. Przede wszystkim najlepiej wychodzi bojownikom obalenie dyktatury, niszczenie pomników i posągów, dekonstrukcja ikonografii z przeszłej epo-

ki oraz pokazowe procesy sądowe. Zdecydowanie gorzej – konsolidacja wokół naprawy państwa, jego instytucji i personelu. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że nie posiadają oni czytelnej wizji przyszłości, ani też specjalnie się nią nie przejmują. Rozpad ustalonych dotąd reguł, nazywany w socjologicznym żargonie anomią, czyli stanem bezprawia, powoduje, że pojawiają się formacje ekstremalne zapraszające do kooperatywy bezrobotnych, sfrustrowanych, żyjących w biedzie i poczuciu bezsilności. Kałach i żołnierski uniform podnoszą samozadowolenie i poczucie wspólnotowej przynależności. Oczywiście wśród arabskich ekstremistów bez trudu znaleźć można osoby dobrze wykształcone, pochodzące z zamożnych rodzin mieszczańskich, od lat wpisanych przy tym w kulturę europejską. Ale to nie oni tworzą mięso armatnie. Raczej pełnią funkcje ideologiczne i mentorskie, przygotowując kolejne zamachy oraz odrażające egzekucje.

• Szewc z Efezu i pilot Germanwings: elipsa

To sposób na publiczne zaistnienie, demonstracja odrazy wobec Zachodu i nadzieja na zbawienie wieczne. Warto jednak przy tym pamiętać, że taka postawa znana była już w antyku. Szewc z Efezu, miasta ulokowanego dzisiaj w Turcji, pragnąc sławy i nieśmiertelności podpalił w czwartym stuleciu przed Chrystusem, świątynię Artemidy, wtenczas jeden z siedmiu cudów świata. W literaturze naukowej określaną jest mianem pierwszego terrorysty. Nie wiem jak w tym kontekście nazwać Andreasa Lubitza drugiego pilota samolotu, który najprawdopodobniej w samobójczym szale zamordował 149 kolejnych osób. Czy to oznacza, że mordercze instynkty towarzyszą człowiekowi od zawsze. Są wieczne, niezmiennie i niezniszczalne i nie przypisane wyłącznie arabskim radykałom? Stawiając takie pytanie wracamy do siedemnastowiecznego sporu filozoficznego między Tomaszem Hobbesem i Johnem Locke. Ten pierwszy był przekonany, że człowiek jest istotą nierozumną, agresywną i niszczącą. Ten drugi zakładał, że każda jednostka obdarzona jest rozumem, *ratio*, który pozwala jej na społeczne funkcjonowanie. Kto z nich miał rację? Oto jest pytanie.



13 marca 2015 w Muzeum Historii Katowic otwarto wystawę „Paweł Steller – artysta deportowany”, przywraca ona pamięć o wydarzeniach, które wpisały się trwale w tragiczną historię Górnego Śląska. Na zdjęciu od lewej syn Pawła Stellera – Stefan Steller i dyrektor MHK dr Jacek Siebel.

Paweł Steller

– artysta deportowany, pamięć przywrócona

– 13 marca 2015 roku przyjechał pan wraz z rodziną do Katowic na wernisaż „Paweł Steller – artysta deportowany”. Jak pan wspomina ten dzień?

– Udział w wernisażu to było bardzo poruszające przeżycie. Na długo pozostanie w mojej pamięci. Sam pomysł zorganizowania wystawy, uczynienia Pawła Stellera jedną z twarzy tragedii tysięcy Górnoszlązaków to bardzo dobry pomysł. Wystawa została zorganizowana wyjątkowo pieczołowicie.

– Blisko dwadzieścia lat temu pisał pan (także w miesięczniku „Śląsk”) w artykule „Najdłuższa

podróż”, że okoliczności deportowania pańskiego ojca były niejasne. Czy przez ten czas coś się zmieniło? Pojawiły się jakieś nowe szczegóły?

– Niewiele. Ustaliliśmy już wcześniej, że prawdopodobnie do deportacji mógł się przyczynić kontakt z dawnym uczniem, który był urzędnikiem i pomagał ojcu załatwić dokumenty dla brata Franciszka, wywiezionego w czasie okupacji na roboty przymusowe. Zapisał w swoim notesie nazwisko i adres ojca obiecując wyjaśnić sprawę. Zamiast niego w mieszkaniu zjawił się żołnierz NKWD. Okazało się,

że dawnego ucznia aresztowano pod pretekstem szpiegowania na rzecz obcego wywiadu, a ojca prawdopodobnie wywieziono za kontakty ze szpiegiem.

– Czy pana ojciec – Paweł Steller powracał w swoich wspomnieniach do okresu pobytu na Syberii?

– Bardzo niechętnie. Nie chciał żyć przeszłością. Uważał czas okupacji i deportacji za zmarnowany pod względem artystycznym.

– Na wystawie zostały zaprezentowane między innymi portrety, które Paweł Steller wykonał na Syberii. Ich potomkowie byli również obecni na wernisażu. Czy Paweł Steller utrzymywał po powrocie kontakty z towarzyszami zesłania?

– Nie za bardzo. Po powrocie do kraju ojciec zajął się twórczością. Chciał po sobie zostawić jak najwięcej. Bardzo intensywnie pracował.

– Kiedy pana ojciec wrócił jesienią 1946 roku zastał w Katowicach już zupełnie inną rzeczywistość. Jak się w niej odnalazł?

– Okres stalinowski można nazwać jednym z najbardziej ponurych we współczesnej historii Polski. Ojciec był już wtedy dojrzałym artystą. Postanowił całkowicie poświęcić się sztuce. Cenił sobie coraz bardziej niezależność. Nowi artyści początkowo patrzyli na ojca podejrzliwie. Uważali, że „musiał coś przeszkrobać, skoro go wywieźli”. Jego przedwojenne zasługi dla sztuki nie liczyły się, a krytyka nie zauważała jego prac. Mimo to przyjęto go do Związku Artystów Plastyków. Musiał zdać egzamin z książki pt. „Historia Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii”. W razie niezdania groziły ojcu jakieś bliżej nieokreślone sankcje. Ja także musiałem zdawać taki egzamin na uczelni. Obaj strasznie się męczyliśmy. Ojciec musiał się nawet zamknąć w pracowni na kilka dni, aby tę wiedzę przyswoić w wystarczającym stopniu. Takie to były czasy. Żył pracą, sztuką. Fascynował go Śląsk. Znowu stał się kronikarzem rodzinnej ziemi. I to się dla niego tak naprawdę liczyło.

– W mediach często pojawia się bardzo spłycona historia pomnika dla Armii Czerwonej. Jaka była prawdziwa historia tej wykonanej na rozkaz generała Zawadzkiego rzeźby?

– Ojciec zaprojektował pomnik i znalazł jego wykonawcę – specjalizującego się w wykonaniu nagrobków. Dzięki temu pomnik stanął w terminie wyznaczonym w rozkazie generała Zawadzkiego – w ciągu 3 dni. Prawdopodobnie, gdyby ojciec nie zdążył, groziłby mu sąd polowy.

– Wróćmy do twórczości Pawła Stellera. Czy pobyt w obozie wpłynął na styl jego pracy twórczej?

– Wydaje mi się, że nie bardzo, chociaż nie stworzył już po wojnie tak pełnych wyrazu portretów. Zastanawiałem się wiele razy czemu nie kontynuuje swego cyklu wspaniałych głów – portretów. Nie ma na to jednoznacznej odpowiedzi. Może przyczyniły się do tego przeżycia okupacyjne, deportacja na Syberię, może śmierć mojej matki.

– Wspomniał pan, że wywózkę przetrwali nie najsilniejsi fizycznie, ale psychicznie. Paweł Steller był człowiekiem głęboko wierzącym, czy ta wiara pomagała mu przetrwać?

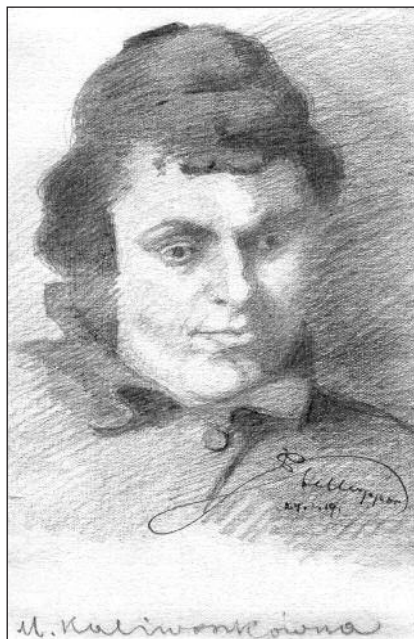
– Ojciec był trochę mistykiem, a trochę filozofem. Miał głęboką wiarę w swój powrót. Stworzył coś w rodzaju bariery wokół siebie nie dopuszczając złych myśli. Jednocześnie, pocieszał innych, pomagał im, dzielił się żywnością. Wszystko czego doświadczył pozwoliło mu na pogłębienie wiary w Boga.

– O Tragedii Górnośląskiej dopiero zaczynamy mówić otwarcie. Był pan w Centrum Dokumentacji Deportacji Górnoślązaków do ZSRR w Radzionkowie. Jak pan odebrał to miejsce? Jakie emocje towarzyszyły tej wizycie?

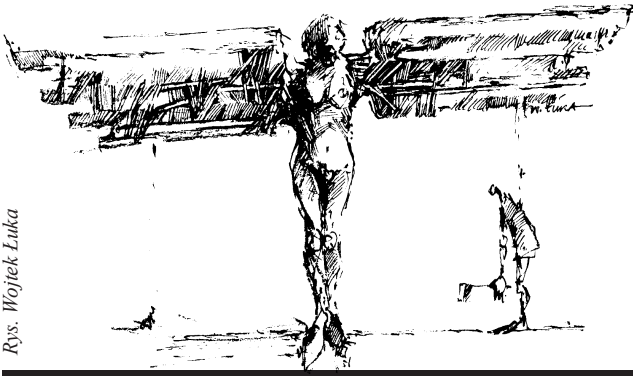
– Wystawa w Centrum w Radzionkowie jest świetnie zrobioną ekspozycją, którą długo się pamięta. Zwiedzanie jej było głębokim przeżyciem dla całej naszej rodziny. To dobry przykład na dotarcie do młodego pokolenia z przekazem faktów dotyczących naszej polskiej historii. Widziałem to obserwując reakcję mojej dwunastoletniej wnuczki.

– Rok 2015 – rok obchodów Tragedii Górnośląskiej jest wyjątkowy, przywracamy pamięć o ofiarach tamtych wydarzeń. Takie Centrum, jak w Radzionkowie, czy taka wystawa jak „Paweł Steller artysta deportowany” to elementy przywracania tej pamięci. Co jeszcze możemy zrobić, żeby kolejne pokolenia nie zapomniały?

– Trzeba o tych sprawach mówić, pisać w sposób dostępny dla młodego pokolenia. Centrum w Radzionkowie powinno być znane w całej Polsce, powinny tu przyjeżdżać wycieczki szkolne i nie tylko. O tym powinno się także rozmawiać w rodzinach, przekazywać wiedzę o wydarzeniach, a także tradycję rodzinną. Tak, jak ja staram się wprowadzać moją córkę, Anitę, w sprawy związane z dziedzictwem artystycznym mojego ojca, z nadzieją, że ona przekaże to z kolei moim wnuczkom.



Wystawa wpisana się w obchody 120 rocznicy urodzin wybitnego śląskiego artysty oraz 70-lecia Tragedii Górnośląskiej. Na zdjęciu od lewej: autorka koncepcji plastycznej wystawy Joanna Sowa, Jacek Lyszczyzna (kurator wystawy i autor wywiadu) oraz Stefan Steller.



Miłość częściowo TADEUSZ KOZIURA Fragment powieści nieświeża

S trzymając mało wytwornie śliną przez zęby, inżynier Edmund Kukuna kroczył parkiem. Rozważał jakby przysposobić sobie stosowną przestrzeń użytkową w swoich letnich, obszernie modnych spodniach.

Abym w nich swobodnie, z pewną ilością ukrytych tam, a niezbędnych mu do rozkoszowania się życiem produktów żywnościowych, wymijać sklepowych ochroniarzy, ze sztucznym też, jak te jego zęby, spokojem.

I gdy tak szeroko i z rozmachem szedł, spluwał i kombinował, zadzwoniła mu w kieszeni komórka. Którą, za najniższą kwotę raz w miesiącu doładowywał. I oto słyszy, że zaraz przemówi do niego niemiecka telewizja.

Telewizja niemiecka...!

Łatwo pomyśleć to, co on w te pędy pomyślał:

– Hm... Tego, eee... Właściwie, jakby to powiedzieć, a dłaczegóż by nie? Czy to ja nie mogę ewentualnie nawet uwierzyć, że mnie z jakichś chwilowo bliżej niespodziewanych powodów nagle odkryto zagranicą? Co to ja jestem jakiś głupi, albo coś? Swego czasu dokonywałem przecież różnych licznych usprawnień, żeby nie powiedzieć – wynalazków. Opatentowałem, na przykład, skarpetkę w kształcie rury... Co zwiększało wielokrotnie czas jej używalności. Typ światowego osiągnięcia, które nie zostało jednak wprowadzone do produkcji z powodu zacofania ówczesnego naszego przemysłu pończoszniczego.

Więc zaraz...!

Już prawdopodobnie kumam!

W związku z tym jakby coś, to natychmiast zdecyduję się na kontynuowanie kariery wynalazczej, ale tylko tam, u nich. Jestem albowiem pod wrażeniem zalet gospodarczych i politycznych mieszkańców tego zadziwiającego kraju.

To mówiąc do siebie, z komórką przy uchu, inżynier nie przerywa swych posuwistych kroków. Idzie dalej, choć już mu się nogi ze zdenerwowania lekko płątały.

Mógłby, owszem, stanąć, przysiąc, ale taki był wzruszony, wstrząśnięty i pomieszany, że ławki dostrzegał jak za mgłą. Przestawał ostro widzieć, jak to niekiedy bywa przed ciężkim udarem mózgu. I nie chodziło nawet o to, że ta niemiecka telewizja jeszcze się nie odzywała. Za połączenie płacili w końcu oni. Tylko zastanawiał się w jakim języku przeprowadzi rozmowę.

Znał kilka języków.

Najlepiej oczywiście rosyjski. Nigdzie tak dobrze nie gadało się inżynierowi po rosyjsku jak tu, na miejscu.

Niemiecki znał nieco gorzej.

W zasadzie dość słabo. „Hande hoch”, „Hitler kaput”, „bitte ausweis”, „komm panienka schlafen”, oraz ewentualnie parę przekleństw, związanych z nacjonalistycznym określeniem wieprzowiny.

Zresztą, co tam!

Do niego będą dzwonić.

Nie on do nich.

Tu wreszcie telefon się odzywa. I ktoś mówi wprost zachwycającą polszczyzną. Nie tylko bez śladu obcego akcentu, ale co więcej nawet bez „kurwa” w co drugim zdaniu. Przedstawia się z imienia i nazwiska, podaje nazwę telewizji, ale wszystko to natychmiast wyparowuje z pamięci oszołomionego inżyniera.

– Ach, ileż to ja się pana naszukałem... – Powiada do Edmunda Kukuny tą zabytkową polszczyzną mężczyzna z tamtej strony Odry. Kiedyś granicy Pokoju, a teraz swobodnych przejazdów w obie strony. – Pańscy znajomi podawali mi wyłącznie złe adresy. W biurze meldunkowym też pan figuruje niewłaściwie.

– Ja, ja... – Przytakuje wcale niezaskoczony tymi kłopotami inżynier. – Ja wohl. Dojczye niks fersztejn. Pa ruskie gawaricie?

– Kanieszno. Oczeń charaszno. – Odpowiada tamten przedstawiciel telewizji niemieckiej. I to znów z tak poprawnym akcentem, jakby dopiero co powrócił z łagru na Kolymie. – Będę mówił krótko. Ale tak smacznie, że pan by mnie chętnie słuchał do końca świata i jeden dzień dłużej. Otóż, proszę pana, my dajemy co miesiąc w naszym programie bar-

dzo tutaj popularny reality show. Pod tytułem „Miłość prawdziwa, wiecznie żywa”. Pan by może na pewno chciał, drogi panie Edmundzie, wystąpić w nim do spółki z jedną panią?

„Zaraz...” – myśli Kukuna cały spocony. – „O co tu tak naprawdę zaczyna chodzić? Z jakiej racji jakaś ta cała „Miłość prawdziwa, wiecznie żywa”? Czy ja przypadkiem nie czegoś absolutnie innego oczekiwałem?”

– Wyłącznie tylko z jedną? – Pyta więc, bo z pomieszania zaczęła mu się ta cała „Miłość wiecznie żywa” kojarzyć w ogóle nie wiadomo, a raczej zupełnie wiadomo, z czym.

– Z panią niejaką Edeltrudą z domu Bzik. Panu to nazwisko coś już przypomina? Obecnie po trzecim mężu otóż hrabina von Biberstein.

– Bzik von Bi...?! – Inżynier nie dokończył, bo głos mu się załamał. Zupełnie jak równowaga psychofizyczna przed wieloma laty. Z nią? Z Bzik, była żoną? Dawna, wielka miłość? Przerwana z powodu narwania... Gdyż Bzik choć precyzyjna, pełna wdzięku i uroku, była nadzwyczaj narwanie niewierna. Trojga imion, Manuela, Violetta, Edeltruda Bzik! Miłość prawdziwa, wiecznie żywa!

Inżynier z komórką przy uchu, dotarł do ławki. I półomdlały przysiadł. Choć dojść do siebie było mu jeszcze bardzo daleko.

Wtem...

Jakby go coś nagle tknęło.

Tknęło i zaczęło tykać i tykać!

Wprost wyraźnie ostrzegając!

Że to może przecież być... Ależ naturalnie, że tak!

Było! Tak właśnie. Było!

Zasiadka była! Zasadzka! Jedna z tych wielu pułapek, które na inżyniera zastawiali wrogowie. Których zwieńczeniem było ciężkie pobicie, po którym musiał przejść na rentę. Zasadzki się nie udawały, to pobili!

I już, już otwierał usta, aby zacząć mieszać z błotem, poniewierając, wyzywać podstawionego łajdaka, szubrawca podającego się za przedstawiciela niemieckiej telewizji, gdy go oświeciło znacznie lepszym konceptem.

Po co z miejsca, natychmiast demaskować? Czy nie lepiej poudawać chwilowo głupa?

Więc w takim razie, co? Podjąć samotny bój?

Na własną rękę zawalczysz?

Zastępować stworzone do tego urzędy?

– Wie pan, proszę ja pana, co? – Zwraca się więc inżynier przez tę komórkę do owego drania z „niemieckiej telewizji” z udawaną, uprzejmą wykwinnością, aby go, broń Boże, nie spłoszyć. – Osobiście to ja, ajn moment, imaginowałem sobie przed chwilką, że wypłynę u was, owsem, ale wyłącznie w zgoła innej, okolicznościowej roli.

Nizeli z tą nieoczekiwanie ciągle zaskakującą, moją była, Bzik. Z którą rozstałem się przecież w ciężkich, sercowych okolicznościach. No, ale widać trudno. Życie nie wybiera. Zagram w związku z tym w ciemno.

Czyli w tak zwany w wyższych sferach – va banque. Bo nie znam jeszcze chwilowo swoich nieujawnianych dotąd aktorskich możliwości. Ryzyk – fizyk. Nie ukrywam, iż pomimo ciężkich, miłosnych zaszłości, kocham madame Bzik wprost nieprzytomnie nadal. Nieomal bez przerwy nieprzerwanie. Jest to bez wątplenia, podejrzewam, rzeczywiście tak zwana powszechnie – „wieczna miłość”. Choć już, też prawda, częściowo nieświeża. Co, trudno, ale uprzedzam, będzie was kosztować.

– Takie sercowe melodramaty życiowe ogromnie przeważnie wstrząsają tak zwaną szeroką publicznością. I doprowadzają przed ekranami kin oraz telewizorów do morza łez. – Odpowiada na to tamten. Podstawiony łajdak. Ciągle z fałszywym ugrzecznieniem. Choć, ani chybi, aż trzęsie się od powstrzymanego z trudem śmiechu. – Dzięki jednak takim jak my, skromnym pracownikom kultury, edukacji i rozrywki, drogi panie Edmundzie, przelewane łzy nie spływają niczym groch po ścianie na próżno. Wzrost oglądalności bezwzględnie odbija się podźwigiem słupka ilości reklamodawców. Które skaczą z miejsca natychmiast w górę. A biorąca udział w naszym show para, zostaje zyskownie obdarowana

reklamowanymi w przerwach produktami światowych marek. Już pan mnie w tej chwili zrozumiał? Jednym słowem – przez łzy do szczęścia!

– Tak, tak, tak. Jak najbardziej. Całkowicie jasne. – Cwannie przytakuje Edmund Kukuna. Nie pyta nawet, skąd tamtemu szubrawcowi wiadomo o jego byłym z Edeltrudą figo-fago miłosnym. I co będą ewentualnie z Bzik von Biberstein reklamować. Aby drania przypadkiem nie wprowadzić w stan zakłopotania brakiem odpowiedzi na wcześniej nieprzewidziane pytania.

– Kiedy mam w takim razie spodziewać się przyjazdu ekipy telewizyjnej, oraz naturalnie, pani hrabiny Bzik von Biberstein?

Można by sądzić, że teraz przyszła kolej wewnętrznego chichotu na inżyniera. Bo przyparł oszusta – jak się to mówi – garbem do ściany.

– Ależ wcale nie! – Ripostuje tymczasem tamten, z ogromnym naciskiem na to „wcale nie”. Wskazującym nie tylko na nie tracenie dotychczasowego tupetu, ale nawet na ogromną pewność triumfu.

– O czwartej trzydzięci nad ranem odleci pan z lotniska. Ja tymczasem, jak gdyby nigdy nic, czekam miejscowo. I natychmiast po przylocie, obojętnie – z opóźnieniem z przyczyn atmosferycznych, czy bez, odbieram pana z aeroportu i wiozę służbową limuzyną do hotelu pierwszej klasy z użytkowaniem basenu, masaży i tak dalej. Tam nastąpi sfilmowanie spotkania z oczekującą już z tęsknotą panią hrabiną. Ogólna całość podawana będzie na świeżo dopiero potem. Ze studia telewizyjnego z udziałem szerokiej publiczności. Czyli de facto opłaconych statystów. Instruowanych z teledubem odpowiednimi komendami, celem wywierania w odbiorcach sterowanych emocji.

Aha, mamy też, oczywiście, zawodowego tłumacza.

Który z góry wie, co opuszczać, a jakie głupoty dodawać. Pan się będzie tylko ciągle radośnie uśmiechać. Ale jak damy z boku znać, to pan się zmusi i wyciśnie kilka łez... Nad pozostałą resztą całkowicie fachowo zapanujemy.

– O, ja cię kręcę, a niech mnie...! – Podchwytuje, ale nadal z nutką pozorowanego zachwytu Kukuna.

Zaczyna się orientować, że zastawiana pułapka nosi wszelkie znamiona przewidująco opracowanego planu operacyjnego.

To pozwala mu natychmiast na skojarzenie znajomych sobie aż za dobrze osób, skupionych wokół głównego operatora tej nadzwyczaj zręcznie przemyślanej akcji. Czyli byłego oficera bezpieczeństwa, Leona Sopočki. Widać, ciągle jeszcze mało zadowolonego z jednego tylko zleconego ciężkiego pobicia. Zrobienia kaleki z inżyniera.

„Oczywiście, żeby dojechać o wczesnej porze do odległego lotniska, bym musiał zapotrzebować taksówkę”. - Inżynier zaczyna z szybkością komputera rozważać w duchu przebieg myślenia operacyjnego Sopočki. – „Następnie wykupić bilet. Nowe dla mnie kosztą. Trza by mi niewątpliwie wziąć błyskawiczny kredyt. Łatwo dostępny, bez sprawdzania BIK, wymagania zgody współmałżonka, z dojazdem kasjera do domu. Szemrani parabankowcy nie daliby mi potem żyć. Na zezowatych oczach prawa wykańczają wpierw procentami, potem odsetkami, a na koniec odsetkami od odsetek.

Ale, dajmy na to, przylatuję jednak do Niemiec.

I co? Nikt mnie oczywiście nie oczekuje.

Bo o to przecież w tej zasadzce chodzi.

U nas mam, mimo wszystko, zabezpieczone warunki godnego vegetowania. A tam? Jako kłoszard zmuszony zostanie pozostać bez znajomości języków obcych. Dla inteligenta jest to w obecnych czasach okoliczność co najmniej kompromitująca. O, ty sukinsynu, Sopočko!”

W tym miejscu, jeżeli można by się spodziewać, że inżynier nie zapanuje już nad całością swoich zszarpanych nerwów i wybucha, to akurat dzieje się wprost przeciwnie. Daje on mistrzowski popis koncertu dalszej samodyscypliny.

– Jestem w poważnym stopniu zachwycony – powiada. -Więc nie chciałbym mimowolnie psuć atmosfery. Ale co przypadkowo będzie, jak na lotnisko przyjadę taksówką w cenie noc-

nej taryfy, a bilety w kasie lotniczej będą już rozgospodarowane?

– Co to, to nie – powiada tamten. – Chociaż rozumiem nasuwające się drobne wątpliwości. Wasze trudności nieustannego wzrostu i rozwoju. Przyzwyczaję do ruchu oporu.

Otóż bilet w kasie będzie pan miał zarezerwowany. Czasem odlotu samolotu, niestety, nie możemy, panie Edmundzie, mimo wszystko dysponować. Więc to pan raczej łaskawie niech się nie spóźnia. Aha, i jak już pan będzie leciał w klasie turystycznej, to niech pan, jak pewien wasz wybitny polityk, kapelusza i paltocika nie odkłada w klasie biznesowej. Chyba że byłby to roztelepany samolot waszych linii lotniczych. Pan nie ma wprost pojęcia, jaki jest u nas głupi porządek i nadużywanie poszanowania przepisów.

Tymczasem z dużym poważaniem żegnam pana chwilowo. Niebawem odezwę się jak najbardziej. Albowiem wypada mi omówić to i owo z panią hrabiną. Która kompletnie niczego jeszcze o niczym nie wie.

Minęło kilka dni od rozmowy z podstawionym pseudoprzedstawicielem telewizji.

Okres ten podziałał bardzo korzystnie na dalszą bystrość Edmunda Kukuny. Po pierwsze doszedł do wniosku, że lajdak więcej już nie zadzwoni. Bo przeniknął domyślnie nawet tak wyrafinowaną inteligencję, z jaką na co dzień inżynier raczej się nie ujawniał. A po drugie, gdyby nawet zadzwonił...

Przy tak przemyślnie szytej operacji, stać ich było na znacznie więcej, niż tylko na pobicia, pozorowanie samobójstw, czy banalną rezerwację biletu w kasie linii lotniczych.

Więc coby było, gdyby tak było, jak miało być?

A toby inżynier doleciał, by wylądował, by potem, w warunkach względnie brudnych, ze względu na sprawną segregację niemieckich śmietników – i bez słowa skargi, pamiętać trzeba wszak o nieznanym języku – by tam, w okolicach przylotu nie wiadomo jak długo, może do usranej śmierci, by pobyl.

Zatem to, co wyjeżdżającemu za pracą, nieraz z dwoma fakultetami młodemu człowiekowi, dawało szansę rozpoczęcia kariery od samych podstaw, dla Edmunda miało być, czym?

Zagranicznym śmieciarstwem bis?!

Wrogom inżyniera, pragnącym skazać go na śmierć cywilną, oczywiście chodziło o zagadnienie jego trwania w bolesnym przeżywaniu.

Berlin wszak też rajem nie będzie nawet dla tak utalentowanego, wybitnego dziadzi, jakim był inżynier. Choć w tamtejszych domach noclegowych nie indagują kim jesteś, skąd przybyłeś, dokąd zmierzasz, a utulą nawet gdyś pijanym. Zatem pytać należałoby, dlaczego ojczyzniane dziaństwo tam nie emigruje, tylko akurat najbardziej wartościowa, zaradna młodzież? Skarb narodu? Który winien pomnażać wartości właśnie na miejscu? Aby emerytom żyło się lepiej, a renciści rośli w siłę?

Grzebiąc w śmietniku ojczyznianym, swoim wśród swoich, inżynier był równym wśród równych. Tam, poza ojczyzną, w godności tej szczególnej nie podtrzymywany, nie podolałby. Upadłby jeszcze bardziej. Po prostu poniżej zawyżanej i tak wszelkiej statystycznej średniej krajowej.

Ale co się dzieje dalej...

Otóż czwartego dnia fałszywy przedstawiciel niemieckiej telewizji jednak odezwał się!

Podejrzenia mimo że w zasadzie podstawne, tym razem nie miały podstaw. Przedstawiciel był prawdziwy. Telewizja była prawdziwa.

– Pan się nerwowo już więcej nie zagryza. – Informował Edmunda wyraźnie przyciszonym głosem. – Gdyż hrabina zdecydowanie odmówiła uczestnictwa w show. Pomimo włożonego trudu zostałem, jak pan widzi, na lodzie. Nie wykluczam nawet z tego powodu utraty dalszych zleceń z telewizji. Na całe szczęście, nie są moim jedynym życiowym posłannictwem. Albowiem dorabiam nimi tylko wyłączenie. Co pan, panie Edmundzie, mówi? Nie, nie... Aby ukończyć na tutejszym uniwersytecie eksponowane studia... Jakże? A z zakresu prawa międzynarodowego. Tak.

Pozwolą mi, panie Edmundzie, po powrocie do kraju na zajęcie bez protekcji i znajomości, jakiegoś wysokiego stano-

wiska. Na przykład w samorządzie lokalnym. Asystenta, być może, sołtysa nawet. Mając takie widoki nie upada się na duchu. Zwłaszcza teraz. Gdy dzięki polityce rządu, mniejsza jakiego, politycy są wszyscy tacy sami, w podziwianiu w Europie sposób rozwijamy się nieustannie.

Porzucę tutejsze trudności tylko po to, aby szeroko skorzystać z ułatwień, jakie u was posłowie tworzą... Nie tylko zresztą sobie i młodzieży w kraju.

– Jak to hrabina odmówiła...?! – Inżynier zaskoczony, sam naskakiwał na niewinnego studenta. – Jak to śmiała odmówić? Jakim prawem?!

A przecież znał Bzik nie od dziś.

Obecna hrabina von Biberstein bez wątpienia była tu, w tej emocjonalnej odmowie, w tym całym zaparciu, postawieniu się na „nie”, tak wyraźnie dawną sobą, że powinien był odpowiedzieć znać bez pytania.

Rozpoznać oryginał po odmowie, niczym policja podejrzanego po liniach papilarnych. To była właśnie ona. Najdroższa Edel, Delcia, Delicja, Delicjyka. Charakter nie tyle nawet w ogólnym, znanym powszechnie seksualnym sensie odmowny, bo tu było akurat odwrotnie, co jedynie zawsze wprost absolutnie przekorny.

– Otóż odmówiła, proszę pana, prawem jakoby dobrego smaku! Takie, rozumie pan, fiu-bzdziu... Muchy w nosie arystokratycznego haj lajfu. Że, niby, nie zamierza jako dama z wyższych sfer zniżać się do duchowego striptizu przed spragnionym magla telewizyjnym prostactwem. Przed miłośnikami seriali, hepającymi piwkiem po zżarciu golonki. Kiedy akurat ona, hrabina, będzie się otwierać, negliżować i sięgać do najgłębszych zakamarków swej duszy. Bo pan, powiada, jak pana dobrze zna, przekręcać będzie prawdę, lać łzy krokodyle i smarkać w dziurawą, jeżeli w ogóle jeszcze pan jakąś ma, chusteczkę.

– Proszę, proszę... I co to się zaraz robi z człowieka, gdy tylko zbyt wysoko przekroczy drabinę swoich przyrodzonych kompetencji – powiada z przekąsem inżynier. Wyraźnie w głębi serca żałował, że oprócz artykułu reklamowanego, nie otrzyma dodatkowo T-shirta. Albo kubka z napisem po niemiecku „Miłość prawdziwa – wiecznie żywa”.

– Czy, jeżeli ścisła tajemnica produkcyjna pozwala, mógłby mi pan ewentualnie wyzdradzić, skąd w ogóle to całe zamieszanie? Czyli, jak pana szeroko oglądalne medium telewizyjne wpadło na nasz zadawniony adres?

– Pani hrabina, po zgaśnięciu świętej pamięci trzeciego z kolei małżonka, Helmuta, Johana, Mo...

– Pozwoli pan, że jednak sprostuję. – Przerwał Kukuna z możliwością tylko do pewnego stopnia w tych warunkach grzecznością. – Jeżeli już coś, to owszem, ale piątego, proszę pana. Ja zapoczątkowałem tę serię. Na której, nota bene, zapewniam pana, z pewnością jeszcze się nie skończy. Proszę, bynajmniej. Pan mówi dalej, ja słucham.

– Więc... eee... dobrze. Piątego... eee... Johana, Moritza hrabiego von Biberstein de Niepij-Nalewajko. Zdaje się, że to chyba, sądząc po rodowym nazwisku, nieodrodny kiedyś nasz rodak, panie Edmundzie.

– Bym już określił raczej w takim razie „odrodny”. Albo jeszcze lepiej „wyrodny”. – Odciał się od nieboszczyka nie tylko, że nieładnie, ale i zupełnie niepotrzebnie inżynier.

Miłość robiła, widać, jednak nadal swoje. Nawet przy grobie tego, prawdopodobnie tak zwanego „hrabiego galicyjskiego”. Po cesarzowej Marii Teresie, okresie łatwego nabywania tytułów za pieniądze, tak przywoływano owych hrabiów do porządku, gdy rozpychali się łokciami przy stole.

– Pani hrabina, osamotniona, stopniowo pogrążała się była cała w retrospekcyjnych powrotach do odległych zaszłości w przeszłości. W swej dawnej, zawsze jej drogiej Ojczyźnie – podjął wątek przedstawiciel. – Z pańską osobą, szanowny panie Edmundzie, szczególnie podobno, eksponując się na tym pierwszym, coraz bardziej potem, jak pan raczył zwrócić mi uwagę, zbiorowym, matrymonialnym planie.

– Owszem. Rzeczywiście. Miałem okazję wielu niezapomnianych przeżyć z obecną panią hrabiną. – Przyznał z intonacją niepozabawioną nadal namiętności, inżynier. – Więc nie dorzucę, gdyż jestem człowiekiem o dużej kulturze

osobistej. Gdy zniknęła mi sprzed oczu po raz pierwszy, odnalazłem ją po kilku latach. Na Festiwalu Sztuki Cyrkowej w Białymstoku. Była albowiem cyrkową wołtyżerką. Nader zręcznie, póki nie piła, zonglowała hasając bez trzymania na koniach. Na krótko poślubiłem. Znów odeszła. Nota bene z moim ówczesnym znajomym przyjacielem, a świętej dziś pamięci pułkownikiem, nie wymienię czego, Kazimierz Pocięską.

Powróciła niebawem.

Ale z powodów wyłącznie meldunkowych.

Z docentem Akademii Wychowania Fizycznego doktorem habilitowanym Wiesławem Tentamem. W rezultacie nawet nie wyobraża pan sobie, jak się zacząłem powoli strasznie załamywać. Wpadać w szpony różnych zgubnych nałogów i tak dalej i dalej...

Uratowało mnie nawiązanie nowego stosunku uczuciowego. Wziąłem ślub drugi, aby zapomnieć o pierwszym. Niestety, druga żona, Róża, wyjechała niebawem na stypendium naukowe i pozostała na Zachodzie. Kolejne załamanie. Tym razem ratunek nadszedł za sprawą zmiany moich poglądów politycznych i następnie internowania w okresie „stanu wojennego”. Też zresztą nie bez perturbacji. Ale przepraszam. Przerwałem panu tymi kilkoma drobnymi wtrętami. Tym piekłem, którym już, niestety, nie podzielię się ze znacznie obszerniejszą, niemiecką widownią.

– Pytał pan, panie Edmundzie, jak wpadliśmy na ślad... To zasługa ukochanej córki pani hrabiny. – Podjął przerwany wątek przedstawiciel telewizyjnej komercji. – Leopoldyna, skromna i niewinna dziewczeczka, zresztą zakonniczka Zgromadzenia Sióstr Służebniczek, dziedziczka po mamusi jej urodę i słodycz, nie mogła już dłużej, proszę pana, bez poruszenia być obojętną słuchaczką nacechowanych głębokim resentymentem wyznań pani Edeltrudy. Pragnąc zetknąć ją powtórnie ze zgrzebną rzeczywistością minionych lat młodości, zacna ta córka postanowiła zainteresować nas, lokalną telewizję, a w niej redakcję „Miłości prawdziwej – wiecznie żywej”, przepiękną państwa miłością.

Dla mnie osobiście to też był, panie Edmundzie, wątek na miarę Heloizy i Abelarda. Z dalszą szansą zresztą na horyzontcie biznesowym naszej telewizyjnej firmy. Romanse książkowe z serii „Miłość prawdziwa – wiecznie żywa” uzyskują, proszę pana, spore, nie tylko u nas, nakłady.

Kasety video, film, nie wykluczając teatru, czy nawet formy taneczno-muzycznej w aranżacji musicalowej, oto, przewidywać można było, ewentualne etapy dalszej państwa kariery w masowym odbiorze popkultury. Zainteresowani, potrafiłmy więc właściwymi nam sposobami odnaleźć każdy, nawet ściśle zakonspirowany trop.

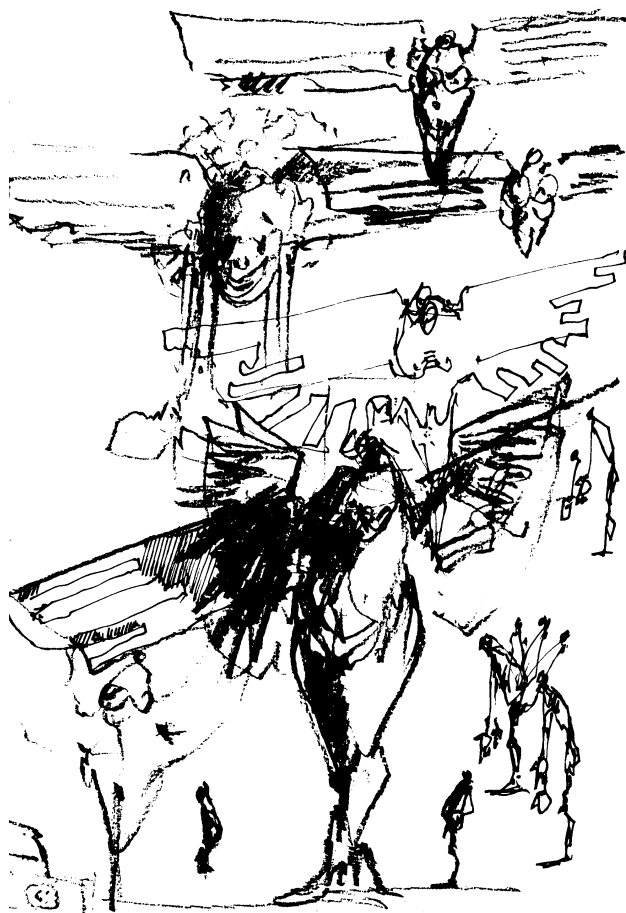
– Faktycznie... – przyznał z westchnieniem inżynier Kukuna. – Wobec tych naszkicowanych subtelną kreską utraconych marzeń i niegdysiejszych śniegów, złudzeń i widoków, odczuwam powoli zaskakujący nawet mnie w tych okolicznościach zachwył.

Nie, nie, to nie dla waszej, tak szeroko rozwiniętej działalności w sferze europejskiej kultury – zapewnił zupełnie szczerze Edmund Kukuna. – A dla jej, hrabiny, tak mocnej w sobie, świadomie, widzę, wyrabianej na obczyźnie dalszej osobowości. Delcia to chyba teraz prawdziwie z ekskluzywnych sfer kobieta. W moich niestabilnych warunkach nie mógłbym jej nigdy zapewnić takich okoliczności rozwojowych. Jako osobiście w tej chwili buddysta, mam satysfakcję wszelako, że tak różne aspekty typowych w naszych warunkach zmian, nie wpłyną ujemnie na mój dalszy wewnętrzny spokój, harmonię i poczucie jedności z Kosmosem.

Tu inżynier dorzucił, ciągle w tym samym wspomnianym buddyjskim duchu, choć bezimiennie, ogólnie, bo nie spamiętał ani nazwy tej telewizji, ani imienia swego rozmówcy, ale zgodnie z powszechnie stosowanymi regułami show-businessu, w którym nie danym mu było umoczyć choćby palca:

– Kocham was, panie przedstawicielu...!

– I my pana też. – Odrzekł, dokładnie tak, jak należało ocze kiwać, przedstawiciel. – Mi jednak, panie Edmundzie, mimo wszystko szkoda. Byśmy przedstawili dzieje państwa, że wprost nie do wiary. Jak pana, pociesza mnie też tylko jed-



Rys. Wojtek Łuka

no. W tym tanim, faktycznie, bo nawet bez reklamowych prezentów na koniec, melodramacie.

– Mianowicie, że bo co? – Pyta markotnie Kukuna, też rad-nierad z takich sukcesów.

– Że mamy wysoką oglądalność nawet w klasztorach żeńskich. I to nie tylko w Zgromadzeniu Błogosławionych Sióstr Służebniczek. Na uśmierzanie troski mogę panu, panie Edmundzie, ewentualnie zapodać numer jej telefonu.

– Zakonniczki?

– Pani hrabiny. Jej entourage, ten cały image, zapewniam, nadal w dość interesującym jeszcze, jak dla kogo, stanie.

– Wiek, proszę pana, to nie wyrok. Mogę to zilustrować osobistym przykładem. Są urody, jak moja, które nie kończą się po pierwszej pięćdziesiątce. Wynika to, podejrzewam, z piękną rozwijającą się nieustannie duszy, na bazie szerokich, intelektualnych zainteresowań.

– Ale zadzwoni pan pod numer hrabiny?

– To pan Edelman jeszcze nie zna. By wzruszyła jedynie ramieniem. Ją trzeba wyłącznie kusić. Jak Ewę jabłkiem.

– Z pana to też prawdziwy wąż. – Przedstawiciel był czytany w Biblii, jakby studiował nie prawo międzynarodowe, a wyłącznie prawo naturalne. – Zgoda! Skuszę ją telefonem do pana.

Zadzwoniła po kilku dniach.

Mimo arystokratycznej wysokiej pozycji, głos miała nadal niski, seksowny.

– Mundziuuuu...?! To naprawdę rzeczywiście tyyy?!

– A to osobiście także niewątpliwie ty, najdroższa Delicyjko?!

– Dostałam twój numer. Wiesz od kogo!

– Kazałem ci dać! – Inżynier też się gorączkował, choć w zasadzie panował nad sobą. Po tylu latach nie chciał od razu wszczynać karczemnej awantury.

– Więc jednak, niemożliwe, to naprawdę ty? To gdzie się, w takim razie, spotkałam z panem pierwszy raz?

– W barze.

– Przy czym?

– W barze mlecznym, przy pierogach ruskich!

Bronisław Huberman

czyli pasje i namiętności zapomnianego geniusza

PIOTR SZALSZA



Bronisław Huberman (1908)

Kim był Bronisław Huberman? Był Kon z całą pewnością najwybitniejszym polskim skrzypkiem-wirtuozem, biorąc pod uwagę okres: od początków XX. stulecia, aż po lata II wojny światowej. Biografia Hubermana jest intensywna i fascynująca. Obfituje w niezliczone fakty, które w całości układają się w opowieść o międzynarodowej działalności muzyka, polityka, społecznika, pisarza, naukowca, pedagoga, organizatora życia artystycznego i sponsora. W osobie Hubermana mamy do czynienia z prawdziwie wielkim humanistą i kosmopolitą, w znaczeniu człowieka, który poprzez wielokierunkowość działań stał się obywatelem świata i obywatelem temu światu służącym. Wystarczy wymienić kraje, z którymi związana była wielokierunkowa działalność artysty, wymienić w punktach choćby najważniejsze etapy jego życia i przejawy działalności, aby znaleźć potwierdzenie powyższych stwierdzeń.

Oto lista najważniejszych osobistości – współpracowników i przyjaciół Bronisława Hubermana:

dyrygenci: Hermann Abendroth, Issay Dobrowen, Grzegorz Fitelberg, Eugene Goossens, Otto Klemperer, Paul Kletzki, Dmitri Mitropoulos, Pierre Monteux, William Steinberg, Georg Szell, Arturo Toscanini, Bruno Walter, Felix Weingartner;

muzycy: Artur Rubinstejn, Wilhelm Backhaus, Pablo Casals, Carl Flesch, Ignaz Friedman, Paul Hindemith, Joseph Hoffman, Georg Kulenkampf, Arthur Schnabel, Josef Szigeti;

kompozytorzy: Mario Castelnuovo-Tedesco, Paul Dessau, Karol Szymanowski, Miklos Rozsa;

świat literatury i polityki: Elsa Lasker-Schüler, Albert Einstein, Max Brod, Elias Canetti, Thomas Mann, Stefan Zweig; Richard Coudenhove-Calergi, Meir Dizengoff, Jan Masaryk.

Etapy życia

Śledząc koleje życia Bronisława Hubermana można zauważyć, że było ono, podzielone na szereg etapów, rozłożone na kilkadziesiąt lat, wędrówką przez kilka krajów. Każdemu z tych krajów Huberman coś zawdzięczał, z kolei każdy z nich, dzięki obecności i różnorodnej aktywności wielkiego artysty, wiele zyskał. Chronologicznie rzecz biorąc, przedstawia się to następująco:

Polska

– tu w 1882 roku urodził się Huberman. Tu, po pierwszych latach nauki, w rodzinnej Częstochowie a potem w Warszawie, rozpoczęła się jego wielka kariera, wtedy jeszcze „cudownego dziecka”. Polska to kraj, któremu Huberman na zawsze pozostał wierny – na dobre i na złe. W okresie między wielkimi wojnami będzie stale występował w Warszawskiej Filharmonii, utrzymując bliskie kontakty z wieloma wybitnymi muzykami polskimi – szczególnie z Karolem Szymanowskim, którego utwory skrzypcowe roz-

ślawi na całym świecie. Występy Hubermana w Polsce posiadały często charakter charytatywny – np. na rzecz poszkodowanych, ofiar powodzi w latach 30. XX w. Po inwazji hitlerowskiej na Polskę Huberman będzie pierwszym organizatorem koncertów (Szwajcaria, Francja, USA, Kanada), z których dochód przeznaczy na pomoc dla uciekinierów a potem także dla, znajdujących się na zachodzie Europy i w Ameryce, polskich jednostek wojskowych. Należy nadmienić, że Huberman przez świat muzyczny określany był zawsze, jako polski skrzypek wirtuoz.

Niemcy

– w roku 1892 okazało się, że 10-letni Huberman reprezentuje już taki poziom wykonawczy, iż dalszy rozwój artystyczny dziecka wymaga opieki ze strony jakiegoś wybitnego pedagoga. Wybór rodziców Aleksandry i Jakuba – pada wówczas na Berlin. Tam bowiem żyje i działa słynny wirtu-



6-letni Bronisław (1888)



Rodzice Bronisława Hubermana, Aleksandra i Jakub (1905)



... z rodziną mały Broniś (w środku), od lewej ojciec Jakub i matka Aleksandra

oz – przyjaciel Johannes Brahmsa – Josef Joachim. Berlin stanie się więc bazą dla młodego Hubermana, także w kontekście organizowania niezliczonych tras koncertowych w całej Europie i Ameryce.

Umiłowanie Niemiec, niemieckiej kultury było zapewne powodem, że to właśnie język niemiecki stał się językiem używanym przez Hubermana na co dzień. W tym języku opublikuje swoją pierwszą książkę z dziedziny muzycznej: „Z warsztatu wirtuoza” a także, w latach późniejszych: „Moja droga do Paneuropy”, „Europa Ojczyzn”. W roku 1933, po dojściu do władzy Hitlera i nasileniu się w związku z tym prześladowań Żydów, obywateli państwa niemieckiego, Huberman odmówi przyjazdu na koncerty do Niemiec. Zaś planowany właśnie przez niego wielki festiwal muzyki Johannes Brahmsa w Berlinie (100-lecie

urodzin), przeniesie do Wiednia. Słynny dyrygent Wilhelm Furtwängler (po uzgodnieniu sprawy z Goebbelsem), zaprosi Hubermana na koncerty do Niemiec. Z wielkim bólem, ale przez solidarność ze zwalnianymi z pracy kolegami po fachu – muzykami, (wybitnymi postaciami, jak np. Bruno Walter, Arnold Schönberg oraz wieloma innymi pedagogami i członkami orkiestr symfonicznych) a także artystami z innych dziedzin sztuki, Huberman na łamach prasy zachodniej, w liście otwartym odpowie Furtwänglerowi negatywnie na jego zaproszenie pisząc między innymi:

... Jestem Polakiem, Żydem, wolnym artystą i paneuropejczykiem. W związku z tymi właściwościami muszę uważać hitleryzm za mojego wroga śmiertelnego. W tym problemie nie chodzi o koncerty ani o Żydów, chodzi o najelementarniejsze zasady naszej europej-

skiej kultury – o wolność osobistą uwolnioną od więzów kastowości i rasizmu. Nie mogę zakończyć tego listu, by nie dać wyrazu najgłębszego bólu z powodu przyczyn, które oddaliły mnie chwilowo od Niemiec. Szczególnie odczuwam ten ból, jako przyjaciel moich niemieckich przyjaciół, jako interpretator niemieckiej muzyki, bardzo odczuwający brak niemieckiej publiczności...

Przez prawie 40 lat był Huberman ulubieńcem publiczności Berlina, Frankfurtu, Hamburga, Stuttgartu, Monachium, Dreżna i wielu innych miast w Niemczech. Otrzymywał dziesiątki listów od zwykłych, prostych melomanów niemieckich. Były to wyrazy szczerego uwielbienia przekazywane nierzadko nawet w formach poetyckich. Zatruci przez jad faszyzmu, słuchacze niemieccy zrezygnowali w latach trzydziestych z możliwości słuchania Hubermana.



... z żoną Elsq Galafres w sanatorium w Dreźnie (1911)



... z akompaniatorem Siegfriedem Schultze

Austria

– posiada szczególne powody, aby czcić osobę Hubermana. Czyniła to zresztą w przeszłości przez dziesiątki lat. Już w okresie 1891–1892 występował młodzutki wirtuoz na estradach Karlowych Warów i Mariańskich Łaźni, wzbudzając powszechny zachwyt. Wkrótce także cesarz Franciszka Józefa, który 12-letniemu Bronisławowi podaruje drogocenne włoskie skrzypce. Zaś Johannes Brahms w roku 1896 po wysłuchaniu w sali wiedeńskiego Musikverein własnego *Koncertu Skrzypcowego*, w wykonaniu Hubermana, dozna szczególnego wzruszenia. Na początku XX wieku odnajdujemy nazwisko młodego wirtuoza w gronie studentów wybitnego wiedeńskiego pedagoga i archiwisty Musikvereinu – Eusebiusa Mandyczewskiego.

Korespondencja z lat następnych pozwala stwierdzić, że artysta często zmieniał wiedeńskie adresy zamieszkania. Od roku 1926 rezydował już na stałe w zamku Hetzendorf. Huberman czuł się w pełni zintegrowany z życiem Wiednia i Austrii. Był honorowym członkiem Wiedeńskich Filharmoników, Konzerthausu i Akademii Muzycznej, w której także, przez 2 lata prowadził klasę skrzypiec. Artysta żywo reagował na różne wydarzenia kulturalne, społeczne i polityczne. W roku 1934 na przykład, wspierał finansowo rodziny, których członkowie zginęli podczas wydarzeń lutowych. Przed 1938 rokiem (przyłączenie Austrii do III Rzeszy) Bronisław Huberman opuścił Wiedeń na zawsze. Jego pobyt w tym kraju wiąże się niepodzielnie z pełną zaangażowania działalnością w międzynarodowym ruchu paneuropejskim, którego siedziba znajdowała się właśnie w Wiedniu, w Hofburgu. Ruch za cel stawiał sobie zjednoczenie krajów Europy. W latach 1926 – 1934 Huberman ściśle współpracował głównie z Richardem Coudenhove-Calergi, Ignatzem Seipelem, Janem Masarykiem, wygłaszał referaty, publikował poglądy na temat przyszłej zjednoczonej Europy w gazetach i czasopismach całego kontynentu, prowadził ożywioną korespondencję, jeździł z odczytami do wielu miast europejskich. Ukoronowaniem owych politycznych zainteresowań Hubermana stała się książka pt.: „Europa Ojczyzn” (1932). Jeżeli spoglądamy na obecnie podejmowane wysiłki integracyjne Narodów Europy, po zapoznaniu się z poglądami Hubermana trzeba stwierdzić, że zaliczał się on do pionierów i orędowników dzisiejszych tendencji zjednoczeniowych krajów Starego



Podczas pobytu w Palestynie (1935)

Kontynentu. Wychodzące z głęboko humanistycznych przesłanek, poglądy wielkiego skrzypka, umotywowane były przede wszystkim smutnymi doświadczeniami umęczonej zaborami ojczyzny – Polski, tym co przyniosło z sobą tragiczne żniwo I wojny światowej.

Izrael

– zobowiązania tego kraju wobec Hubermana są oczywiście szczególnego rodzaju. W Palestynie artysta nigdy nie



... z Arturo Toscaninim w Tel Awiwie (1936)

mieszkał na stałe, ale jako wielki wizjoner, dokonał jednak czegoś nadzwyczajnego – założył Palestyńską Orkiestrę Symfoniczną w Tel Awiwie, czyli dzisiejszą Filharmonię Izraelską. Był to czyn potwierdzający w całej pełni tezę o Hubermanie społeczniku i humanście, który odznaczał się dużym wyczuwaniem politycznego realizmu. Bezpośrednim powodem podjęcia inicjatywy zorganizowania orkiestry była właśnie sytuacja w Niemczech po 30 stycznia 1933 (dojście Hitlera do władzy), w wyniku której muzycy niemieccy narodowości żydowskiej utracili prawo wykonywania zawodu. Huberman boleśnie odczuł te restrykcje (*vide – casus Furtwängler*). W ten sposób zakiełkowała w jego umyśle idea stworzenia pierwszorzędnej, etatowej orkiestry, której członkami zostaliby emigrujący z Europy do Palestyny muzycy żydowscy. Była to koncepcja, która działaczom ruchu syjonistycznego bardzo od-

powiadała. Huberman rozpoczął więc w roku 1934 działania na rzecz jej realizacji. Zjednywał sponsorów, załatwiał sprawy techniczno-organizacyjne w Palestynie, korespondował z możnymi tego świata. Artystę interesowało dosłownie wszystko – sprawy paszportowe, zakup pulpitów, instrumentów, mieszkania dla muzyków, sprowadzanie nut, krzesła a nawet naprawy dachu przyszłej sali koncertowej. Jako doświadczony muzyk koncertujący, Huberman dobrze wiedział co należy uczynić, aby mogła zaistnieć markowa orkiestra symfoniczna. Artysta zadbał, aby koncert inauguracyjny poprowadził wielki Arturo Toscanini, który uczynił to z chęcią i nieodpłatnie. Fakt ten miał miejsce 26 grudnia 1936 roku. W ten sposób powstała więc dzisiejsza słynna Filharmonia Izraelska.

Szwajcaria

– gdyby nie faszyzm niemiecki, Szwajcaria dla Hubermana pozostałaby prawdopodobnie krajem, w którym wielki skrzypek często z powodzeniem koncertował i miał wielu przyjaciół. Jak już stwierdzono powyżej, w związku z sytuacją w Austrii (Anschluss), przewidyjący Huberman opuścił Wiedeń i przeniósł się właśnie do Szwajcarii – konkretnie do Corsier sur Vevey, gdzie zakupił dom. Przebywał tam do roku 1940. W tym okresie, po jednym z *tournees* w USA, artysta pozostał za oceanem aż do końca wojny.

W roku 1947, po krótkiej i ciężkiej chorobie, Bronisław Huberman zmarł i został pochowany właśnie w Vevey.



Podczas pobytu w Pradze, z prawej stoi K. Szymanowski (1925)



... z Arturo Toscaninim (1936)

Zdjęcia archiwalne



Tel Awiw. Koncert inauguracyjny 26 grudnia 1936

USA

– dla amerykańskiej publiczności był Huberman jednym z owych wielkich objawień światowego wirtuozyzmu w muzyce. W Nowym Jorku artysta koncertował już w połowie dziewięćdziesiątych lat XIX stulecia, a w następnych latach przybywał do tego kraju niezliczoną ilość razy. Jak wiadomo Huberman spędził w USA okres II wojny światowej, stale koncer-

tując, niejednokrotnie na rzecz uciekinierów, emigrantów żydowskich, austriackich, a także w celu wspomoczenia stacjonujących na Zachodzie polskich jednostek wojskowych. Otrzymał wiele odznaczeń, m.in. tytuł Doktora *Honoris Causa* – Żydowskiego Instytutu Religii. To właśnie liczne wyjazdy do USA, obserwacja wszelkich, pozytywnych i negatywnych przejawów życia w tym kraju, ugruntowały po roku 1919, społeczno-polityczne

poglądy Hubermana, w kwestii rodzącej się idei zjednoczonej Europy i doprowadziły do napisania na ten temat wielu artykułów, oraz książki.

* * *

Jego życie artystyczne, aktywność w dziedzinie polityki, publicystyki to świadectwo spełnienia się wielu podejmowanych przedsięwzięć, w których muzyk dał się poznać jako człowiek czynu.

Inaczej toczyło się życie prywatne i osobiste Hubermana. Matka padła ofiarą Holokaustu, starszy brat Stanisław, czołowy działacz Kominternu, zginął w tajemniczych okolicznościach w 1936 roku w Rosji, młodszy brat Leopold zginął pod kołami samochodu. Wuj z Zamościa zamordowany został przez oddział Ukraińców – Machnowców. Partnerka życiowa Angelina Gorrissen zmarła w wyniku zapalenia opon mózgowych.

W tym konglomeracie nieszczęść jasny punkt stanowił syn Johannes, który urodził się w 1912 roku w Wiedniu z małżeństwa ze znaną aktorką Elsą Galafres. Samo małżeństwo nie wytrzymało jednak próby czasu i rozpadło się po 2 latach.

Ważniejsze daty i fakty z życia Bronisława Hubermana

Urodził się w 1882 r. w Częstochowie.
1887 – lekcje u M. Michałowicza i J. Rose-
na w Warszawie;
1890 – pierwsze występy w Polsce, w Kar-
lowych Varach i Mariańskich Łaź-
niach;
1890 – lekcje u Josefa Joachima w Berlinie.
Początek licznych podróży koncer-
towych (Amsterdam, Paryż, Londyn,
Frankfurt);
12 I 1895 – Wiedeń – wspólny, triumfalny
występ z Adeliną Patti;
1896 – Musikverein – Wiedeń – wykonanie
koncertu skrzypcowego J. Brahmsa,
w obecności kompozytora;
1896 – początek licznych podróży koncer-
towych w całej Europie i w USA;
1903 – pierwsze nagranie płytowe (Nokturn
E-dur F. Chopina. Trans P. Sarasate);

1909 – w Genui koncertuje na instrumencie,
który niegdyś należał do N. Paganini-
ego. Koncert poświęcono ofiar-
om powodzi;
1912 – Lipsk – edycja książki Huberman-
na pt. „Z warsztatu wirtuoza”;
1919 – po zakończeniu działań wojennych
Huberman podejmuje liczne podró-
że koncertowe;
1923 – poznaje hrabiego Richarda Couden-
hove-Kalergiego. Początek aktywnej
działalności w Ruchu Paneuropej-
skim;
1927 – Wiedeń – wielki sukces trio koncer-
towego – Huberman, Casals, Fried-
man (koncerty z okazji 100. roczni-
cy urodzin Beethovena);
1929 – pierwszy występ w Palestynie;
1932 – edycja książki pt. „Europa Ojczyzn”;

1933 – list otwarty do W. Furtwänglera,
w sprawie odmowy koncertów
w Niemczech;
1934 – Huberman obejmuje klasę skrzypiec
w Akademii Muzycznej w Wiedniu;
1934 – pierwsze kroki w kierunku zorgani-
zowania orkiestry w Palestynie;
1936 – Huberman opuszcza Austrię i za-
mieszkuje w Vevey;
1936 – 26.12. – Tel Aviv – inauguracyjny
koncert Filharmonii w Palestynie
pod dyr. A. Toscaniniego;
1937 – w wyniku wypadku samolotowego
na Sumatrze Huberman zostaje cięż-
ko ranny w rękę i płuco;
1940 – Huberman opuszcza Europę i za-
mieszkuje w USA;
1945 – powrót do Szwajcarii;
1947 – Huberman umiera w Vevey;



Pisarz na prowincji

ADAM
REGIEWICZ

Czego szuka pisarz na prowincji? Parafrazując rysunek Marka Raczkowskiego, można by powiedzieć, że tego, co zgiął, jednak zarysowana w tytule sytuacja nie jest tak jednowymiarowa i oczywista. I nie chodzi tu o nieczytelne wyznaczniki środowiskowe inteligencji czy nieco więcej – bycia pisarzem (jak mawiał Czesław Miłosz, poetą się bywa raczej niż jest, to w sumie kategoria niezwykle ulotna), choć z pewnością dyskusja na temat tego, kto i dlaczego może być nazywany pisarzem czy intelektualistą w ogóle jest wciąż otwarta, ale raczej o drugie z przywołanych tu pojęć – prowincję.

Nie można zinterpretować tego terminu bez odniesienia go do centrum, co już samo w sobie jest czynnością wartościującą. Prowincja, rozumiana w czasach antycznych administracyjnie, aż do XVIII wieku była ujmowana jako kategoria terytorialna, a pojęcie „prowincjonalny” miało wyższe konotacje niż „powiatowy”, tym samym nie budziło negatywnych skojarzeń. Dopiero w czasach nowożytnych stała się metaforą peryferii, których sens określa nie tyle terytorium znajdujące się poza stolicą czy inną metropolią, ile jakość życia czy mentalność temu towarzysząca. Można zauważyć, że pokutujący do dziś podział na centrum i peryferia, mający daleko idące konsekwencje społeczne i geopolityczne (cywilizacja euroatlantycka i III świat, Zachód i Wschód, Polska A i Polska B), jest w du-

żym stopniu dziedzictwem mentalności Oświecenia, które swoimi scjentystycznymi etykietami skolonizowały współczesne rozumienie świata, a co za tym idzie także i miejsce człowieka. Zarysowane powyżej napięcie pomiędzy peryferiami a centrum wydaje się szczególnie widoczne w kulturze XIX wieku, w której rozwijające się ośrodki miejskie, będące nie tylko kluczowymi węzłami administracji społecznej i państwowej, ale nade wszystko miejscami kreowania i rozpowszechniania ideologii, centrami kulturowymi budującymi określone systemy wartości, przestrzeniami umożliwiającymi zdobycie wykształcenia, stawały się matecznikiem inteligencji, jak również miejscem deponowania kapitału kulturowego. Jak zauważają inicjatorzy naukowego spotkania „Pisarz na prowincji” z Instytutu Filologii Polskiej Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie oraz Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu w Ostrawie, ówczesna rola, jaką przypisuje się miastom: stolicy czy innym wielkim ośrodkom miejskim, określa też jednoznacznie sytuację, w jakiej intelektualista jest zmuszony opuścić centrum i udać się na prowincję. Wyjazd ze „stolicy”, będącej źródłem informacji o świecie, wiedzy, ale także gwarantem „centralnego systemu wartości”, jest zazwyczaj powodowany problemami zdrowotnymi, kłopotami finansowymi lub niesławą i postrzegany w kategoriach nieudacznictwa. Oddalenie się od centrum wymuszało na intelektu-

alistach przyjmowanie określonych postaw związanych nie tylko z wewnętrzną powinnością wobec mieszkańców prowincji, ale także oczekiwaniami tego środowiska. Te ostatnie fantastycznie przedstawia Bolesław Prus w opowiadaniu *Doktor filozofji na prowincji*, kiedy wkłada w usta rozgorzconego Kocia następujące słowa: „Obiecałeś przyprowadzić nam uczonego i autora, a nade wszystko filozofa całą gębą, a przyprowadziłeś nam coś... ni to, ni owo. Zapytano go o Hajdelberg, a on mówił o winie i Niemkach; jadł sobie (czego mu bynajmniej nie wymawiam) jak parobek, tańczył jak studentik, deklamował... i tak dalej, i tak dalej... Co mi to za filozof? Ten, który był u panny Hildegardy, o to mi dopiero czeka! Milczący, zamyślony, statysta... Rozmawiał tylko o oświacie i moralności, potem zażądał papieru, atramentu, piór, osobnego pokoju i coś tam podobno bardzo znakomitego napisał...”. Intelektualista na prowincji nie tyle miał być „pracownikiem umysłowym”, wykonującym perfekcyjnie swój zawód, jak jeszcze do niedawna określała takich „wykształciuchów” socjalistyczna nomenklatura, ale przede wszystkim nauczycielem i sumieniem narodu, autorytetem wypowiadającym się w imieniu ogółu, czy wreszcie ostateczną instancją w sporach o krówę.

Zarysowane powyżej napięcie pomiędzy centrum a prowincją niewątpliwie osłabło w ostatnich dekadach, co należy tłumaczyć zarówno zjawiskami cywilizacyjnymi w skali makro poczynając od mechanizmów globalizacyjnych, dzięki którym McLuhanowska metafora „globalnej wioski” przestała być tylko przenośnią a stała się faktem, a skończywszy na ponowoczesnej refleksji na temat bycia w świecie i jego poznania, która w postaci Gillesa Deleuze zniosła determinujący przestrzeń binaryzm i zastąpiła myśleniem sieciowym – a właściwie kłaczowym. Dzięki temu, pojęcie centrum przestało odnosić się do przestrzeni, a zaczęło do egzystencji, ustanawiając punkt wyjścia tam, gdzie znajduje się świadome „ja”. To, co widoczne jest w skali makro odbywa się równocześnie w skali mikro w Polsce, czego szczególnie doświadczyła kultura lat 90., już wówczas Jerzy Jarzębski pisał o rozpadzie geograficznego centrum Europy, a także, co za tym idzie, o kryzysie hierarchii, autorytetów, wartości, tradycyjnych nośników idei oraz współobecności wielu różnych konwencji wraz z ich systemami odniesienia i oceny. Prywatne narracje zakotwiczone w jakiejś osobistej peryferyjnej wydawałoby historii nie stoją w opozycji do uniwersalnych zjawisk, jeszcze niedawno będących wyznacznikiem centrum, ale jednocześnie w przeżyciach jednostki z doświadczeniem ogółu. Smaczku dodaje prognoza socjologów, którzy przewidują, że za niebawm pół wieku 75 procent ludności będzie mieszkańcami aglomeracji miejskich. Czy wobec powyższej sytuacji napięcie pomiędzy centrum a prowincją już nie istnieje?

Przyglądając się polskiej literaturze, można by zauważyć proces wręcz odwrotny, pielęgnujący zastałą opozycję. Autorzy najnowszej literatury (zjawisko to nie słabnie od połowy lat 90., kiedy to dzięki Jerzemu Pilchowi, Oldze Tokarczuk, Andrzejowi Stasiukowi w geografii literackiej pojawiły się Wisła, Wałbrzych czy Wołowiec) nie tylko nie niwelują owego napięcia, ale je podkreślają, stając się piewcami prowincji lub świadkami jej determinującej siły. To, co jeszcze niedawno uchodziło wyłącznie Wacławowi Myśliwskiemu, dziś zajmuje nowe pokolenie poszukujące prawdy, a ta jawi się właśnie na peryferiach. Polska B – jak ironicznie nazywano prowincję usytuowaną poza głównym nurtem życia administracyjnego i gospodarczego, trochę biedna, niezbyt rozgarnięta, zbyt powolnie wdrażająca zmiany postrojowe, nie nadążająca za pędem nowoczesności stała się ulubionym tematem literackich wędrówek. Podupadające miasteczka, popegeerowskie wsie, prywatne historie o ludziach wyrzuconych poza nawias społeczny – niespełnionych intelektualistach i ofiarach restrukturyzacji, lokalne dworce bez pociągów, puste pola, których nikt nie uprawia, bo większość wyjechała do miasta lub za granicę – to źródło inspiracji i perspektywa, z jakiej oglądają Polskę m.in. Daniel Odija (*Tatarak, Kronika umarłych*), Andrzej Muszyński (*Miedza*) czy Marcin Kołodziejczyk (*Opowieści z planety prowincja*). Prowincja to świat, który ginie, do którego za chwilę nie będzie już można wejść, jak dowodzą autorzy tych opowieści. Zamiast gwaru – cisza, zamiast tętniącego życia środowiska – pustka i nuda, oto zapis umierania. Czego szuka w tym świecie pisarz? Jawi się on jako antropolog, próbujący utrwalić odchodzącą rzeczywistość, opisać, być świadkiem, dotknąć tego, co za moment przestanie istnieć.

A może ten lament nad prowincją jest nieco przedwczesny? Może – jak dowodzi Andrzej Stasiuk, jeden z najbardziej znaczących jej piewców – prowincja jest koniecznością, bowiem tylko tam odnajdujemy się jako społeczeństwo, jako kultura? Jawi się ona niczym świat w mikroskali – mały organizm, w którym dochodzą do głosu wszystkie emocje zgromadzone w ciele. Odległość od wielkich miast jest dla niej zbawienna, pozwala nabrać dystansu do pędzącego świata, a dzięki temu staje się naturalnym nawozem kultury, czarnoziemem. Tak widzi ją Stasiuk, kończąc próbę autobiografii intelektualnej w *Jak zostałem pisarzem*: „Patrzyłem z góry na moje miasto i wiedziałem, że wyżej już nie zajdę. I wtedy właśnie pomyślałem, że może jednak wyjadę i zostanę w końcu tym pisarzem. Miesiąc później to zrobiłem”. Prowincja jawi się zatem nie tylko jako miejsce, ale także jako kategoria kultury – w tym kultury literackiej – jak przekonuje Marian Kisiel. Zauważa on ciekawą zależność pomiędzy centrum i powstającą w tym

kontekście literaturą narodową a peryferyjnym życiem literackim, które musi ustawić odpowiednio środek ciężkości, by nie zniszczył jakości powstającej literatury jak i samego środowiska literackiego. Jeśli bowiem zbyt silny akcent położony na to, co centralne, zniszczy się oddolne, regionalne i peryferyjne w swej istocie życie literackie wraz z całym środowiskiem, gdy jednak przesunie się nacisk, to prowincjonalność zniszczy się jakoś twórczą. Powyższe napięcie pomiędzy centrum a regionem czy peryferiami pokazuje jednoznacznie, że kategorii prowincji nie można rozumieć wyłącznie w kontekście geograficznym, ale także jako przestrzeń mentalną, która kształtuje życie lokalne, jako prowincję duchową, która niesie ze sobą ciekawe skojarzenia metaforyczne.

Odwolując się do refleksji Bogusława Zielińskiego na temat postrzegania Europy Środkowej w perspektywie symbolicznych krain i miejsc: Arkadii, Atlantydy i Jeruzalem, można by podobne wnioski odnieść do sposobu postrzegania peryferii w ogóle, choć nieco inaczej rozłożyć akcenty. Niewątpliwie jawi się prowincja jako miejsce mityczne, arkadyjskie, w którym czas się zatrzymał. To świat, do którego ucieka się od cywilizacji – mniej skomplikowany, naturalny, pełen mitycznej siły. Jest on miejscem odosobnienia, alternatywą dla nowoczesności, utopią: społeczną, obyczajową czy religijną, która proponuje współczesnemu człowiekowi ocalenie. Pomimo dokonującego się rozpadu tego miejsca, ruin, materialnego niedostatku, prowincja staje się wyrazem uznania znaczenia i zaufania do wartości, które reprezentuje. Zresztą mit „wsi spokojnej, wsi wesołej”, obecnej od czasów Kochanowskiego i dzięki rekonwalescencji po czasie dworskich ekscesów utrwalonej w kulturze, stał się dość nośną ideą w środowisku intelektualnym, żeby wspomnieć tylko modernistyczną „chłopomanię” czy powojenny kult „prostego człowieka”. W ten mit wpisuje się obraz prowincji jako rzeczywistości bardziej naturalnej, prymitywnej i zmysłowej, dalekiej od wielkomięjskiego dystansu, udawania, pozorstwa. Może dlatego pisarz szuka tu nie tylko uzdrowienia z cywilizacyjnych chorób, czy inspiracji, ale przede wszystkim zanurzenia się w prawdziwe życie, autentycznego doświadczenia odpowiadającego pierwotnym instynktom. Te bowiem dla współczesnego człowieka uwikłanego w szereg zależności, poddanego nieustannej samokontroli, społecznym mechanizmom poprawnego zachowania jawią się jako świat alternatywny, w którym choć na chwilę chciałby się zanurzyć. Z drugiej strony prowincja to Atlantyda zniszczona przez kolejno następujące po sobie ustroje i związane z tym reformy gospodarcze.

To miejsce podupadłe, zrujnowane, zatopione w zalewie nowoczesności, do którego dostęp można uzyskać poprzez ślady dawnych wydarzeń czy miejsc. Wobec takiej sytuacji staje pisarz, którego zadaniem jest ze szczegółów, tych migotliwych

znaczeń, skrawków przeszłości uobecnionych jeszcze w namacalnych fragmentach ruin naszkicować pejzaż. Idąc tropem mitycznych metafor, można by jeszcze przywołać prowincję rozumianą jak Kretę, która jawi się niczym więzienie. To miejsce odosobnienia – jak przypadku Minotaura uwikłanego w labirynt w Knossos czy Dedala nie mogącego opuścić wyspy – staje się dla pisarza ciasne, niewygodne, jest przestrzenią dławiącą, zamykającą swój ciasny krąg wokół poczucia samostanowienia o sobie. Jest też prowincja niczym wyspa Skyros, na której znajduje swe schronienie Achilles. To rodzaj azylu, do którego ucieka się przed prześladowaniem, to miejsce odosobnienia, dokąd nie docierają odgłosy codzienności. Tak rozumiane peryferia to zatem efekt oddziaływania geografii mitycznej – w dużej mierze bardziej wyobrażenia niż doświadczenia, lub przeżycia przekształconego w obraz mentalny. Ukazująca się w ten sposób prowincja nie jest już jak w poprzedniej metaforze weryfikowana wyłącznie pozytywnie, a jej ślady często przyjmują postać piętna czy blizny jak ma to miejsce w twórczości Ignacego Karpowicza. I nie chodzi tu bynajmniej o peryferia w rozumieniu terytorialnym, bo w przekonaniu autora, Polska w ogóle jest prowincją, ale o wymiar duchowy – mentalny właśnie kojarzony z kiczem, dewocją i sarmackimi naleciałościami.

Geografia mentalna Europy niewątpliwie postrzega Polskę, podobnie jak pozostałe kraje Europy Środkowej, jako prowincje – usytuowane z dala od łona Zachodu, wystarczy przywołać szereg dowcipów na temat wyjazdu na Wschód od Austrii i Niemiec, by dostrzec imagologiczną determinację. Prowincję mamy we krwi – zdają się mówić przewodniki turystyczne zachwalające gospodarstwa agroturystyczne i ekologiczne miejsca wypoczynku. Z taką prowincją nie można wygrać, jest się przegranym w momencie ogłoszenia zawodów. Przyznać, że peryferia – wstyd, walczyć ze stereotypami to przegrać już na starcie, żeby przypomnieć groteskowe wypowiedzi, że Kopernik, Sienkiewicz, Chopin, Curie-Skłodowska i pojedynek z najwybitniejszym pisarzem argentyńskim. Bo pisarz z prowincji jest jednak kimś gorszym, mniej poważnym, dostojnym i znaczącym, dlatego powinien przenieść się do miasta – najlepiej europejskiego, a jeśli go nie stać to przynajmniej do stolicy lub innej metropolii o wysokim statusie dziedzictwa kulturowego. To poczucie gorszości, bynajmniej nie nowe, tak charakterystyczne dla polskiej mentalności, otwiera jeszcze jedną przestrzeń refleksji nad peryferiami, które jawią się jako stan umysłu.

Nie da się tym samym uniknąć nawiązania do wspomnianego już cyklu spotkań organizowanych przez polskich i czechskich humanistów z Częstochowy i Ostrawy pod nazwą „Intelektualista na prowincji”. Zdziwiająco wydaje się bowiem pokrewieństwo polsko-czeskie w podej-

omowaniu tego tematu, choć jego interpretacja wydaje się zasadniczo różna. Nasi południowi sąsiedzi sytuują wiele ze swoich fabuł literackich i narracji kulturowych (choćby filmowych) w przestrzeni prowincjonalnej. Małe miasteczka, wiejskie osady to miejsca wręcz sakralne dla ich mieszkańców, stąd problemy, które ich spotykają, urastają do rangi globalnej. W efekcie powstające tam obrazy opowiadają o uniwersalnych doświadczeniach na swój „prowincjonalny” sposób i robią to niezwykle mądrze i humorystycznie urzekająco, czego zazdrościł im Jan Machulski w scenie finałowej *Superprodukcji*. W poczuciu gorszości nie mamy bowiem sobie równych, dlatego z Czechom zazdrościmy ich prowincji, bo jak pisze cytowany już Stasiuk „Czechy jakoś nas kręciły. Ameryka owszem, ale Czechy jakoś bardziej realnie. Czesi to byli dla nas tacy Polacy, ale trochę lepsi”. Stąd polska prowincja już nie tak urokliwa i sentymentalna, nie tak prząsna i arkadyjska, a bardziej wstydliva: odpustowa i posekretarzowa. To niewątpliwie poczucie gorszości Częstochowa, otoczona małymi miasteczkami i wioskami, żyjąca rytmem handlu na lokalnym bazarze i niesiona śpiewami pielgrzymów kroczących Alejami Najświętszej Marii Panny, nosi w sobie.

Lokalność Częstochowy, wymuszona usytuowaniem terytorialnym oraz zmianami administracyjnymi, które spowodowały obniżenie rangi miasta z województwa do jednego z wielu miast Śląska

zrzuconego na jego obrzeża, jest niewątpliwie solą w oku władarzy i tak zwanej elity miasta. W tym kontekście można rozumieć rodzące się poczucie peryferyjności, i działania zmierzające do przezwyciężenia tej sytuacji, od aspiracji uczelni do miana uniwersytetu począwszy, a na licznych imprezach miejskich i plenerowych mających pokazać kulturalną Częstochowę skończywszy. Nawet największy pomnik Jana Pawła II usytuowany na drugim biegunie miasta zdaje się walczyć o uwagę tych, którzy jedynie przejazdem między Katowicami a Łodzią zatrzymują się w przydrożnym McDonalds’ie lub jako pielgrzymi bądź turyści wnikają głębiej – do centrum. Poczucie gorszości i wynikające z tego faktu niezadowolone jest jednak inne niż u Ślązaków etnicznych (trudno wszak nie rozumieć częstochowian, że zarówno pod względem historycznym, jak i kulturowym Ślązakami się nie czują). Z jednej strony lekceważą, pomijają milczeniem przeszłość, dawność, która nieodmiennie kojarzy się z Jasną Górą, Szwedami i tożsamością konstruowaną w oparciu o doświadczenie religijne, niejako unieważniając swoją obecność w historii – i wynikające z tej późniejszej – XIX-wiecznej, industrialnej, czy przedwojennej – wielokulturowej. Z drugiej strony kładą nacisk na to, co terazniejsze, osuwając „obecne” – bez dziedzictwa – bez dziedziczenia, przekreślając tym samym własną historyczność i świadomość siebie. Tej ucieczce od historii to

warzyszy przekonanie o porzuceniu prowincjonalności – tego wszystkiego, czego powinien wstydzić się nowoczesny mieszkaniec ponowoczesnej Europy.

Czy w takiej przestrzeni jest miejsce dla pisarza? Czy w takim miejscu mają szansę powstawać dzieła miary Dostojewskiego? Czy kluczenie Alejami pozwoli na postawienie paru egzystencjalnych pytań na miarę Heideggera? Może obecność Zygmunta Krasińskiego przez kilka tygodni w pobliskim Złotym Potoku wystarczy, podobnie jak młodość Ludmiły Marjańskiej kształcącej się w istniejącym do dziś Liceum im. Juliusza Słowackiego czy ślady obecności życia i twórczości Haliny Poświatowskiej, której Dom Poezji odwiedza dziś uczniowie okolicznych szkół? A może ten cały hałas o prowincję jest zupełnie niepotrzebny, sztucznie podsycany nowoczesną ideologią, dla której peryferia są potrzebne, by uzasadnić istnienie centrum jako nośnika określonych wartości? Nie mnie odpowiadać na te pytania, wszak sam pochodzę z miasta, które nie posiada rynku tylko najdłuższą ulicę w Polsce i cierpi na kompleks utajonej wiejskości, które nie może pochwalić się własną uczelnią, a jedynie filiami innych wielkich ośrodków akademickich i które dotąd wydało na świat kilku lokalnych poetów oraz światowych pisarzy (towar jeszcze bardziej deficytowy) – tym bardziej znaczących im bardziej oddalonych od swojego Heimatu. ■

www.poradniajezykowa.pl

Ale meksyk!

Pochodzący z Meksyku student Uniwersytetu Śląskiego napisał do Poradni Językowej Instytutu Języka Polskiego US z pytaniem, skąd wzięło się w polszczyźnie powiedzenie *Alemeksyk*. Odpowiedź była trudna: nie dlatego, że nie wiadomo, jak wyjaśnić pochodzenie tej potocznej metafory, lecz z powodu negatywnych konotacji z tym powiedzeniem związanych, które mogłyby urazić Meksykanina. Aby jednak pozostać rzetelnym, zacząć należy od definicji, a w słownikach języka polskiego *meksyk* jest definiowany jako stan rozprzężenia, bałaganu, zamieszania...

Nigdy nie byłam w Meksyku, więc aby dowiedzieć się, dlaczego Polacy postanowili tak właśnie nazywać stan odbiegający od normy i daleki od porządku, postanowiłam odwołać się do źródeł, czyli relacji naocznych świadków, które najłatwiej znaleźć na stronach internetowych zajmujących się podróżyami albo na blogach podróżników. Turyści, którzy stykają się

z Meksykiem, opisują go jako kraj bardzo interesujący, o pięknych krajobrazach i plażach, ciekawej kulturze, tradycjach, architekturze i kuchni oraz jako kraj pełen zycieliwych, sympatycznych, przyjaznych, wesołych ludzi, ostatecznie jednak pozostawiający niestety wrażenie bałaganu, zwłaszcza przez chaotyczny ruch kołowy (brak kursów i egzaminów na prawo jazdy), nadużywanie klaksonów, hałas, brak zasad bezpiecznego poruszania się po ulicach, duże nasilenie przestępczości, kradzieże, ale przede wszystkim działalność i walki mafii narkotykowych, podczas których giną lub zostają ranni niewinni ludzie

W wyrażeniach metaforycznych często liczy się szczegół, uchwycenie tego, co mówiącemu wydaje się w danej rzeczy lub zjawisku typowe, dlatego ten, kto po raz pierwszy użył określenia *meksyk*, aby nazwać stan zamieszania i chaosu, kierował się pewnie ogólnym wrażeniem wyniesionym z podróży po tym kraju. Przykre jest, że wrażenie to nie okazało się dobre, lecz udział w tym ma również potoczne myślenie: *meksyk* to

wszak metafora potoczna, a język, którego używamy na co dzień utrwała (jakże często i jakże chętnie) niepochlebne opinie, złośliwe uwagi, określenia pejoratywne. Badacze potocznej odmiany polszczyzny – np. Władysław Lubaś w monografii pt. *Polskie gadanie. Podstawowe cechy i funkcje potocznej odmiany polszczyzny* – zwracają uwagę na fakt, że nasza mowa codzienna ma szczególnie wiele nazw negatywnych cech i zachowań, wyrazów związanych z negatywnym wartościowaniem, negatywnymi emocjami. I pewnie nie jest to tylko cecha potocznej polszczyzny, lecz niestety w ogóle ludzkiego myślenia...

Na koniec warto dodać, że *meksyk* w tym znaczeniu musi być – zgodnie z zasadami pisowni polskiej – zapisywany małą literą jako eponim, czyli określenie pochodzące od nazwy własnej. Podobne formy w polszczyźnie to m.in. *judasz* (zdrajca), *romeo* (zalotnik), *donżuan* (uwodziciel), *adonis* (urodzliwy młodzieniec), *nestor* (człowiek najstarszy wiekiem w jakiejś grupie), *hamlet* (człowiek niezdecydowany), *herkules* (siłacz), *otello* (chorobliwie zazdrośny mąż). Wyrazy takie gromadzi m.in. *Słownik eponimów, czyli wyrazów odimiennych* Władysława Kopańskiego.

KATARZYNA WYRWAS

W ogrodzie i pobliskim lesie tłuką się dziecięcy. Zostało tu jeszcze trochę starych drzew, więc na wpół puste pnie rezonują wspólnie. Na gałęziach krzewów wydzierają się coraz głośniejsze ptaki najróżniejszej proveniencji. Słowem wiosna na wsi w całej okazałości – gdzieś jeszcze uchowały się traktory, choć tutejszemu rolnictwu raczej nie wróży się świetlanej przyszłości. Teraz wypełzły na pola i wprawiają w osłupienie mojego wnuka – dziwi się, że zabawki mogą być takie ogromne, prawdziwe potwory, zupełnie jak te, którymi karmi jego kilkuletnią wyobraźnię telewizja. Naszą także, tylko że te potwory przeznaczone dla nas wyglądają i zachowują się całkiem inaczej. Jak? O, to trudne pytanie; każdy ma inną postać i inne pole do zaorania. Jedne przybierają ludzką postać i orzą ugór zwany elektoratem, inne, pozornie całkiem bezinteresownie, orzą zagon zwany historią i doszukują się czegoś, co mogłoby posłużyć jako sól sypana w rany, a jeszcze inni przeorują poletko kultury, licząc na to, że gdzieś u spodu skiby wychynie coś niepatriotycznego, co do tej pory drzemało w ukryciu, albo przeciwnie – tak patriotycznego, że aż groteskowego. Są i takie, które pożerają sferę naszej obyczajowości, tłumacząc nam, że bez nich zginiemy marnie. Słowem, interes tzw. wymiany idei i poglądów (startych na nowe i odwrotnie) kręci się pełną parą, a ta para idzie w gwizdek, a ten gwizdek to nie tylko telewizja, ale media w ogóle.

Tak sobie myślę, że potwory, które pchają się do wyobraźni mojego wnuka, to pikuś tak zwany w porównaniu z tymi, które zasadzają się na nas. Zauważyłem też, że nawet on swoim kilkuletnim rozumem odkrył, iż w takim „Scooby Doo” to tylko źli ludzie przebierają się za duchy i potwory, a my jakoś mamy trudności z odróżnieniem tych prawdziwych i groźnych od wydumanych i jarmarcznych. No i mamy problem: przez to wszystko przestajemy odróżniać lewą rękę od prawej, skromną mądrość od nadętej głupoty, kradnących od okradzionych i w ogóle świat robi się jakiś mało przejrzysty. A to niedobrze. Mówię moim studentom, iż media są m.in. po to, żeby objaśniać świat, ale prawdziwie? Pewien całkiem niegłupi Hiszpan mawiał, że jest tak jak nam się wydaje, ale czy my wiemy, co nam się wydaje? Ktoś podpowiada nam, że Iskandery u naszych granic to

Z moich Górek
WITOLD TURANT

Potwory groźne i niegroźne

wielkie zagrożenie, a kto inny twierdzi, iż jest ono takie, jak ze strony stracha na wróble. Jeśli gdzieś słyszemy, że sankcje wobec Rosji, co prawda niespiesznie, odnoszą jednak skutek, natychmiast ktoś inny podniesionym głosem poucza nas, że uderzają przede wszystkim w nas i chwali tych, którzy potrafia je ominąć. A nasze zdanie? Przepytujemy przez dziennikarza na okoliczność podejrzenia przekrętu polityk – biznesmen (oligarcha?) z świętym oburzeniem odpowiada, że nie czas na takie pytania, gdy w świecie dochodzi do tragedii. Zapytujemy, co ma jedno do drugiego, ale przecież ani on nam nie odpowie, ani my sobie. Bo może jednak ma? A jeśli nie, to co?

I tak oto świat zdaje się odpływać we mgłę, jak ten galeon widmo na Morzu Sargassowym, a my pozostajemy tam, gdzie byliśmy, a nasza wiedza o nim, ta cyberbliskość wyczekiwana wydaje się uludą i pożywką dla różnych teorii nie z tej ziemi. No właśnie: szczepić dzieci, czy nie szczepić? Może lepiej zacząć, aż różne z dawna zapomniane choroby zaczną zbierać na nowo swoje żniwo. Może trzeba liczyć na to, iż w myśl zasady „co cię nie zabije, to cię wzmocni”, ci mniej odporni wraz z ich mniej odpornymi genami znikną z tego świata i doczekamy się wreszcie idealnie zdrowych społeczeństw, bo człowiek jak się nie wychoruje porządnie, nie jest sobą. Brednie? Zapewne, ale z jakim przekonaniem głoszone.

Krótko mówiąc, woda chlupocze. A przecież woda to nic złego. Prze-

ciwnie. Jest elementem wielu wiosennych obrzędów, z tymi najważniejszymi, wielkanocnymi włącznie. To symbol oczyszczenia i taki też jest sens naszego Śmigusa. Jednak i tu jakiś umiar byłby wskazany, albowiem wciąż się słyszy, że w przyrodzie nie ma jej w nadmiarze, jakby w przeciwnieństwie do mediów. Lubię patrzeć na strumyk przepływający w sąsiedztwie; latem niby pustynna rzeka okresowa, ledwie ziępie, ale teraz stał się sporą rzeczulką. To, i pączkujące drzewa i krzewy, to są fakty, a reszta to interpretacje – myśl taka przyszła mi do głowy. Nad strumykiem przechadza się kogut, piejąc od czasu do czasu. Kiedy pieje o porannej szarówce, mam ochotę cisnąć w niego butem, ale teraz? Niech sobie pieje. To też jakiś konkret w wiejskim pejzażu. I zaraz nachodzi mnie myśl kolejna, a raczej cytat z powieści przeczytanej kiedyś w młodości, powieści o komandosach, którzy utknęli w ruinach Arnhem i czekają z rezygnacją na niemieckie kontrnatarcie, a jeden z nich mówi do swoich towarzyszy: „napiłbym się piwa, a wszystko inne p.....ę”. To nie eskapizm ani pochwała abnegacji, ale raczej naturalna obrona umysłu przed atakiem nie – konkretno, przewagi interpretacji nad faktami.

Wracając jednak do fascynacji mojego wnuka, to bardzo zmartwiła go wiadomość, iż w niedalekim Chybiu mają zostać wycięte zabytkowe dęby*). Wszystkim wiadomo, iż w korzeniach dębów mieszkają różne przyjazne ludziom stworki. Ponoć nawet słynny Kacperek, Górecki Skrzat pomieszkował tam niegdyś. No i gdzie te stworki teraz się podzieją? Odejdą sobie pewnie w siną dal, a my pozostaniemy zdani na swoje jakże ułomne interpretacje. O kilka faktów będzie przecież mniej. Dzieciom pozostawimy wiosenną iście syzyfową pracę „sprzątanie świata” i kolejne pytanie bez odpowiedzi: po co komu w takim razie ekologia? Może pozostaną jakieś wyblakłe fotografie w albumach miłośników przeszłości, którzy będą je pokazywać wnukom, mówiąc: mieliśmy tu kiedyś aleję wysadzaną starymi dębami. A wnuki? Pobiegną przed telewizor, żeby oglądać kolejne przygody nieprawdziwych potworów, pozostawiając nas z tymi prawdziwymi.

*) Głos Ziemi Cieszyńskiej, Nr 10, 13.03.2015

Ze ZBIGNIEWEM STUDENCKIM
rozmawia MARIA SZTUKA

Foto: z materiałów Muzeum w Sosnowcu



Muzealnik o sercu odkrywcy

– Muzeum w Sosnowcu obchodzi w tym roku 30. rocznicę istnienia, to również pana jubileusz, ponieważ kieruje pan tą placówką od początku...

– To kawał czasu, początki nie były łatwe. Zaczynaliśmy od gromadzenia zbieranych eksponatów w portierni przedsiębiorstwa „Intertex”. Pałac dopiero przygotowywano wówczas dla muzeum. Ileż przez te trzydzieści lat uzbierało się wspomnień.

– Może więc zacznijmy od urokliwego budynku, w którym mieści się muzeum.

– Ten piękny neobarokowy pałac wznosił pod koniec XIX wieku niemiecki fabrykant Ernst Schön, założyciel pobliskiej przedziałni wełny czesankowej. Po wojnie do lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku mieszkali w nim pracownicy „Interteksu”. Po ich wyprowadzce obiektem zajęło się miasto i w 1980 roku

pałac został wpisany do wojewódzkiego rejestru zabytków. Otrzymał numer 1241...

– **Co za pamięć...**

– Jestem z wykształcenia historykiem, a 1241 to data bitwy pod Legnicą, nie mogłem więc zapomnieć. Po wyprowadzeniu lokatorów rozpoczęły się prace remontowe, a Muzeum Górnosląskie w Bytomiu otrzymało zadanie utworzenia tu swojego oddziału. W marcu 1985 r. placówka ruszyła, a ja zostałem jej kierownikiem. Pierwszego stycznia 1995 roku miasto przejęło muzeum i mogliśmy nieco odetchnąć, oznaczało to bowiem zmianę finansowania i stałą dotację miejską.

– **Pamiętam pierwsze apele o przyniesienie do nowo tworzonego muzeum pamiątek związanych z miastem. Głośno jednak o sosnowieckim muzeum zaczęło się mówić dopiero po 1989 r.**

– Rozpoczęliśmy wówczas cykl roboczo nazwany historią *bez białych plam*. Mnie szczególnie zapadł w pamięci rok 1990 a nade wszystko emocje, jakie towarzyszyły naszej wystawie *Katyn*. Zgromadziliśmy na niej m.in. dokumenty i fotografie kilkudziesięciu Zagłębiaków i Ślązaków, którzy tam zginęli. Chyba już nigdy żadnej wystawie nie towarzyszyły takie emocje, ja nie zapomnę jej do końca życia. I nie dlatego, że przez trzy miesiące przewinęło się przez muzeum kilkanaście tysięcy zwiedzających, że otwarta została 5 marca, dokładnie w 50. rocznicę podjęcia przez władze ZSRR tak zwanej decyzji katyńskiej, że ekspozycję tworzyły niezwykle pamiątki, przechowywane dotąd na strychach, czy w piwnicach, które po raz pierwszy zostały upublicznione... ale z powodu wstrząsających i poruszających reakcji ludzi, bywało krewnych, którzy wśród dokumentów i zdjęć odnajdywali swoich bliskich, nie obyło się więc bez łez i wzruszenia. Ludzie podchodzili, pytali o szczegóły.

Co kilka miesięcy powracaliśmy do tematu *białych plam*, były więc później wystawy poświęcone m.in. *Czwartemu rozbiorowi Polski*, *Niepokonanym* czyli więźniom politycznym okresu stalinowskiego, żadna jednak nie poruszyła już tak jak *Katyn*, żadna nie była tak przejmująca.

– **Muzeum przyzwyczaiło nas do wystaw cyklicznych, przypomnijmy choć kilka.**

– To prawda, większość z tych ponad czterystu ekspozycji, jakie miały tu miejsce, była realizowana w cyklach, dotyczyły one na przykład: religii świata. Prezentowaliśmy wiarę Żydów, islam, religie Egiptu, Dalekiego Wschodu. W bogatym cyklu historii i kultur innych narodów pojawiły się Chiny, Izrael, Indie, Indonezja, Nowa Gwinea, Meksyk, Bułgaria, Czechy, Słowacja, Węgry, Rumunia... W cyklu *Wielcy mistrzowie* prezentowaliśmy dzieła Jana Matejki, Józefa Chełmońskiego, Jacka Malczewskiego, Wojciecha Weissa, Albrechta Dürera, Kossaków, Xawerego Dunikowskiego, Andy Warhola, Picassa. Wielokrotnie ekspozycjami malarstwa, grafiki, rzeźby ze zbiorów sosnowieckich artystów, mieliśmy kilka wystaw ro-

dzimego Mariana Maliny, Jacka Rykały, Krystiana Adamczyka, Stanisława Gawrona... nie sposób wymienić wszystkich.

– **Przywołał pan cykl prezentujący historię i kultury innych narodów, tych wernisaży nie da się zapomnieć, nie tylko z powodu egzotyki ekspozycji, ale znamienitych gości i... wspaniałych potraw.**

– Zazwyczaj te wystawy otwierali ambasadorowie kraju, którego kulturę przedstawialiśmy, nie mogło więc obyć się bez tradycyjnych potraw. Degustowaliśmy przysmaki różnych kuchni: chińskiej, egipskiej, indonezyjskiej, meksykańskiej, czeskiej, węgierskiej i bułgarskiej. Rzeczywiście, była to wówczas duża atrakcja.

– **W roku, kiedy powstało muzeum, Sosnowiec świętował 82. rocznicę nadania praw miejskich. To krótka historia, można więc było łatwo dotrzeć do pamiętek, dokumentów, fotografii, ale też nie było ich chyba zbyt wiele.**

– Gdyby to była prawda, nie moglibyśmy kontynuować najdłuższego z naszych cykli *Sosnowiec. Nasza mała ojczyzna*, a przecież udało się zgromadzić zarówno ekspozyty ilustrujące historię miasta, stworzyć *Sosnowieckie ABC*, jak i serię wystaw *Wielcy nieznanzi, Trójkąt Trzech Cesarzy, Dzielnice Sosnowca, Z dziejów Milowic*. W Dziale Historii i Kultury Miasta dysponujemy pokazną kolekcją kart pocztowych (najstarsze z nich pochodzą z XIX wieku), obszernym zbiorem ponad stuletnich materiałów kartograficznych, dokumentów urzędowych, druków ulotnych, plakatów, odezów, sztandarów, medali, odznak, emblematów, unikatowych fotografii. Mamy wiele cennych judaików. Te zbiory stale się powiększają, wciąż przybywa nowych pamiętek, chociaż nie jest ich już tak dużo, jak na początku, ale każdego roku przygotowujemy nową wystawę obrazującą przemiany społeczne, przestrzenne i gospodarcze miasta. Zwykle ekspozycjom towarzyszą okazjonalne wydawnictwa.

– **Muzeum może przypisać sobie przywrócenie pamięci o Trójkącie Trzech Cesarzy, miejscu historycznie naznaczonym, ale zapomnianym. Po głosnej wystawie w 2008 roku powstało wiele publikacji, a do Trójkąta zaczęły się wyprawy, przyjeżdżały wycieczki nawet z odległych zakątków Polski.**

– Mieliśmy nie jedną a trzy wystawy: dwie objazdowe i jedną czasową; wszystkie były częścią trzyletniego projektu *Od Trójkąta Trzech Cesarzy do Traktatu w Schengen*. W dwudziestu miastach w kraju i za granicą prezentowaliśmy ekspozycję objazdową, gościła także w Sejmie RP. Powstały dwie publikacje albumowe i kilka nieco mniejszych. Odbyła się także międzynarodowa konferencja naukowa, nad którą patronat honorowy objął m.in. Sekretarz Generalny Rady Europy Terry Davis, jej pokłosiem była książka *Granice w Europie Środkowo-Wschodniej w XIX–XX w. Od Trójkąta Trzech Cesarzy do Traktatu w Schengen*. Kilkuset uczniów walczyło o Puchary Trzech Prezydentów – Jaworzna, Mysłowic i Sosnowca w konkursie historycznym *Trójkąt*

Trzech Cesarzy wczoraj i dziś. To było późne przedsięwzięcie.

– **Oplacało się, za realizację tego projektu Muzeum w Sosnowcu otrzymało nagrodę Marszałka Województwa Śląskiego.**

– Tak. To była nagroda w konkursie *Wydarzenie Muzealne 2008 roku*, w kategorii „dokonania z zakresu inicjatyw edukacyjnych oraz popularyzacji dziedzictwa kulturowego”. Zdobywcami pierwszego miejsca byliśmy już wcześniej w 1992, powtórzyliśmy ten sukces także w 2012.

– **Wiele osób kojarzy sosnowiecką plackówkę z unikatową kolekcją szkła, to rzeczywiście rarytas. Jak to się stało, że tu trafiła?**

– Wszystko zaczęło się w 1980 r., kiedy w Sosnowcu powstała Centralna Wzorcownia Szkła, rok później przekształcono ją w Muzeum Szkła Współczesnego, a w 1995 r. kolekcja stała się naszą własnością. W dobie, kiedy polskie szklarstwo ulega stopniowej likwidacji, zbiory te stają się coraz cenniejsze, a składają się z trzech części: szkła użytkowego, szkła unikatowego i artystycznego autorstwa polskich twórców oraz szkła historycznego. Najliczniejszą z nich jest kolekcja szkła użytkowego zawierająca wzory z XX i XXI wieku, jej znaczną część stanowią przedmioty formowane i dekorowane ręcznie za pomocą piszczeleli i drewnianych form, reszta to ekspozyty formowane mechanicznie, czyli szkło prasowane. W sumie posiadamy ponad sześć i pół tysiąca obiektów. To unikatowe archiwum dokonania polskich designerów, technologów i hutników, jedyny taki zbiór w Polsce.

– **To kolekcja zamknięta, czy pozyskujecie nowe ekspozyty?**

– Dzięki współpracy z Akademią Sztuk Pięknych we Wrocławiu, jedyną uczelnią w Polsce kształcąca projektantów szkła, trafiają tu kolejne prace naszych twórców.

– **A szkło historyczne?**

– To najmniejsza część, jednak są tu cenne wyroby m.in. takich firm europejskich, jak „Pallme-König”, „LötzWitwe” i „Moser” z Czech, „Lamartine” i „Emil Gallé” z Francji, Vereinigte Lausitzer Glaswerke AG i Württembergische Metallwarenfabrik z Niemiec, „Niemen” na Litwie, ale i nasze rodzime wyroby z „Hortensji” w Piotrkowie Trybunalskim oraz hut „Żąbkowice” w Dąbrowie Górniczej i „Zawiercie”...

– **Wielokrotnie Muzeum ekspozycjonowało dzieła twórcy, który jest dumą miasta, malarza i grafika Mariana Maliny, są one własnością Muzeum?**

– To nasza chluba, jesteśmy w posiadaniu nie tylko unikatowych obrazów Mariana Maliny, które namalował we wczesnym okresie twórczości, ale także wielu grafik a nawet matryc. W tym roku przypada trzydziesta rocznica śmierci artysty, więc chcemy pokazać jego dorobek m.in. w Muzeum w Gorlicach.

– **Czy w dobie technologicznych innowacji muzeum może być atrakcyjne?**

– Może i powinno. Wyznaję zasadę, że by była jak największa różnorodność wystaw, dlatego w każdym roku organizowa-

liśmy minimum kilkanaście ekspozycji. Stała wystawa obrazująca historię naszego miasta, której utworzenie to wręcz nasz statutowy obowiązek, jest niezwykle kosztowna. Mamy wprawdzie opracowany atrakcyjny nowoczesny scenariusz przewidyjący nawet pewne zmiany aranżacji wnętrza pałacu, ale nie można się do tego zabierać połowicznie, musimy poczekać na odpowiednie środki. Gotowa propozycja czeka od 2011 roku.

– **Stala wystawa może zablokować duży powierzchnię, wystarczy miejsca na ekspozycje czasowe?**

– Nowoczesne techniki multimedialne dają wiele możliwości eksponowania obiektów. Myślę, że większym problemem są zbyt małe magazyny, np. Dział Sztuki boryka się z coraz większymi trudnościami.

– **W lutym pisaliśmy na naszych łamach o wernisażu dzieł Bolesława Barbackiego, podczas otwarcia wystawy podpisał pan umowę o współpracy, tym razem z Muzeum Okręgowym w Nowym Sączu, to już kolejny partner.**

– Porozumienia z innymi muzeami to bardzo dobra forma współpracy. My możemy promować historię i kulturę naszego miasta, u nas z kolei goszczą cenne wystawy czasowe z innych regionów. Mamy wiele takich umów, m.in. z muzeami słowackimi w Bardejowie, Koszycach, Żylinie i Trenczynie; czeskimi w Ostrawie i Olomuńcu; i węgierskimi w Debreczynie, Miskolcu i Komárom. Efektem tych porozumień były np. dwa wspólne projekty: *Razem do Europy. 4x40* oraz *Wokół tradycyjnej kuchni*.

– **Nie lubi pan spokoju, wciąż musi się coś dziać, ta cecha nie przeszkadza w pracy muzealnikowi?**

– Przeszkadza? Pomaga, muzeum nie może być zastygłą skamieliną, żyje tylko dzięki wystawom, a tych powinno być jak najwięcej i jak najróżnorodniejszych, inaczej powieje nudą, a to byłaby klęska.

– **Często mówi pan: nasze miasto, nasze muzeum... jest pan rodowitym sosnowiczaniec?**

– Po trzydziestu latach pracy w Sosnowcu, stałym obcowaniu z jego historią i kulturą jestem z tym miejscem emocjonalnie związany, ale mieszkam w Katowicach. Jednak dziejami regionu zajmowałem się już wcześniej jako pracownik Śląskiego Instytutu Naukowego, gdzie zatrudniłem się po studiach. Natomiast tworzenie od podstaw placówki muzealnej było dla mnie ogromnym wyzwaniem i bardzo mnie zafascynowało...

– **... ale i wyczerpało, skoro ze względu na stan zdrowia rezygnuje pan z funkcji dyrektora, ale nie żegna się z muzeum definitywnie. Czym będzie się pan teraz zajmował?**

– Powrócę do badań naukowych, może napiszę wreszcie wspomnienia muzealnika, nazbierało się tego, nazbierało...

– **Czekamy więc, to na pewno będzie frapująca lektura.**

„Emerycki hedonizm” polonistów

JERZY PASZEK

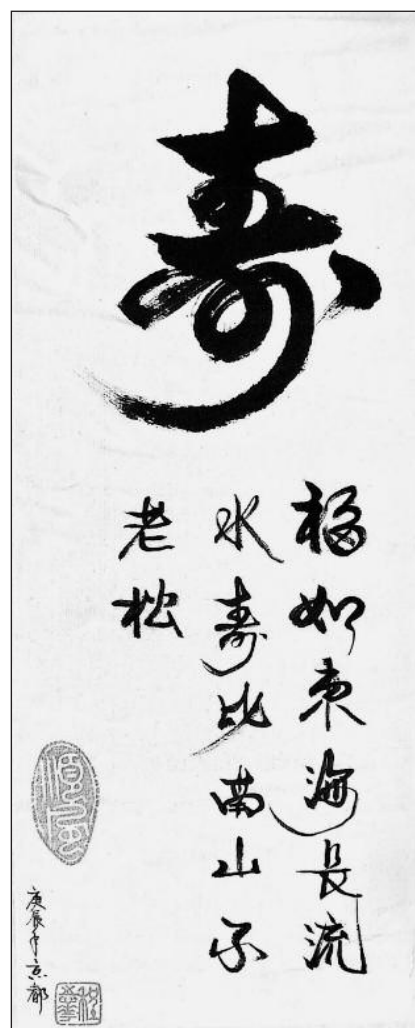
Pod koniec ubiegłego stulecia odwiedziła moją prywatną bibliotekę polonistka z Pekinu, Wu Lan, która w roku 2004 obroniła w Beijing Foreign Studies University pracę doktorską pt. *Sumienie narodu polskiego. O twórczości prozaicznej Stefana Żeromskiego*. Podarowawszy mi kakemono, zawierające życzenia, bym żył tak długo, jak sosny w górskim sanktuarium, zdziwiła się, że jestem już profesorem, choć nie osiągnąłem sędziwego wieku. „U nas – twierdziła – profesorem zostaje uczony, zbliżający się do 80 lat”. W Polsce profesorowie przechodzą zwykle na emeryturę, gdy mają 70 lat, więc orientalna kariera dotyczyłaby tylko czerstwych i długowiecznych bada-

czy ojczystej literatury! A przecież i w okresie zasłużonego odpoczynku bywają oni pracowici, sprawni intelektualnie, utrwalając w druku i nawet w internecie swoje wspomnienia, dojrzałe i przemyślane eseje bądź monografie o wybitnych naszych pisarzach. Chcę tu pokrótce opowiedzieć o znanych mi osobiście różnych, rześkich i rzeźwych, a niepróżnujących polonistach-seniorach.

Rekordziści

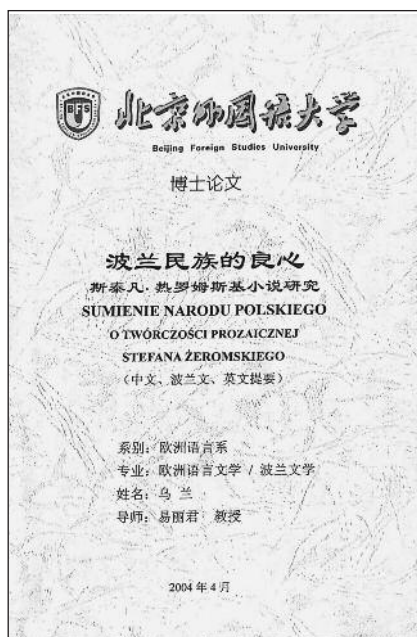
Gdyby przyjąć, że Czesław Miłosz zalicza się do omawianej grupy profesorów (jako autor *Historii literatury polskiej* i książek o Brzozowskim, Czechowiczu, Świrszczyńskiej), to byłby on rzeczywiście niezwykle reprezentantem tej konfraterni czy gildii. Jak obliczyłem w eseju *Stary Miłosz a Młoda Polska* (w tomie zbiorowym *Pogranicza, cezury, zmierzchy Czesława Miłosza*, Białystok 2012), liczba książek wydanych przez noblistę po roku 1981 (czyli po osiągnięciu 70 lat) przewyższa zdecydowanie dorobek poety z okresu 1933-1981. W ciągu tych 48 lat Miłosz opublikował zaledwie 20 tomów, a jako emeryt – przez 23 lata – wydał co najmniej 32 książki! Ale przecie Miłosz był przede wszystkim poetą, a profesura na sławistycie w Berkeley to jedynie źródło utrzymania!

Julian Krzyżanowski, wybitny profesor z Uniwersytetu Warszawskiego (nb. wręczający mi w roku 1970 dyplom doktorski), wedle Kazimierza



Wyki (uczestnika mojej obrony magisterium i doktoratu), „po przejściu na emeryturę wydawał książkę po książce” (zob. list Mieczysława Klimowicza skierowany do Henryka Markiewicza: *Nadanie Henrykowi Markiewiczowi tytułu doktora honoris causa Uniwersytetu Gdańskiego*, Gdańsk 1997, s. 106). Rzeczywiście, autor pięknie napisanej i zilustrowanej *Historii literatury polskiej. Alegoryzm – preromantyzm* (Warszawa 1966), który do roku 1962 opublikował 24 tomy, w okresie 1963-1976 wydrukował 11 tomów prac własnych (a w tym takie syntezy, jak *Neoromantyzm polski, Twórczość Henryka Sienkiewicza, Sztuka słowa*), a zredagował aż 25 tomów zbiorowych!

Mój promotor pracy magisterskiej i doktorskiej, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego Henryk Markiewicz (1922-2013), do roku 1992 opublikował 20 książek (nie licząc broszur), natomiast na emeryturze dodał do tego jeszcze 15 własnych dzieł (w tym jeden e-book pt. *Dialogi z tradycją*, Kraków 2007). Należy dodać, iż całość dorobku tego znanego profesora UJ zbliża się do 1500 pozycji: na jubileusz 70-lecia wydano bibliografię (autorstwa Waclawa Twardzika), w której odnotowano 1146 prac, a przez



następne 21 lat przybyło co najmniej 300 artykułów i studiów. Jest to polonistyczny rekord, porównywalny z listą publikacji prof. Krzyżanowskiego (*Dzieło Juliana Krzyżanowskiego*, oprac. Zofia Świdwińska-Krzyżanowska i Maria Bokszczyńska, Warszawa 1973), która urywa się na 1151 pozycji. Prof. Stanisław Pigoń ma 1300 odnotowanych przez Zbigniewa Jerzego Nowaka publikacji (zob. *Bibliografię prac Stanisława Pigońa. 1908-1959* w tomie zbiorowym pt. *Księga pamiątkowa ku czci Stanisława Pigońa*, Kraków 1961, s. 9-94, pozycji 1060; dalsze publikacje opracował prof. Nowak w następnej bibliografii, zawartej w tomie: *Stanisław Pigoń. Człowiek i dzieło*, pod redakcją Henryka Markiewicza, Marii Rydłowej, Tadeusza Ulewicza, Kraków 1972, s. 448-515 – ich liczba wynosi ok. 240 pozycji).

Długodystansowiec

Markiewicz zaczął drukować swoje artykuły w wieku 13 lat (sic!). Zakończył zaś na tydzień przed śmiercią, czyli w październiku 2013 roku, co daje – jakże niewiarygodny, długodystansowy rekord! – **78 lat obecności na lamach** czasopism (od „Nowego Dziennika” po „Gazetę Wyborczą”) oraz na półkach księgarskich. Profesor był bardzo dumny ze swej polonistycznej biblioteki (ok. 40.000 woluminów), a nade wszystko z powołania go na stanowisko redaktora naczelnego *Polskiego Słownika Biograficznego* (lata 1989-2002). Dziełem jego życia jest zapewne antologia *Skrzydlate słowa. Wielki słownik cytatów polskich i obcych* (2005-2012, współautorem jest Andrzej Romanowski, a w edycji z 2012 roku współpracowała z obu profesorami Maria Kotowska-Kachel), której wcześniejsze wersje opublikowano w latach 1990 i 1998, a zapowiedzi tego cennego i chyba niedocenianego kompendium były zamieszczane w „Przekroju” w latach 1958-1959 (pt. *Kto to napisał? albo Skrzydlate słowa*).

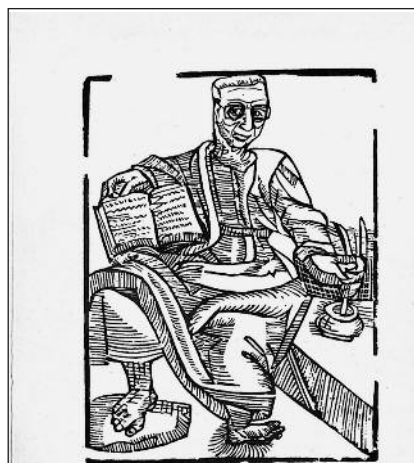
Oczywiście, oprócz tego wszystkiego, prof. Markiewicz był badaczem literatury pozytywizmu, Młodej Polski i dwudziestolecia międzywojennego, interesując się głównie Prusem i Żeromskim. Był też teoretykiem literatury, autorem przekładanych na obce języki *Głównych problemów wiedzy o literaturze* (1965, 1966, 1970, 1976, 1980, 1996). Dużą zasługą Markiewicza jest 3-tomowa edycja *Sztuki interpretacji* (t. 1–1971, t. 2–1973, t. 3 – 2011 [2014]), prezentująca osiągnięcia światowej humanistyki – po-

uczające i wzorcowe analizy arcydzieł literackich.

Na emeryturze (1992-2013) napisał m.in. dwa tomy o polskich i obcych teoriach powieści (1995, 1998), biografię Boya (2001) czy wreszcie swój życiorys (2002, 2011). Ale niespodziewanie wystąpił także jako miłośnik zabaw literackich. Taki właśnie tytuł nadał esejom dotyczącym powieści z kluczem, zjawiska plagiatu, nagłówków dzieł beletrystycznych, kompletowania fachowej biblioteki (*Zabawy literackie*, 1992). Swoje parafrazy limeryków oraz humorystyczną prozę z życia sfer uniwersyteckich zaprezentował w tomiku *Żartem i pół serio* (2008). Zredagował też dwa zbiory, w których najpierw zebrał dawne (od 1789 roku) i współczesne (nagrobki z 2005, limeryki z 2006 roku) *Zabawy literackie krakowskich uczonych* (2007), a następnie wybrał (wraz z Michałem Rusinkiem) przepyszne okazy plodów pisarskich profesury i młodszych pracowników naukowych z całej Polski (*Igraszki literackie polonistów. Antologia*, 2012). Wśród znakomitych autorów krakowskich, poznańskich, warszawskich, wrocławskich, gdańskich i szczecińskich znalazła się również grupa polonistów z Katowic: Maria Bujnicka, Konrad C. Kęder, Krystyna Kralkowska-Gątkowska, Izabela Mikrut, Leonard Neuger, Jerzy Paszek i Marek Piechota.

Krótkodystansowcy

Praca i pasja Markiewicza na polu popularyzacji polonistycznych popisów pisarskich (aliteracja zamierzona!) nie została niezauważona przez innych profesorów-seniorów. W ślady



Henryk Markiewicz

ŻARTEM I PÓŁ SERIO

autora *Zabaw literackich* ruszył Mięczysław Inglot (ur. 1931), profesor z Uniwersytetu Wrocławskiego, który opracował antologię pod ładnym, kalamburowym tytułem *Kawałkada. Dowcipy i anegdoty obyczajowe, polityczne i różnotematyczne* (2005).

Anna Martuszewska, badaczka twórczości Orzeszkowej, Rodziewiczówny, Prusa i Sienkiewicza, nie chcąc być gorszą od Markiewicza i Inglota, wydała – już jako emerytka Uniwersytetu Gdańskiego – poważną i solidną monografię pod myląco zachęcającym wszystkich nieprofesjonalnych czytelników do lektury nagłówkiem: *Radosne gry. O grach/zabawach literackich* (2007). Książka ta ma charakter wybitnie teoretycznoliteracki, co można sprawdzić, przeglądając indeks nazwisk, gdzie częściej od pisarzy (Gombrowicz, Prus, Sienkiewicz, Sterne, Tolkien, Tuwim) pojawiają się badacze (Barthes, Caillouis, Eco, Głowiński, Jarzębski, Markiewicz, Wittgenstein). Ja też jestem „skrycie” cytowany (choć nie odnotowany w indeksie) jako autor eseju *Zabawa z/w „Ferdynandzie”* (s. 199 monografii Martuszewskiej). To takie małe rozstąpienie emerytki, która jednak rzekła sobie w sercu „zadosyćuczynmy” (zob. paragraf *Jaskinia hazardu*) krzywdzie tamogórzanina i nadesłała artykuł do jubileuszowej księgi pt. *Alfabet Paszka: Berent, stylistyka (i okolice), Żeromski* (2010). Inny emeryt, badacz i edytor Kasprowicza, Roman Loth, cytuję mnie w swych *Podstawowych pojęciach i problemach tekstologii i edytorstwa naukowego* (2006): „drukuję ten fragment Jerzy Paszek w krytycznym wydaniu *Pism zebranych Żeromskiego*” (s. 77), ale w indeksie pomiędzy Paskiem a Pawlikowską-Jasnorzewską mnie nie ma! Oto inne oblicze nieobliczalnych erudytych z IBL PAN!

„Zmiana emploi”

Michał Głowiński, badacz poezji Czechowicza, Leśmiana i Tuwima, a także prozy młodopolskiej i powieści Gombrowicza, ogłosił jako emeryt *Kładkę nad czasem. Obrazki z Miasteczka* (2007), dopełniającą trylogię: *Czarne sezony* (1998), *Magdalena z razowego chleba* (2001), *Historia jednej topoli i inne opowiadania* (2003). Podsumowaniem tej sekwencji utworów wspomnieniowych jest opasła księga *Kręgi obcości. Opowieść autobiograficzna* (2010).

Opublikowawszy tę pentadę czy pięcioksiążkę, iblowski profesor teorii i historii literatury przemienił się w pisarza pełną gębą! W *Kręgach obcości* autor swoją metamorfozę nazywa „zmianą emploi” (s. 501). Gdy odwiedził Katowice w roku 2008 (o czym

wspomina na s. 494), uważał się już bardziej za pisarza, a mniej za profesora polonistyki, zatroskanego niedocenianiem metodologii strukturalizmu. W „opowieści autobiograficznej” rozważa, mówiąc o „starczym (lub emeryckim) hedonizmie” (s. 490), trzy wzorce postępowania ludzi kończących swe kariery: można zamilknąć (jak Jean Sibelius), można kontynuować pracę po ostatnie dni życia (jak Richard Strauss), można naśladować młodszych od siebie (jak czynił Igor Strawiński), stając się epigonem.

Myślę, że prof. Głowiński wybrał drogę Straussa. Ale i ta ścieżka nie jest bezwarunkowo bezpieczna! Emplou pisarskie warszawskiego polonisty „oprotestował” we wrocławskiej „Odrze” (2002, nr 4) holokaustowy twórca Henryk Grynberg. Zarzucił autorowi *Czarnych sezonów* powielanie znanych już w literaturze Szoah motywów, niedostateczne opanowanie warsztatu pisarskiego (analizy stylu i języka Głowińskiego w *Pamiętniku* Grynberga, 2011, s. 584-588), a także życie przez pół wieku „na aryjskich papierach”. Zaatakowany twierdzi, że Grynberg nie przeczytał dokładnie recenzowanej książki, bo w niej wyraźnie napisał, że „Głowiński” jest jego autentycznym nazwiskiem. Nie odniósł się jednak do innych inkryminacji bądź insynuacji mieszkającego w USA pamiętnikarza. Za to na dwóch stronkach *Kręgów obcości* (s. 500-501) sześciokrotnie powtarza frazę „literat Grynberg”, która staje się tym samym obelgą, przypomnieniem techniki totalitarnej nowomowy, której nb. Głowiński jest wybitnym znawcą! Tak oto niewinna z pozoru „zmiana empli” może stać się zapłonem eksplozji gniewu konkurentów, którzy wcześniej „zagospodarowali” holokaustową tematykę.

Wierność Mistrzom

Tadeusz Kłak, który w roku 2002 przeszedł na emeryturę, całe życie poświęcił dociekaniom tajemnic poetyckiej Awangardy, a w szczególności analizom liryki Czechowicza i Różewicza. Ukoronowaniem badań dorobku lubelskiego arcypoety jest opracowanie przez Kłaka w latach 2005-2011 trzech woluminów (*Prozy, Szkiców literackich, Listów*), wchodzących w 9-tomową krytyczną edycję *Pism zebranych* Czechowicza. Prof. Uniwersytetu Śląskiego przypomniał też swe rozproszone studia w książkach: *Drogami Czechowicza* (2010), *Drogami Awangardy* (2013), *O Tadeuszu Różewiczu. Studia i szkice* (2012). Dodam, iż o przyjaciółach z KUL napisał wspomnienia pt. *Spojrzenie wstecz* (2011).

Na 80. urodziny wydawnictwo kieleckie GENS opublikowało skromny

(tylko 20 s.) tomik poetycki Tadeusza Kłaka pt. *Rozmowa z Emerykiem* (2012). Tytułowy wiersz jest nawiązaniem do *Popiołów* Żeromskiego, gdzie mowa o węgierskim królewiczu Emeryku, który ujrawszy w Puszczy Świętokrzyskiej jelenia z krzyżem w porożu, postanowił erygować klasztor na Łysicy. Ciekawe, że badacz Awangardy pisuje wiersze w stylu XIX-wiecznej sztuki lirycznej, naśladując nawet archaiczną dykcję („Z trudu-m wreszcie klęknął”).

„Jaskinia hazardu”

W latach 1996-2010 w Zakładzie Historii Literatury Poromantycznej, w pokoju nr 412 w gmachu na placu Sejmu Śląskiego w Katowicach, co czwartek od godziny 16 trwały turnieje skrablowe, gromadzące od 10 do 20 uczestników. Byłem gospodarzem tych igraszek filologicznych i strategicznych na planszy o wymiarach 15 na 15 pól. Dziennikarze, przeprowadzający najczęściej w grudniu (pora na promocje gier planszowych!) wywiady ze skrablistami, nadali pomieszczeniu Instytutu Nauk o Literaturze Polskiej miano „jaskini hazardu”!

Na emeryturze, pisując stale o Berencie (m.in. zredagowałem w roku 2013 numer „LiteRacji” poświęcony autorowi *Ozimim*) i Żeromskiemu (m.in. mój esej w tomie zbiorowym pt. *Żeromski – tradycja i eksperyment*, 2013), zająłem się również biciem rekordu świata (sic!) w konkurencji układania krzyżówki skrablowej, wyzyskującej polskie czcionki. Najpierw w „Gazecie Uniwersyteckiej” (2012, nr 2) pokazywałem, jak przekroczyć granicę 4000 punktów, a potem w „Śląskich Studiach Polonistycznych” (2013, nr 3) wykrzesalem z polskiego fontu 4097 punktów! Teraz dobiłem do rekordu 4111 punktów, zachowując z poprzedniej kompozycji tylko trzy słowa (zadosyćcużyńmyż, podźwignęłyście, żreb), a dodając – znawcy odtworzą sobie sami moją drogę na te Himalaje skrablowe! – takie słowa i słówka, jak: współpracującej, bakalarskim, helofitami, wykadzał, łgarstwu, izomerze, jowialny, chininom, obić, fenu, dat, tek, ary, len. Uważam nieskromnie, że jest to arcydzieło skrablowej sztuki, a rekord jest nie do pobicia, chyba że polszczyzna zostanie w ciągu najbliższych wieków wydatnie wzbogacona o „skrablocenne” wyrazy (jak mawia mój przyjaciel Marek Piechota podczas zbyt rzadkich uniesień skrablowych w mej bibliotece). Tak to od gier wirtualnych w literaturze, przeszedłem do gier prawdziwych, do graczy zaciętych i wyrafinowanych w znajomości tajemnic ojczyzny-polszczyzny. ■

Córka Zofii Kossak, Anna Bugnon-Rosset 15 marca tego roku skończyłaby osiemdziesiąt siedem lat. Zmarła 27 lutego. Pożegnaliśmy ją w niewielkiej miejscowości Cugy w Szwajcarii, w czwartek 5 marca. Był słoneczny dzień, zapowiadający wiosnę. Zauważyłam, że w przydomowych ogródkach z ziemi wychodzą narcyzy, które niebawem zakwitną, kiedy wiosna zagości już na dobre. Podobnie, jak wówczas, kiedy w Wielki Czwartek na Śląsku Cieszyńskim odprowadzano na cmentarz jej matkę, znaną pisarkę. Fotografie uwieczniły tłoczących się przed domkiem ogrodnika w Górkach Wielkich żałobników stojących wśród kępek narcyzów. Na innej fotografii widać twarz córki Anny i łzę spływającą po policzku, widać złamanego nieszczęściem męża, Zygmunta Szatkowskiego. W liście do rodziny napisał: *Spooczywa na góreckim cmentarzu z pięknym widokiem na góry, wśród swoich górczan, obok grobu śp. Ojca. Zdaje mi się, że jest przy mnie.*

Wszystkie te obrazy i myśli towarzyszyły mi, kiedy stanęłam nad trumną Anny Bugnon-Rosset, a w pamięci miałam inny list, napisany przez nią na wieść o śmierci mojej babci. W 2003 roku moja mama przeczytała jej słowa, które teraz brzmią jak testament: *Utrata Matki, nawet berdo wiekowej jest zawsze bolesnym przeżyciem i trudno się do tego faktu przyzwyczaić – choć wiemy, że jest Ona bliżej nas i skuteczniej, niż za życia. Niech dobro, które czyniła przez tyle lat i pozostawiła wśród Was, będzie Jej darem szanowanym i pomnażanym, naśladowanym przez dalsze pokolenia.*

Słowa o kobiecie czyniącej dobro przez wiele lat można odnieść do córki Zofii Kossak, która była osobą niezwykle skromną, życzliwą i pogodną. Z całą pewnością życie przyniosło jej wiele niełatwych przeżyć, a jednak, podobnie jak jej matka, nie należała do osób zgorzkniałych i narzekających na swój los, wręcz przeciwnie.

Anna Szatkowska była jedyną córką i najmłodszym z czworga dzieci Zofii Kossak. Dzieciństwo spędziła w dworze Kossaków w Górkach Wielkich. Podczas wojny uczyła się u sióstr zakonnych w Szymanowie. Wzięła udział w Powstaniu Warszawskim, a potem razem z matką wyjechała na niechcianą emigrację, po jakimś czasie wyszła za mąż i zamieszkała na stałe za granicą. Po tragicznej śmierci pierwszego męża sama wychowywała czworo dzieci, wówczas Zofia Kossak miała nadzieję na powrót do kraju córki i wnuków. W Polsce panował jednak nadal komunizm i w końcu Anna z Szatkowskich została w Szwajcarii.

Pracowała jako nauczycielka i choć nigdy nie nazywała siebie pisarką, to jednak w końcu, namawiana przez wiele osób, spisała swoje wspomnienia. Miały one, zgodnie z zamierzeniem, być

opowieścią kierowaną do wnuków, ale krąg odbiorców okazał się znacznie szerszy. Podkreślano, że znakomicie oddaje specyfikę czasów dzieciństwa i młodości, że przedstawia barwną historię, jest wierna faktom i nie zapomina o istotnych drobiazgach. W książce zatytułowanej „Był dom...” sportretowała wiele znanych postaci historycznych, ale najwięcej miejsca poświęciła swojej matce – Zofii Kossak-Szczuckiej-Szatkowskiej.

Jej wspomnienia zawierają wiele obrazowych opisów, wzruszających i zapadających w pamięć scen i obrazów dokumentujących czasy, które odeszły w przeszłość. Anna Bugnon-Rosset, dowiedziawszy się o tym, jak wysoko książka została oceniona, napisała: „nigdy nie myślałam, że takie babcine opowieści będą tak dobrze przyjęte”.

Szukając śladów Zofii Kossak, odnajdywałam miejsca i osoby, które chciałam zaprezentować jej córce. Tak trafiłyśmy do jednej z dawnych służących góreckiego domu. To było jedno z tych wzruszających spotkań, których się nie zapomina. Ostatni raz widziały się przed wojną, Anna była nastolatką, a jednak Joanna Klimas, zobaczywszy ją, powiedziała: *Taka pani podobna do mamy i babci*. Potem przysłuchiwałam się opowieściom o dziecięcych zabawach, o tym jak dzieci wznosiły w dość swobodnej atmosferze, jak bawiły się z dziećmi pasącymi krowy, od nich uczyły się, jak puszczać latawce i robić fajki z dzikiego bzu. Nieraz znajdowały sobie dość oryginalne zajęcia. Dwa razy w roku odbywała się fascynująca wyprawa nad Brennicę, pobliską rzekę. Na wozie wieziono ogromne balie z prześcieradłami, obrusami, ścierkami i ręcznikami. Wszystko to zostało wcześniej namoczone, wyprane na tarkach, a potem płukane w rzece. Drewniane cebrzyki świetnie pływały, nic więc dziwnego, że dzieci, ku rozpaczyc opiekunki Heli doskonale tę właściwość potrafiły wykorzystać. Wchodziły do nich i już nie było balii ani cebrzyków, były okręty na wzburzonym morzu.

Takich spotkań, rozmów, wspólnych wyjazdów, prelekcji, było sporo. Kiedy córka Zofii Kossak przyjeżdżała ze Szwajcarii do Polski, czekało na nią wielu rozmówców: profesorowie uniwersyteccy, wielbicieli Kossaków, dawni znajomi, przedstawiciele mediów i ci, z którymi trzeba było ustalać bardzo prozaiczne zadania dotyczące ogrodu, domu ogrodnika, dworu. Wszystkich słuchała z uwagą, dla wszystkich starała się znaleźć czas, a jej wielką troską było pielęgnowanie pamięci o rodzinie. Kiedy zrujnowany pod koniec wojny dwór Kossaków został zaadaptowany i częściowo odbudowany, przekraczała jego próg z wyraźnym wielkim wzruszeniem. Wracła do domu.

Jeśli prawdą jest, że tuż przed śmiercią człowiek widzi przed oczami retro-

Wspomnienie o córce Zofii Kossak, ANNIE BUGNON-ROSSET



Anna Bugnon-Rosset

Teraz jest bliżej i skuteczniej

JOANNA
JURGAŁA-JURECZKA

spektywne obrazy przedstawiające poszczególne etapy jego życia, tam, w dalekiej Szwajcarii 27 lutego, Anna Bugnon-Rosset powróciła do Górek Wielkich, do kraju dzieciństwa. Może zobaczyła górecki dom, siebie w nim, wśród drzew, w parku, nad Brennicą. Może widziała miejsca i zdarzenia, o których opowiadała z uśmiechem i nostalgią, o płatanach razem z bratem figlach, o dziecięcych zabawach, o babci, która otwierała codziennie „słodką” szufladę i częstowała wnuki cukierkami, o matce, znanej pisarce, która nauczyła ich szacunku i miłości do świata i ludzi, o Kacperku, skrzacie, który strzegł góreckiego dworu, o zwierzętach, które towarzyszyły jej od zawsze.

Pozostanie w mojej pamięci jej uśmiech, życzliwość, troska o in-

nych – nie o siebie, jej obrazowe opowieści najczęściej o matce – rzadziej o sobie, jej dobre rady dotyczące spraw wielkich i przyziemnych. Wiele jej zwdzięczam, ponieważ kiedy ponad dwadzieścia lat temu weszłam w krąg „spraw Zofii Kossak”, zawsze była tam pani Anna (tak pozwalała się do siebie zwracać) i zawsze mogłam zapytać, poradzić się, poprosić o pomoc. Odpowiadała cierpliwie, z uwagą skupioną na rozmówcy, zainteresowana nim – nie sobą. W Szwajcarii, w Cugy stanęłam nad jej trumną, żeby powiedzieć – dziękuję, pani Anno. I wiem, że usłyszała, bo przecież pisała w liście do mojej mamy, że ci, którzy odeszli, są bliżej nas i skuteczniej, niż za życia.



Prof. Jan Malicki gratuluje zwycięstwa Julce Lauer, która także okazała się najmłodszą uczestniczką konkursu

Pod patronatem „Śląska”

zasłuchani.pl

WIESŁAWA KONOPELSKA

Wielkie muzyczne święto, jakim była śląska prapremiera *IV Symfonii Tansman Episydy* Henryka Mikołaja Góreckiego była okazją do ogłoszenia przez Filharmonię Śląską konkursu pod tytułem „zasłuchani.pl”. Nieprzypadkowo organizator zaproponował uczestnikom konkursu list jako formę wypowiedzi.

Otóż inspiracją były listy pisane do Henryka Mikołaja Góreckiego przez melomanów i wielbicieli – zwłaszcza jego *III Symfonii Pieśni żalonych* – z całego świata. Wrzucane do skrzynek pocztowych na całym świecie, często bez podanego adresu, czasem tylko z dopiskiem „Poland”, trafiały bezbłędnie do rąk mieszkającego w Katowicach Kompozytora. „Henryk Mikołaj Górecki. Please finde” tak brzmiał adres jednego z listów, który stał się kanwą do powstania filmu zrealizowanego przez Violetę Rotter – Kozezę, a opowiadającym o życiu i dziele Mistra światowej sławy.

Idąc tym tropem Filharmonia Śląska postanowiła dokonać swego rodzaju eksperymentu, bowiem w czasach maili i sms-ów, ktoś jeszcze pisze listy, a na dodatek o muzyce! Idea

organizatora było sprowokowanie osób, które słuchają muzyki – nie tylko tej zwanej poważną, ale jakiegokolwiek, by podzieliły się krótką refleksją opowiadającą o tym, czym w ich życiu jest muzyka. Nie poczyniono ograniczeń wiekowych, dając szansę każdemu: byłalcom sal koncertowych i wytrawnym melomanom, ale też będącej zawsze w biegu młodzieży, pędzącej od jednych do drugich zajęć ze słuchawkami na uszach, z których dochodzi ciężki rock, blues, hip-hop i na co tam jeszcze indywidualny gust muzyczny przyzwala. Konkurs przyniósł efekt nadspodziewany! Listy zaczęły napływać przede wszystkim drogą mailową – a jakże! Ale trafiła się też perełka napisana odręcznie, a na dodatek opatrzona własnoręcznie wykonanymi „eksponatami” – ale o tej pracy słów kilka w dalszej części relacji.



Alicja Giecwicz – nieco zaskoczona, ale szczęśliwa, odbiera nagrodę również z rąk prof. Jana Malickiego

W sumie do jurorów konkursu dotarły 24 prace, spośród których dwie, niestety, przesłane zostały po ustalonym w regulaminie czasie.

Czterooosobowemu jury, powołanemu przez Filharmonię Śląską, przewodniczył prof. Jan Malicki dyrektor Biblioteki Śląskiej. Zasiadli w nim także: red. Wiesława Konopelska – zastępca redaktora naczelnego miesięcznika „Śląsk”, red. Henryk Cierpiak – kierownik Redakcji Muzycznej Polskiego Radia Katowice oraz w roli sekretarza jury Agnieszka Młynarczyk – kierownik Biura Marketingu, Promocji i Projektów Filharmonii Śląskiej, pomysłodawczyni konkursu „zasłuchani.pl”.

Z dużą uwagą i wielką troską pochylił się wszyscy nad otrzymanymi listami, by wyłowić ze sterty tekstów te najbardziej osobiste, a zarazem odpowiadające wymogom regulaminowym konkursu. Szybko okazało się, że trzy prace jednomyślnie zostały ocenione najwyżej, i to ich autorzy zostali obdarowani nagrodami. Wspomnianą perełkę postanowiono uhonorować wyróżnieniem specjalnym. Wśród rozlicznych nagród przygotowanych przez organizatora konkursu „zasłuchani.pl” była także publikacja nagrodzonych tekstów na łamach „Śląska”, który był współorganizatorem tego muzyczno-literackiego przedsięwzięcia.

Uroczystego wręczenia nagród dokonano na chwilę przed koncertem, podczas którego nie tylko wykonana została *IV Symfonia* Henryka Mikołaja Góreckiego, ale także zaprezentowano licznie zgromadzonej publiczności fragmenty filmu „Henryk Mikołaj Górecki. Please finde”. Był to znakomity kontekst dla dopiero co rozstrzygniętego konkursu, bowiem zarówno laureaci jak i pozostali uczestnicy przybyli na uroczystość ogłoszenia wyników, mogli wysłuchać pierwszego, śląskiego wykonania *IV Symfonii* Henryka Mikołaja Góreckiego.

Kim są laureaci „zasłuchani.pl”? Jak się okazało, zwyciężyły prace bardzo młodych, ale jakże wrażliwych i utalentowanych, ale odznaczających się także dużą kulturą języka, osób. Laureatką pierwszego miejsca została Julka Lauer, uczennica Państwowej Ogólnokształcącej Szkoły Muzycznej II st. im. Karola Szymanowskiego w Katowicach, która – jak napisała o sobie – nie tylko zgłębia tajniki gry na gitarze, ale także pasjami uprawia grę w... piłkę nożną. Kolejna laureatka – Alicja Giecwicz – także licealistka, godząca naukę w dwóch szkołach: ogólnokształcącej i muzycznej. Trzecią nagrodę przyznało jury Krzysztofowi Mazurowi, pasjonatowi dźwięków i... tramwajów. Jak to się robi, opisał w swoim liście.

Niewątpliwie najbardziej wzruszający list nadesłała pani Maria Sławska ze Strzelec Opolskich. Zaskoczeniem, a zarazem niespodzianką dla jurorów okazało się uzupełnienie tekstu – był nim wykonany z papieru... akordeon, który niezwykle sugestywnie opisała pani Maria. Jak bardzo trzeba być wrażliwym na piękno, nie tylko muzyki, by będąc dzieckiem konstruować niedostępne dla siebie „instrumenty”, by po lekcjach muzyki, po kryjomu, z drzeniem rąk i serca dotykać strun zakazanych skrzypiec i odnajdywać w tym radość i szczęście? Za ten niezwykły list pani Maria Sławska otrzymała specjalne wyróżnienie.

Pomysł konkursu „zasłuchani.pl” powstał niejako „przy okazji”, ale może rozwinie się w niezależne przedsięwzięcie? Kto wie, bo z pewnością łatwiej muzyki słuchać, niż o niej pisać, ale może właśnie pisanie listów okaże się na tyle intrygującą, bo nieco staroświecką dla młodzieży formą, że zechcą zatrzymać się nad dłuższym tekstem aniżeli prosty sms... Oby!

Tymczasem redakcja miesięcznika „Śląsk” gratuluje wszystkim nagrodzonym a także pomysłodawcom i organizatorom konkursu „zasłuchani.pl”.

JULKA LAUER – I nagroda

Urodziła się w 1999 r. w Tychach. W 2006 r. rozpoczęła naukę gry nagitarze w Ogólnokształcącej Szkole Muzycznej I st. w Tychach. Obecnie kontynuując naukę w Państwowej Ogólnokształcącej Szkole Muzycznej II st. im. Karola Szymanowskiego w Katowicach. Oprócz muzyki, jej pasją jest piłka nożna – aktualnie trenuje w KKS Polonia Tychy.

Drodzy muzycy Filharmonii Śląskiej!

Podczas ostatniego koncertu, kolejny raz przekonałam się, że to prawda.

Jest magia, która przenika szkło klepsydry i zatrzymuje ziarna piasku. Panuje nad nami jak gwiazdy – bezszelestnie poruszające się w przestrzeni, o czym czasem sobie przypominamy.

Martwię się, że krzykiem przerywamy jej oddech...

Jest spokojem – zmienną trwałością, kontynuacją i konsekwencją. Budzi myśli, otwiera emocje, tworzy obrazy. Zastanawiam się czasem do kogo mówi. Mam przecucie, że do każdego z nas, lecz zupełnie osobiście.

Chcemy ją ujarzmić dodając słowa, ale nie uważam tego za konieczne. Zamyka to niektóre z dróg rozumienia.

Jej zapach oczyszcza mnie z nieważnych zdarzeń i niepotrzebnych słów. Mogę w jej cieniu ujrzeć siebie, słuchać opowieści... Opowieści Ziemi, która nieprzerwanie trwa.

Niesamowite jest, że możemy sami tworzyć magię – muzykę i w najpiękniejszym języku świata, przekazywać to, co jest naprawdę ważne. Dziękuję, że jej służycie.

Julka Lauer

ALICJA GIECEWICZ – II nagroda

Uczennica klasy dyplomowej Szkoły Muzycznej II stopnia w Sosnowcu oraz klasy filozoficzno-kulturowej II LO im. Emilii Plater w Sosnowcu. Laureatka XXXVII Olimpiady Artystycznej w sekcji muzyki oraz innych konkursów wiedzy o muzyce – „Bliżej Warszawskiej Jesieni – Henryk Mikołaj Górecki” oraz „Najpiękniejsza jest muzyka polska”.

Droga Filharmonio!

Pytanie „Czym jest dla mnie muzyka?” wywołuje konsternację. Bo jak tu opisać słowami najgenialniejszy język świata, który jest cudem właśnie dlatego, że nie potrzebuje słów? Ten list powstawał wiele razy, bo zawsze wydawał mi się zbyt patetyczny lub przeciwnie – zbyt płytki. Najtrudniej mówić o sprawach najważniejszych, a muzyka jest dla mnie jedną z nich. Chyba nigdy tak bardzo nie czuję swoich ograniczeń jak wtedy, gdy próbuję ją wykonywać. Czasami po prostu mam wrażenie, że ona nas przewyższa, że to czysta metafizyka, transcendencja. Myślę, że muzyka ma dzisiaj szczególne znaczenie. W naszym zabieganym świecie, w którym sami nie wiemy, kim jesteśmy i dlaczego to jesteśmy, daje okazję do – choćby najkrótszej – refleksji. Warto wziąć głęboki oddech i się zasłuchać.

Jednak z drugiej strony, mówiąc o muzyce, nie trzeba używać górnołotnych słów. Muzyka może przecież być też częścią codzienności. Kiedy z przyjaciółmi próbujemy tańczyć „walca na z „Patetyczną” Czajkowskiego, czy przed egzaminem nucimy marsza żałobnego z „Eroiki” Beethovena, muzyka wywołuje uśmiech, staje się okazją do dobrej zabawy.

Za trzy miesiące skończę naukę w szkole średniej i szkole muzycznej. Pojawily się oczywiście naturalne wątpliwości związane z pytaniem „Co dalej?”. Jak pisał Jan Twardowski: „Jeśli nie wiesz dokąd iść sama cię droga poprowadzi”. Jakkolwiek patetycznie to nie zabrzmie – muzyka stała się moją drogą. I jak dotąd, prowadzi.

Z serdecznymi pozdrowieniami
Alicja Giecwicz

KRZYSZTOF MAZUR

– III nagroda

Urodzony w roku 1986 w Mysłowicach, gdzie mieszka. Absolwent Śląskich Technicznych Zakładach Naukowych w Katowicach oraz Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie. Pasjonat wszystkiego, co związane z transportem publicznym. Zafascynowany fenomenem miasta Katowice. Autor pracy licencjackiej traktującej o śladach istnienia kolei zapisanych w rzeźbie powierzchni Ziemi w okolicy rodzinnego miasta. W ramach studiów w Uniwersytecie Jagiellońskim podejmuje próbę stworzenia pracy magisterskiej określającej rolę tramwajów w systemie transportowym konurbacji katowickiej.

Droga Filharmonio!

Zobaczyłem dziś w tramwaju Twoje ogłoszenie. Pytasz mnie w nim, Filharmonio, o muzykę. Zaczęłem słuchać. „Kąrlik”, pierwszy nowoczesny tramwaj na Śląsku. Świst falownika – to poruszający go prąd płynie do silników. Dźwięk nasila się, jest coraz wyższy. Hamuje, znów świst, ale inny. Jakby smyczkiem przesuwając po strunach skrzypiec. Miarowy stukot na stykach szyn. Czy to zgrzyt? To kolejny głos, śpiew kół na zakręcie. Postój, cisza przzerwana buczeniem. To praca pompy hydraulicznego hamulca. Dzwonek, tramwajowa perkusja. Raz po raz odkrywam kolejne instrumenty tej orkiestry. Rytm symfonii wybijany kołami o szyny. Przystanek to pauza.

Nutą namalowano „Fale Dunaju” i „Cztery pory roku”. Jak opisać dźwiękiem dzisiejszy świat? Moja muzyka w filharmonii na szynach. Klucz wiolinowy to kierunek jazdy, metrum to numer linii. Między przystankami takt. Pięciolinia to tor. Rozmarzyłem się droga Filharmonio. Znam z płyt kogoś, kto podjął się tego zadania – Kraftwerk. Prześiądźmy się z nimi z auta sunącego wstęgą „Autobahn” do pociągu „Trans Europa Express”. W elektronicznej muzyce słysząc miarowy stukot stali o stal. Nutą za nutą, kilometr po kilometrze, muzyk naśladowuje bieg pociągu. Lokomotywa podaje sygnał syreną. Dworcowy gong i zapowiedź odjazdu. I znów przystanek, pauza. Trzeba się zatrzymać, chwila refleksji. Nie wystarczy posłuchać, trzeba zrozumieć. Nowoczesność ma duszę. Dwa utwory

o drodze to tylko cząstka malowanego elektroniczną nutą obrazu cywilizacji. Słucham i rozważam dokąd prowadzi nasze koleje losu. Słucham z nadzieją, że celem nie jest tor, którego tytuł brzmi „Radioaktivität”.

Z pozdrowieniami z podróży
Krzysztof

MARIA SŁAWSKA – wyróżnienie specjalne

16 II 2015

...by struny zadrzały

Kiedy byłam małym dzieckiem, miałam 10 lat, wspólnie z koleżankami składałyśmy z kartki papieru harmonijkę (taką jak ma miech akordeonu), można ją było po rozłożeniu rozciągać i grać na akordeonie. Ale cóż z tego, ten instrument z papieru nie miał dźwięku. Pomyslałam i nazbierałam z klombu kwiatów pełnych os i pszczoł. Te owady włożyłam do mej harmonii. Jak rozciągałam ją i poruszałam, to owady bardzo brzęczały... to dla mnie była wtedy piękna muzyka. Chodziłam zamyślna, rozmarzona, grałam i wsłuchiwałam się w brzęczenie os i pszczoł. Kiedy muzyka cichła, otwierałam bok harmonii i zemdlone owady wypuszczałam na wolność.

Nikt mi nie powiedział, że męczę osy i pszczoły, ale mnie – dziecko, upajała ta „muzyka”.

Chodziłam do szkoły podstawowej na Górze św. Anny. Był to rok 1954. Na lekcje śpiewu pan kierownik przynosił skrzypce. Grał nam różne melodie ludowe i uczył nas śpiewać. Pod koniec lekcji pan Waliński prosił, by jakieś dziecko odniosło skrzypce w futerał do kancelarii. Zwykle ja się pierwsza wyrzywałam z ławki i odnosiłam skrzypce. Ale tam otwierałam futerał, wyjmowałam skrzypce i palcami dotykałam strun, by dźwięczały. Przysłuchiwałam się tym dźwiękom i zarazem spieszyłam, by nikt z nauczycieli nie wszedł do kancelarii.

Szybko skrzypce chowałam, futerał wkładałam na szafę. Wracalam do klasy szczęśliwa, zadumana. Po latach napisałam o tym wiersz:

Urok skrzypiec

Ach! Być dzieckiem
I pudło skrzypiec otworzyć
Dotknąć paluszkami
złotych strun
by zadrzały
jakby sam Paganini
pociągnął po nich smykiem.

(19 IX 2009)

Mieszkałam w Domu Dziecka w Porębie. Tam, w świetlicy było pianino. Nauczyłam się w wieku 10 lat na nim grać, a także na harmonijce ustnej.

Muzyka dla mnie była pięknym ukojeniem duszy. Przenosiła mnie w inny świat. To było coś wspaniałego, jakby wszyscy Anieli sfrunęli nagle z nieba i nieśli mnie ponad światem.

Teraz, w dorosłym życiu słucham muzyki klasycznej z płyt, kaset, czasem bywam na koncertach. Muzyka przenosi mnie w inny, piękny świat, daje ukojenie i spokój. A także tworząc inspiracje, bo piszę wiersze.

Maria Sławska
Strzelce Opolskie

O pierwszym „przełomowym” rysunku, występach w kabarecie Hefajstos, misterium światła, sztuce witrażu, a także o roli przypadku w twórczości artystycznej z malarzem, witrażystą, właścicielem tarnogórskiej Galerii „Pod-Nad”, pedagogiem i propagatorem sztuki prof. WERNEREM LUBOSEM rozmawia LUKASZ KARKOSZKA

Ku światłu

Fot. Lukasz Karkoszka



– W tym roku obchodzi pan jubileusz 55-lecia pracy artystycznej. Wróćmy na chwilę do początków pana działalności artystycznej...

– Malować zacząłem już w szkole podstawowej. Jeden z nauczycieli, widząc mój rysunek „Koziołka Matołka”, stwierdził z uznaniem, że przejawiam talent artystyczny. Cieszyłem się tym jednak do czasu. Konsekwencją odkrycia moich zdolności było to, że musiałem prowadzić kronikę szkolną, malować plakaty na 1 Maja i inne państwowe uroczystości (*śmiech*). Była to dla mnie wielka udręka, dlatego też w gimnazjum zabroniłem kolegom wspominać komukolwiek o tym, że potrafię malować. Sam zresztą porzuciłem to zajęcie na rzecz sportu. Mimo natłoku zajęć, cały czas czułem tęsknotę za malowaniem. Kiedy więc przyszedł czas na wybór kierunku studiów, zdecydowałem się zdawać na krakowską Akademię Sztuk Pięknych. Wysłałem podanie, nie wie-

działem jednak, że należy jednocześnie złożyć teczkę z przygotowanymi pracami... Kiedy więc w radiu usłyszałem, że trwają już egzaminy, a mnie nikt o tym nie poinformował, postanowiłem wybrać się do Krakowa z wielką awanturą. Wziąłem ze sobą tylko jeden obraz. Pospieszenie malowałem go w nocy, mając do dyspozycji zaledwie trzy farby: czerwoną, czarną i białą. Rano owinałem go gazetą i pojechałem. Przez kilka godzin czekałem pod drzwiami ówczesnego rektora Akademii – Czesława Rzeplińskiego. W końcu udało mi się do niego wejść. Kazał mi pokazać obraz. Niestety farby nie zdążyły wyschnąć, gazeta przykleiła się do obrazu. Totalna klęska. Rektor kazał mi wrócić za rok.

– Czym się pan zajmował, czekając na kolejną szansę?

– Po powrocie próbowałem znaleźć pracę. Bezskutecznie. Kiedy po raz kolejny, zrezygnowany, jechałem

do Katowic szukać jakiegoś zajęcia, w pociągu przysiadł się do mnie pewien mężczyzna. Widząc moją strapioną minę, zapytał, co się dzieje. Opowiedziałem mu o swoich problemach. Nieoczekiwanie, wychodząc na jednej ze stacji, zdążył krzyknąć do mnie, bym stawił się nazajutrz o piątej rano w kopalni Katowice. Tak też zrobiłem. W ten sposób, przez przypadek znalazłem pracę. Wszakże jedynie „chłopca na posyłki”, ale i tak byłem zadowolony. Po kilku tygodniach ten sam mężczyzna powiedział mi, że zwolniło się stanowisko w dekoratorni kopalni. Zgłosiłem się, choć nie wiedziałem, na czym ta praca miałaby polegać. Szybko jednak przekonałem się i... pożałowałem swojej decyzji. Okazało się bowiem, że znów przyjdzie mi malować hasła na partyjne wiece (*śmiech*). Nienawidziłem tej pracy. Męczyłem się tak kilka miesięcy, aż z zakładowego radiowęzła dowiedziałem się, że szuka-

ją kogoś do pobliskiego domu kultury, trzeba było jednak umieć tańczyć, śpiewać i malować. W pośpiechu uczyłem się ludowych piosenek i podstawowych kroków tradycyjnych tańców ludowych. Przyjęto mnie. Tam miałem już okazję zetknąć się z prawdziwą sztuką – realizowałem między innymi scenografie do programów artystycznych, a po godzinach intensywnie – wręcz obsesyjnie – malowałem. Razem z moim przyjacielem Bolesławem Kalke wymienialiśmy się poglądami, dyskutowaliśmy o swoich pracach. Co jakiś czas przygotowywaliśmy sobie retrospektywne wystawy. Nie prezentowaliśmy jednak swoich prac w galeriach, ale na okolicznych łąkach. Rozkładaliśmy obrazy na trawie i napawali się nimi. Łąka zakryta setkami prac robiła niesamowite wrażenie. Materiał do teczeki był więc gotowy i tym razem ze znacznie większymi szansami, mogłem starać się o przyjęcie na Akademię Sztuk Pięknych. Pomyślnie zdane egzaminy sprawiły, że spełniło się moje marzenie.

– **W tajniki sztuki wprowadzał pana profesor Waclaw Taranczewski – wybitny artysta reprezentujący nurt dwudziestowiecznego koloryzmu.**

– Profesor Taranczewski był dla nas, jak ojciec. Surowy, wymagający, ale potrafiący też docenić. W tym czasie byłem dość niesfornym studentem. Oprócz tego, że uczęszczałem na zajęcia z malarstwa, udzielałem się także w kabarecie Hefajstos, gdzie dawałem popis swoich wokalnych możliwości. Na moje nieszczęście podczas jednego z wieczorów, nasz profesor zobaczył mój występ i następnego dnia, wzburzony, kazał mi wybierać – albo on, albo kabaret. Nie chciałem jednak rezygnować ani z jednego, ani z drugiego. Uczestnictwo w kabarecie wynikało bowiem z potrzeby obecności w moim życiu pewnej poetyckiej struktury, tak wszechobecnej w Krakowie, a malarstwo było przecież moją największą pasją. Stojąc przed tak trudnym wyborem, przypomniałem sobie, jak jego asystentka – Janina Kraupe – wspominała kiedyś, że profesor ma tak piękne dłonie, ponieważ w młodości grywał na skrzypcach. Zresztą jego muzyczna pasja przejawiała się też w jego obrazach. Zapytałem więc profesora, jak umiał pogodzić te dwie pasje. Nic nie odpowiedział, spojrział na mnie karcąco i kazał namalować mi kilka obrazów martwej natury o zróżnicowanej kolorystyce. Wypełniłem to zadanie z należytą starannością. Kiedy przyniosłem mu je do oceny, nic nie powiedział. Był to dla mnie znak cichej akceptacji. Doszedł widocznie do przekonania, że sobie poradzę. Po studiach jeszcze przez długie lata spotykałem się z profesorem Taranczewskim. Prowadziliśmy wie-

logodzinne dysputy o sztuce, wymienialiśmy się poglądami i spostrzeżeniami na temat twórczości. Zresztą do dziś prowadzę z nim tego typu dyskusje w trakcie snu. Są to niezwykle inspirowane spotkania.

– **Kiedy zaczął kształtować się pana charakterystyczny styl malarski?**

– Myślałem o nim już na studiach. Od samego początku mojej przygody z malarstwem interesowała mnie kwestia odsłonięcia – ukrytego gdzieś, ale podświadomie wyczuwalnego – autentycznego gestu. Kolor, będący nośnikiem idei od samego początku był dla mnie ważny. Kolor, a nie farba! To istotna różnica, ponieważ każdy potrafi nałożyć na płaszczyznę pewien układ farb, a nie każdy potrafi zrobić z nich kolor. W przypadku koloru liczą się subtelności, zestawienie koloru, kreowanie współbrzmiającego kontekstu układu barw. Czym tak naprawdę jest kolor i jak ważną rolę może odegrać w budowaniu malarskiej narracji, uświadomiłem sobie, kiedy w 1979 roku na zaproszenie Pita Ludwiga – prezydenta Darmstadter Sezession wybrałem się do francuskiej miejscowości Mirabel w Prowansji. Tamtejsze kolory i światło olśniły mnie do tego stopnia, że przez kilka pierwszych dni pobytu, nie byłem w stanie niczego namalować! Zrozumiałem, że obraz namalowany kolorem zawiera sacrum.

– **Na czym polega specyfika tamtejszego światła?**

– W Mirabel dogłębnie doświadczyłem zmienności światła i wielorakości jego inspiracji. Tam po raz pierwszy zobaczyłem, jak kolor staje się światłem. To doświadczenie próbuję od lat powtórzyć w swoich obrazach. Chcę uzyskać efekt wewnętrznego promieniowania malarskiej materii i pewnej transcendencji. Jest to bardzo trudny proces. Nie wiem czy namalowałem już obraz, bliski ideału, który sobie wymarzyłem i nie wiem czy kiedykolwiek uda mi się to osiągnąć. Jednak poszukiwanie czegoś „ponad miarę”, nawet jeśli nie można dotrzeć do sedna, jest bardzo interesujące. W Prowansji powstało wiele moich prac – chociażby cykl „Mirabel” czy „Światło na skale”. Doświadczenie tamtejszego światła pozwoliło mi też namalować – osobiście dla mnie ważne – obrazy poświęcone świętej Edycie Stein.

– **W pana twórczości silnie obecny jest pierwiastek sacrum, odwołanie do transcendencji...**

– Zgadza się. Malarstwo, które uprawiam ma pobudzić odbiorcę do pewnej kontemplacji, ma odwołać jego emocje do najwyższej siły – do Boga. Niezwykle ważny dla mnie jest cykl „Płonący”, prezentujący wizerunek głowy Chrystusa, ciągle uzupełniany o nowe obrazy. Pierwszą pracą z tego cyklu stworzyłem jeszcze na studiach – była to litografia. Co jakiś czas, tknięty doświadczeniami

przeżyciami, powracam do motywu Chrystusa, za każdym razem jednak poszukując pogłębionej materii malarskiej, w której mógłbym oddać odczuwany pierwiastek duchowy. Od dziecka interesowało mnie, dlaczego na wielu płótnach Chrystus był przedstawiany w ułdżony sposób. Przecież Jego drogą było cierpienie. Pragnąłem przedstawić jego wizerunek w sposób ukazujący dramatyzm Jego wyboru, czyli ofiarowania.

– **W poszukiwaniach „światła transcendentnego” nie tylko odwołuje się pan do doświadczeń z Mirabel, ale czerpie też inspiracje ze światła, jakie miał pan okazję odkrywać w podziemiach chodników tarnogórskiej Kopalni Srebra.**

– Zetknięcie się ze światłem podziemia jest całkowicie odmiennym przeżyciem od tego, którego doświadczyłem w Prowansji. Tutaj z mroku wylaniają się jedynie „dotknięcia” światła. Światło ma całkowicie inną strukturę. To balansowanie światła „pod i nad” jest dla mnie czymś niezwykłym, trudnym do wyrażenia słowami. Aby to zrozumieć, trzeba tego doświadczyć, przeżyć.

– **Symbolika światła objawia się też, a może przede wszystkim w pana cyklach witrażowych...**

– O tym, na czym polega sztuka witrażu przekonałem się również w Mirabel. Tamtejsze światło dialogujące z kolorem wydało mi się idealną transpozycją dla sztuki witrażowej. Moja fascynacja witrażem zaczęła się jednak znacznie wcześniej, bo już w szkole podstawowej. Podczas jednej z wycieczek do Krakowa nasz nauczyciel rysunku zabrał nas do kościoła Ojców Franciszkanów, gdzie mieliśmy okazję podziwiać witraż Boga Ojca Stanisława Wyspiańskiego. Kiedy stanąłem przed tym największym – moim zdaniem – dziełem europejskiej sztuki witrażowej, doświadczyłem czystej materii malarskiej, która powstawała poprzez przejście światła przez bramę witrażową. Dziś mogę to nazwać, wtedy tylko to czułem. Światło było nośnikiem znaczenia. Gdy byłem starszy to w wielu kościołach obserwowałem, nie tylko to, co się dzieje w bramie witrażowej, ale także jak reagują ludzie oraz jaki związek się zarysowuje pomiędzy poszczególnymi witrażami. Później na studiach pogłębiałem swoją wiedzę. Swoją pierwszą cykl witraży, w którym pokazałem cały spektakl światła („Św. O.M. Kolbe”, przyp. red.) zrealizowałem na zlecenie katowickiej kurii w kościele w Mysłowicach-Janowie.

– **Mówiąc o tworzeniu witrażach, często podkreśla pan, że tworzą one swoiste „misterium światła”. Co kryje się pod tym pojęciem?**

– Tworząc całościowe cykle witrażowe, chcę doprowadzić do tego, by



Witraż światło Narodzenia – Między gwiazdą a krzyżem w kościele Katarzyny Aleksandryjskiej w Lasowicach, 2009, 5,5x6,5, wyk. Zakład Witraży A.I. Zarzycki.

odbiorcy poczuli obecność światła, które poprowadzi ich do Boga. W rozumieniu: światło jako implikacja światłości. Chcę, by to był rodzaj modlitwy, by poprzez padające i przechodzące przez wiernych wiązki światła, osoby przebywające w świątyni stały się częścią transmisji światła. Jest to trudne i czasochłonne zadanie. Wymaga dokładnej analizy struktury światła, umiejscowienia kościoła, otaczającego krajobrazu. Dopiero mając zebrane wszystkie dane, mogę przystąpić do pracy. Ważne, aby poszczególne witraże, umieszczone naprzeciwko dialogowały ze sobą. Przykładowo w kościele Najświętszego Serca Pana Jezusa w Bielsku-Białej usytuowanie witraży pozwoliło mi zrealizować spektakl świetlny z możliwością wywołania asocjacji kolorystycznych. Tamtejsze witraże z cyklu „Genesis” odnoszą się do aktu kreacji zapisanego w Księdze Rodzaju. Są symbolicznym przedstawieniem procesu „stawania się”. Szu-

kając odpowiedniego gestu, który byłby w stanie wyrazić akt kreacji światła, zastanawiałem się, kiedy pierwszy raz poczułem istotę światła. Przypomniałem sobie wówczas, że będąc dzieckiem, na jednym z obozów kolonijnych, odłączyłem się od grupy, by dotrzeć do celu inną drogą. Biegając przez las wpadłem w sidła dla zwierząt. Oswobodziwszy się z nich, przerażony tym co się stało, dotarłem do źródelka i spragniony zaczerpnąłem wody. Ten gest zaczerpnięcia, kiedy krople wody zaczęły opadać, a w nich odbijało się światło, skojarzył mi się z gestem stworzenia. Obecnie jestem w fazie realizacji cyklu witraży w kościele w Lasowicach. Tematem jest „światło” Całunu Turyńskiego, tablic mojżeszowych, zwiastowania, narodzenia, słowa, góry Tabor, Golgoty i Zmartwychwstania. Nad tym cyklem pracuję już dziesięć lat. Nie przyjmuję innych zleceń, by nie zaburzyć sobie drogi poszukiwania światła,

ponieważ każdy kościół wymaga innego podejścia. Muszę znaleźć odpowiedni klucz, tak by każde światło witrażu się różniło, ale jednocześnie miało związek z poprzednim, tworząc jednorodną całość.

– Prowadząc tak bogate życie artystyczne, znajduje pan jeszcze czas, by wykładać i dzielić się swoją wiedzą z przyszłymi adeptami sztuki. Co chce im pan przekazać?

– Obok warsztatu malarskiego, chcę moich studentów nauczyć sztuki kontemplacji, tak by w ciszy potrafili wyrazić na płótnie swoje emocje. Chcę ich też skłonić do malowania kolorem, a nie farbą. Chcę by dostrzegli barwne asocjacje, przestrzeń i bogactwo zestawień. Zachęcam ich do eksperymentowania i szukania własnej materii malarskiej, w której będą mogli się w pełni wyrazić. Jest to trudne, ale wiem z doświadczenia, że jak najbardziej możliwe.

W PRACOWNI

WERNERA LUBOSA



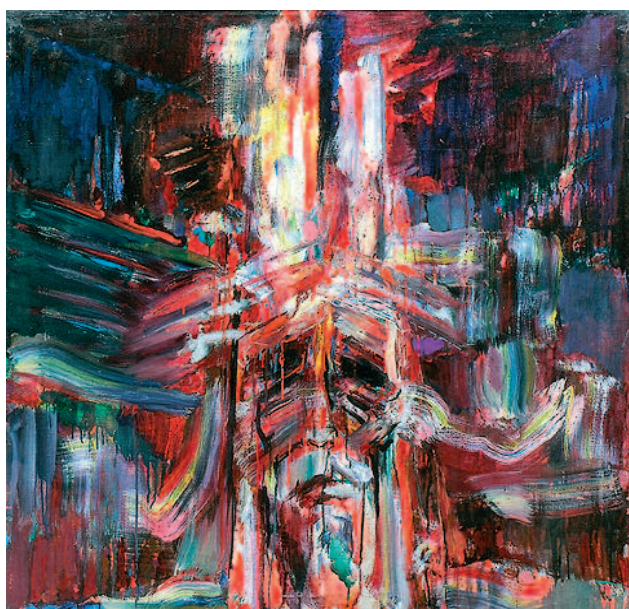
Śmierć Maksymiliana Kolbe – witraż w kościele św. Maksymiliana Kolbe w Mysłowicach-Janowie, 1978, 7,5 x 2,0 m; wyk. Zakład Witraży Renowacja Kraków



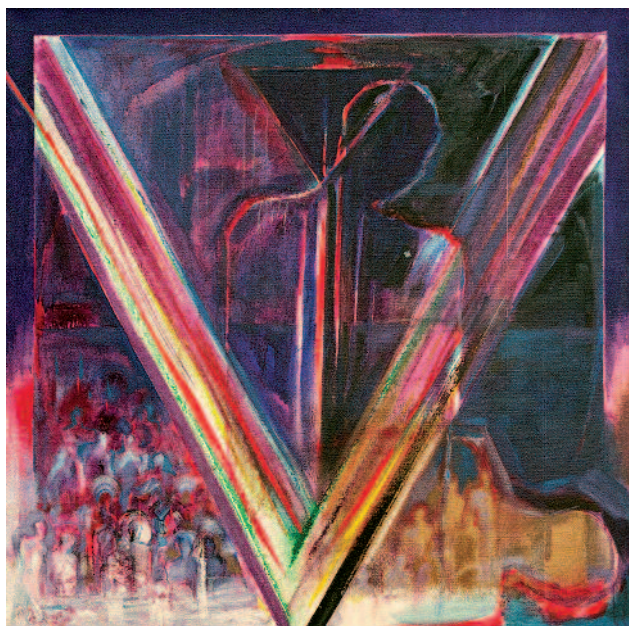
Sztolnia III, 2005 akryl-płótno, 155 x 125 cm



Niebieski portret, 1987 olej, tempera-płótno, 100 x 100 cm



Płonący, 1969 olej, tempera-płótno, 100 x 100 cm



Znaki czasu, 1991 olej, tempera-płótno, 100 x 100 cm



JACEK RYBCZYŃSKI



– Choć slyszalem, czytałem o tym miejscu, to dopiero przyjazd do was pozwolił mi obejrzeć je z całym jego artystycznym bogactwem, stworzonym przez was, w uratowanym przed ruiną, historycznym obiekcie wapiennika.

– Założenia programowe dla hasła: „WAPIENNIK” zrodziły się właściwie równocześnie ze znalezieniem tego zrujnowanego wówczas miejsca, w 1978 roku. Zakładałem, że będzie to miejsce dla propagowania kultury, sztuki i edukacji. W wyniku trzyletnich zabiegów, które pozwoliły na wykup obiektu od Skarbu Państwa (w PRL istniał paragraf, na podstawie którego artyści mogli nabywać obiekty zabytkowe za „symboliczną złotówkę”), z żoną Barbarą Erną należeliśmy do pierwszej setki „prywatnych właścicieli obiektów zabytkowych”.

W grupie tej byli m.in. Krzysztof Penderecki, Wojciech Siemion i wielu innych, pasjonatów, chcących ratować ciekawe budowle. Później, formalnie, jako pracownik artystyczno-dydaktyczny i aktywny twórca wystąpiłem do Ministerstwa Kultury i Sztuki o przyznanie dla Wapiennika statusu – „Galerii Autorskiej”.

Już w 1979 roku odbyło się pierwsze „spotkanie autorskie” z grafikami krakowskimi, Włodzimierzem Kotkowskim...

W trakcie remontowania obiektu, przygotowywałem oficjalną wystawę z uroczystym wernisażem; prezentacji szkła artystycznego cenionego kłódzkiego twórcy – Zygmunta Janoty, oraz „Portrety symetryczne” przebywającego w Paryżu Romana Cieślewicza. To był początek, prekursorski, bo gdzie wtedy były „Galerie wiejskie”? Miejsce to było jednocześnie synonimem rodzącej się wtedy w Polsce niezależności politycznej; właśnie wtedy powstała Rzeczpospolita Wapiennicza.

Aura „tworzenia” tej placówki była jednocześnie miejscem rodzącej się wtedy w Polsce niezależności politycznej...

– ... Szczęściem w Akademii mieliśmy całkiem inne priorytety, z polityką zderzaliśmy się niewiele poza nakłanianiem nas do uczestnictwa w pochodzie pierwszomajowym...

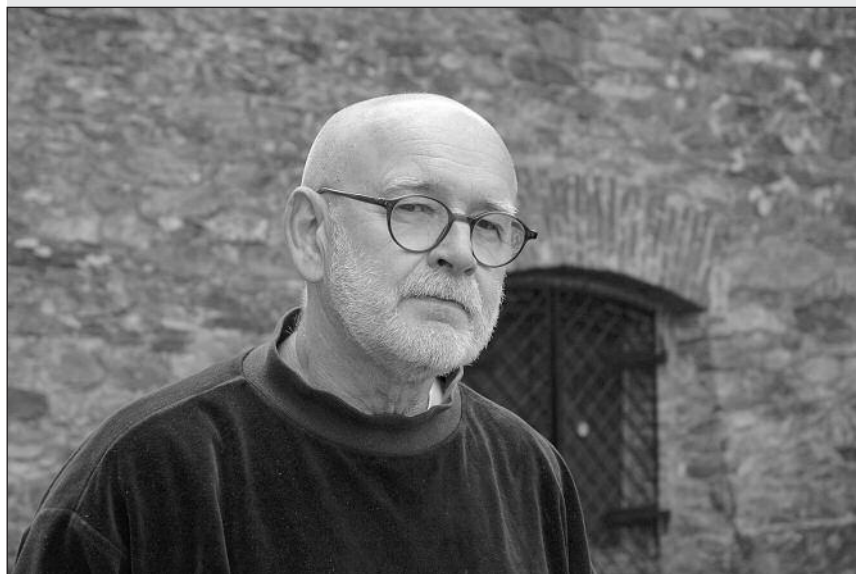
– Kiedy przyjechałem z poznańskiej PWSSP, na drugi rok do Katowic, było nas niewielu: Benedykt Kubista, Jurek Handerman, któremu zadałem na początku pytanie czy imię jego, to Hander czy Mander... Krystyna Miśkiewicz, Franiu Kłak, Andrzej Kuczok, Antoni Harlor i Gienek Rzeżucha.

Wspominam niezwykłość naszego roku, bo nie spotkałem sytuacji, aby do uczelni docierać wcześniej po to, by zająć „kolejkę” dla druku swojej litografii, czy akwaforty, trzeba było być grubo przed godziną 9, by zająć „stanowisko” i drukować „swoją nakład”, bez kłótni, wypychania się, (nie mówiąc o pomocy dziewczynom) było co „kręcić korbą” i dźwigać kamienie litograficzne.

Pamiętasz na koniec roku „przeglądy” prof. Raka, z przyznawanymi wyróżnieniami,



Rozmowa z JACKIEM RYBCZYŃSKIM



Zdjęcia: Henryk Bzdok

...wtedy powstała Rzeczpospolita Wapiennicza

niami, nagrodami, później dyskusje, oceny, ważenie słuszności, albo wątpliwości w ich przyznaniu... od dyplomu w 1965 roku minęło 50 lat!!!

W tej chwili chyba wszystko uległo „spłaszczeniu”, a może nadal ten „duch Rakowy” egzystuje.

– Chyba nie, bo uczelnia, która ma dziś prawie 600 studentów, tak kameralnej atmosfery naszych lat, kiedy było nas sześćdziesięciu, nie jest w stanie utrzymać.

– Często powracam do ulicy Raciborskiej, którą czasami długo się docierało do uczelni, bo po drodze był Ośrodek Immunopatologii Ciąży i Noworodka, gdzie było można w ciepłe wypić herbatkę, albo nawet doświadczyć możliwości laboratoryjnego przedłużania przeliku probówką, wypełnioną zaoszczędzonym płynem „pomiarowym” w laboratorium... nawet zapraszano mnie co jakiś czas do bycia „anestezjologiem”, dbającym o odpowiednie dawkowanie eteru

króliczkowi, któremu wstrzyknięto preparat do jajnika, a następnego dnia było już wiadomo, czy jest pani Z. w stanie błogosławionym, czy nie („próba Friedmana”)... a królik zaszyty wybudzał się... i żył dłuugo i szczęśliwie.

– **Pamiętam, twego brata, który nie raz medycznie nas ratował... Uplęły lata nim ponownie spotkaliśmy się w Poznaniu...**

– Kończyłem „katowickie” studia, emocjonalnie bardzo „wciągnięty” w atmosferę Śląska i zakładałem, że po studiach zostanę tam na „resztę” życia.

Byłem najmłodszym z rodzeństwa, siostra i brat nie chcieli przejmować rodzinnej schedy... wymuszono na mnie przeniecie naszego domu w Puszczykowie, miejscowości w obrębie Wielkopolskiego Parku Narodowego, stąd moja wrażliwość na otoczenie, na przyrodę.

Powrót do „ojcowizny”, zbiegł się z zasadniczą reformą ówczesnej Państwowej Szkoły Sztuk Plastycznych; zmiany wymusiły ambitne, dążące do przeobrażenia profilu kształcenia – grupy studenckie, które, w latach 60. doprowadziły do rezygnacji wieloletniego rektora Hipolita Polańskiego. Zdecydowano, że do Poznania „wróci” z Gdańska znakomity organizator, pedagog i artysta Stanisław Teisseyre... Kiedy byłem na roku dyplomowym, przyjechałem do Poznania, poszedłem na rozmowę z Hipolitem Polańskim z misją ewentualnego zatrudnienia się jako asystent na planowanym nowym Wydziale Grafiki; rozmowa była krótka: „ja odchodzę, musisz rozmawiać z Teisseyrem, który od czerwca zaczyna urzędowanie”. Po rozmowie z nim; złożyłem wniosek, zalecił mi dołączenie opinii prof. Aleksandra Raka.

– **Co nie stanowiło problemu, byleś bowiem „utalentowanym ulubieńcem profesora...**

–... po kolejnym spotkaniu przyjęto mnie na tworzony Dział Grafiki z dwoma specjalnościami: *grafika użytkowa* i *grafika artystyczna*. Teisseyre powierzył mi misję wyjazdu na rozmowy z Waldemarem Świerzym, aby zachęcić go do prowadzenia zajęć w Pracowni Plakatu. Pojechałem do Warszawy na Piwną, gdzie miał pracownię, potwierdził, że przyjedzie na pierwsze zajęcia. Moją rolą było prowadzenie zajęć przez trzy tygodnie w miesiącu, było to dla mnie doświadczenie pedagogiczne i artystyczne, oficjalnie pełniłem funkcję asystenta. Po roku, po rozmowach z Andrzejem Pietschem z Krakowa, uzgodniliśmy rotację; przejąłem całe techniczne i organizacyjne prowadzenie pracowni druku artystycznego: Drzeworyt – Zbigniew Lutomski, Litografie – Lucjan Mianowski.

Motorem działań w tworzeniu wyposażenia i aranżacji pomieszczeń dla tych pracowni był Andrzej Pietsch i ja. Udało się zgromadzić prasy litograficzne, specjalnie zlecono w Zakładach Doświadczalnych Politechniki Poznańskiej budowę prototypu prasy do druku wkł-



Jacek Rybczyński z żoną Erną.

słego. W późniejszym czasie przygotowano zaprojektowane przez nas pomieszczenia do trawień druku wkłęsłego...

– **Z wyciągami oparów i innymi dostosowaniami nie znanymi wcześniej w Katowicach, gdzie dla poprawy powietrza w czasie trawienia płyt można było jedynie okno otworzyć.**

– Od 1966 roku systematycznie brałem udział w wystawach grafiki i malarstwa, jednocześnie uzyskiwałem kolejne funkcje i tytuły: starszego asystenta, adiunkta (z przewodem na ASP w Warszawie, promotorem byli Halina Chrostowska i Tadeusz Brzozowski). Dwie kadencje byłem Kierownikiem Katedry Grafiki. Z chwilą przejścia Andrzeja Pitscha z Poznania do Katowic, miałem przejąć prowadzenie pracowni druku wkłęsłego... jednak na wniosek rektora Stanisława Teisseyra, który zaproponował, aby na okres przeprowadzenia habilitacji (ok. 2,3 lat) pracownię prowadził Tadeusz Jackowski z Krakowa, a ja miałem w tym czasie założyć i prowadzić Pracownię Sitodruku. Tę „niechcianą” przeze mnie pracownię prowadziłem do 1986 roku.

Z perspektywy czasu oceniam znacząco mój wkład w reanimację wszystkich pracowni druku artystycznego w Poznaniu, gdzie głównie według moich założeń stwarzano dogodne warunki pracy studentom, co było możliwe dzięki doskonałej „bazie”, którą uzyskałem w Katowicach, w pracowniach: graficznych – Aleksandra Raka, kompozycji – Adama Hofmana, plakatu – Bogusława Góreckiego i Tadeusza Grabowskiego, rysunku – Andrzeja Kowalskiego, malarstwa – Jana Dudkiewicza i historią sztuki z Janiną Lazar, jak i całej artystycznej atmosferze, która sprzyjała podbudowie intelektualnej i świadomości bycia „artystą”.

– **Zdarzyło się, że za ciasno się zrobiło w łódce i wyskoczyłeś za burzę. Jak ci się udało dopłynąć na drugi brzeg i zacząć wiele od nowa? Co na tym zyskał lub stracił twój osobisty rozwój i twórczość?**

... taaak, tą „łódkę” można interpretować jako Polskę, w skromniejszym znaczeniu środowisko, uczelnie, w latach budowania nadziei na „wolną Polskę”, na budowę Europy angażowałem się ciągle, łącznie z różnymi próbami utożsamiania się z politycznymi ugrupowaniami...

Wyrosłem w domu, gdzie były nieustannie debaty polityczne, liberalne, centrowe (ojciec do momentu „zjednoczenia” był w PPS), później krytyce, tego co działo się w PRL.

Na przełomie lat 70. i 80., kiedy zrobiono kampanię: aby zmienić „ów” ustrój w bardziej „ludzki” i związany ze „społeczeństwem” wstąpiłem do PZPR, za „brak właściwej orientacji politycznej” wywalono mnie... po wypadkach gdańskich.

Od pierwszego dnia „stanu wojennego” włączyłem się do działań „podziemia” i współpracowałem z grupą wydającą pismo polityczno – kulturalne „WETO”, byłem współzałożycielem sieci drukującej i kolportażowej w Poznaniu.

Jeden z pierwszych numerów był drukowany w mojej pracowni w Puszczykowie, brałem udział w niezależnych wystawach artystycznych w kościołach.

Coraz częściej przyglądałem się i byłem świadkiem tendencji działań nieuczciwych w kręgach „podziemia” (malwersacje, przepychanki), które zapowiadały rozczłonkowanie się ruchu „Solidarność”.

– **W wyniku czego, jest jak jest...**

Wracając do twórczości po dyplomie; kontynuowałem pracę nad swoimi grafikami, zająłem się też malarstwem, równoległe budując zaplecze techniczne, graficzne pracowni w Puszczykowie (łącznie z przygotowywaniem tam „Galerii autorskiej”).

Temat zrealizował syn Mikołaj jako wystawy moje i żony Erny Barbary.

– **W twoich wspaniałych trójwymiarowych grafikach, znajduję kontynuację dawnych tematów ale i fascynację podróżą...**

... pierwszą „podróż artystyczną”, odbyłem do Włoch w 1970 roku; zostałem zaproszony do udziału w „plenerze gra-

ficznym” z dwoma kolegami Janem Berdyszakiem i Józkiem Drażkiewiczem na plener w Riccione, nad samym Adriatykiem koło Rawenny. Ten wyjazd był moim pierwszym wyjazdem na „zachód”. Pobyt był przede wszystkim przeżyty zetknięciem się z architekturą, wspaniałymi prezentacjami sztuki starej i nowej w galeriach, muzeach, do tego krajobraz.. podróże do Rzymu, Asyżu, Fawenty, Florencji i Wenecji.. Był to dla mnie szok, który długo odchorowywałem... przez dłuższy czas pozbywałem się przeświadczenia o swojej artystycznej niedośkonaleści w świadectwie dokonań, które spotkałem w Italii...

Dochodziły do tego ciągle porównanie „dwóch systemów”, wszak był to głęboki czas PRL-u, po trzech tygodniach powrót z „pachnącej kąpieli” do zupełnie innego „szarego świata” ...

Zachowało się trochę moich prac graficznych, rysunków inspirowanych tą podróżą... później wyjazdy „krótkie” do Danii, Szwecji, NRD, Związku Radzieckiego... każda podróż, zawsze z programem artystycznym, mogła być być opisem odrębnym i innymi refleksjami.. były to zaczyny, które przyczyniały się do budowania mojej niezależności artystycznej i krytycznego oceniania ówczesnych sytuacji, potrafiły prowokować do ciągłej konfrontacji „artystycznego, własnego świata”. Później lata 80., włączenie się czynne w opozycyjne działania i zdecydowanie o opuszczeniu Polski w roku 1986... byłem tak sfrustrowany beznadziejnością i przekonany, że system zawali się, ale chyba za 10, 20 lat.

– Żyłem tą samą nadzieją, ale nie sądziłem, że stanie się to za naszego życia.

– Wraz z częścią rodziny znaleźliśmy się Niemczech Federalnych. Jak opisywać „przygodę” bycia w „innej rzeczywistości”, w Mainz (Moguncja), mieście Gutenberg a byłego Cesarstwa Rzymskiego, z widocznymi śladami swojej przeszłości, z architekturą i zbiorami wspaniałości, archeologicznych, Wydziałem Sztuk Pięknych na Uniwersytecie, wieloma muzeami, teatrami, galeriami... które

po wielu latach tam przebywania, moge nazwać „Drugą Ojczyzną”.

Od pierwszych dni, aby nie popaść w pełną depresję zająłem się skromnymi, małoformatowymi szkicami, rysunkami, próby znalezienia kontaktów ze środowiskiem plastycznym.. wszystko nowe i inne.. do tego bariera językowa.. ale dotarłem do „niszy” artystycznej, która działała w XIX-wiecznej byłej cegielni (Alte Ziegelei)...

– Czy to nie wtedy rodziła się idea urzeczywistniona dzisiaj Wapiennikiem...

– ... Spotykali się tam literaci, graficy, rzeźbiarze, muzycy, krąg literacki, który zapraszał mnie na spotkania autorskie, na prezentację mojej twórczości, uczestniczyłem też w Międzynarodowych Targach Książki we Frankfurcie w dziale druku unikatowego... i znów nowe kontakty, otwierały się nowe szanse... po roku, dzięki wspaniałej politycznej działaczce SPD Luizie Bonn zaproponowano mi adaptację jednego z wnętrza w Alte Ziegelei. W stosunkowo krótkim czasie zorganizowałem tak warsztat graficzny, że mogłem swoje atelier włączyć w program organizowania warsztatów artystycznych. Prasę do druku wkleśłego przewieźli mi z Polski moi niemieccy przyjaciele (przez kilka lat miałem zakaz przyjazdu do Polski). Warsztaty te prowadziłem przez okres prawie 20 lat, oprócz okresu pracy artystyczno-pedagogicznej na wspomnianym Wydziale Sztuk Pięknych Uniwersytetu Jana Gutenberga, gdzie miałem zajęcia w pracowni druku wkleśłego i wypukłego.

Z początkiem pobytu, po pierwszych wystawach indywidualnych w Instytucie Francuskim i Alte Ziegelei, zaproponowano mi wstąpienie do tamtejszego Związku Artystów Niemieckich (BBK), byłem także członkiem ZPAP w Poznaniu. Nawiązałem też kontakt i współpracę z APA w Monachium (Academia Polona Artium), gdzie byłem przez jakiś czas dziekanem i zostałem tam mianowany profesorem grafiki.

Pozyskiwałem kręgi przyjaciół, z którymi do dzisiaj utrzymują stałe kontakty.

Ten, ponad dwudziestoletni pobyt, zaowocował w wiele inicjatyw niemiecko – polskich, jak plenery rzeźbiarskie, graficzne, literackie dla młodych autorów z Niemiec i Polski, organizowanie m.in. dużej wystawy w Bonn „Zwischen den Welten” dla artystów z b. Europy Wschodniej.

Powracam tam często fizycznie i także „duchem”.. a jednocześnie zdaję sobie sprawę, że tam byłem mimo życzliwości „obcym”, a tu w kraju, gdzie się urodziłem stałem się „nieobecnym”, też chyba.. „obcym”.

– ... ale

– ... ale ratuje wszystko i scala Rzeczpospolita Wapiennicza, zagubiona wśród łąk i gór pogranicza Polsko-Czeskiego... prawie 25 lat, które minęły w zastraszającym tempie, wydaje się, że było to wczoraj, może parę dni temu, a w rzeczywistości dzielą lata...

Podjęmuję próby wydawnicze w Wapienniku: kwartalnik artystyczno-literacki „Stronica Śnieżnicka” i „Forum Calcium – gazeta niefarmaceutyczna”... teraz przygotowania do „Riksza literacka Karola Maliszewskiego” w Wapienniku... ciągle jakieś cele i niepokój, czy zdążę pokazać swoją twórczość i w jakiej formie to zrobić..

– Już ją pokazujesz, wszystkimi dokonaniem wokół Wapiennika, ogrodem japońskim z rzeźbami, poziomymi mozaikami wśród krzewów, witrażami w plenerze, dźwiękami dzwonów, dostępną zwiedzającym pracownią wraz z twoimi grafikami, galerią odcisków znanych gości i autonomiczną atmosferą tego miejsca.

– Jest i ciekawostka genealogiczna, o historii, zataczającej koło; przed kilkoma laty w internecie znalazłem pytanie dotyczące związków z nazwiskiem panińskim mojej żony... odpowiedziałem... po przeszło dwóch latach, odezwał się p. Henryk, „niewątpliwie jestem kuzynem pańskiej żony” i czy jesteśmy zainteresowani dokumentami.. Okazało się, że wiele opowieści mojego teścia, które traktowaliśmy jako rodzinne legendy, nagle znalazły udokumentowanie, że żona pochodzi historycznie aż... z Państwa Staromorawskiego, konkretnie z Ołomuńca, przez stulecia zawędrowali na Górny Śląsk... i że część obecnych Gliwic m.in. była ich własnością... Żona urodziła się w Psarach Śląskich... najzabawniejsze, że wspomniany kuzyn zajął się też moją „przeszłością. Henryk, moi przodkowie pochodzą z Ciasnej, koło Lublińca... przed około 200 laty wywędrowali na ówczesne pogranicze zaboru pruskiego i rosyjskiego... a teraz?

– A teraz... Jacku mamy puentę. Moi dziadkowie (ze strony ojca) pochodzą z Sądów koło Lublińca, parę kilometrów od Ciasnej, skąd potem przed stu laty, przenieśli się na Opolszczyznę... Jacku jesteśmy byliymi bliskimi sąsiadami.





Draby miejskie*

KRZYSZTOF KOSIŃSKI

Owieczny problem każdej władzy pochodzącej z wyboru... Po wygranej trzeba przejść na swoje barki także tzw. aparat ucisku czyli swoich wyborców (a przynajmniej jakąś ich część) trzeba zmuszać do odpowiednich zachowań i... karać za zachowania nieodpowiednie. A za kilka lat znowu przydałoby się wygrać wybory...

Niewykonalne? Wykonalne... Na szczęście zawsze jest tak, że tych „zmuszanych” i „karanych” jest o wiele mniej niż tych pozostałych.

Miesiąc temu pisałem o tzw. budżetach obywatelskich, które są – co prawda – polatkiem doświadczalnym populistów, ale przynajmniej jest to w jakimś sensie działanie pozytywne, twórcze, wnoszące nową jakość. Dzisiaj będzie o działaniu stricte „na nie”, dotyczącym czegoś, co żadną nowością nie jest. Straże miejskie (gminne) od lat są częścią samorządowej rzeczywistości. I co jakiś czas stają się obiektem ataków i kampanii zmierzających do ich likwidacji.

To, że ta „zmuszana” i „karana” mniejszość potrafi być mocno hałaśliwa i widoczna, to zresztą pół biedy. O wiele bardziej hałaśliwi potrafią (i umieją) być ci, którzy próbują na tym coś ugrać lub po prostu zaistnieć w tzw. świadomości społecznej.

O kim mowa?

Kto taki: strażnik miejski? Gdy zapytać przypadkowych ludzi, odpowiedzi będą najczęściej podobne. To ten, który zawsze zjawia się natychmiast, gdy zaparkujemy samochód pod zakazem zatrzymywania i założy nam blokadę na koło. Czasami usłyszymy o funkcjonariuszu bez serca, który „ściga babcię handlującą pietruszką na ulicy”. Tak na marginesie, w moim mieście już od lat jakoś nie widziałem żadnej babci dorabiającej pietruszką do głodowej renty. Za to na centralnym deptaku widuję codziennie niezbyt trzeźwych obywateli o powierzchowności meneli, oferujących jakieś dziwne, podrabiane kosmetyki...

Do czego powołana została straż gminna? Ustawa mówi o „ochronie porządku publicznego”. Konia z rządem temu, kto poda definicję tego pojęcia. Oszczędzę Czytelnikom przytaczania rozważań prawników, żeby już do końca nie zaciemnić sprawy. Spróbujmy przytoczyć bardziej szczegółowe, ustawowe zadania

straży miejskich. W pierwszej kolejności wymieniono:

– ochronę spokoju i porządku w miejscach publicznych;

– czuwanie nad porządkiem i kontrolę ruchu drogowego – w zakresie określonym w przepisach o ruchu drogowym;

I tu jest pies pogrzebany. Pozostałe zadania strażników właściwie nie budzą prawie większych kontrowersji:

– kontrola publicznego transportu zbiorowego – uprawnienie do wylegitymowania pasażera na gapę, który odmawia tego kontrolerowi;

– ratowanie życia i zdrowia obywateli, pomoc w usuwaniu skutków klęsk żywiołowych – jeśli strażnicy np. niosą pomoc powodzianom, to na pewno spotykają się z samymi dowodami sympatii i uznania;

– zabezpieczenie miejsca przestępstwa czy katastrofy do momentu przybycia właściwych służb – też dosyć oczywiste;

– współdziałanie w ochronie porządku podczas zgromadzeń i imprez publicznych – oczywiście, jak punkt powyżej;

– doprowadzanie osób nietrzeźwych do izby wytrzeźwień lub miejsca ich zamieszkania, jeżeli osoby te powodują zgorzenie w miejscu publicznym, znajdują się w okolicznościach zagrażających ich życiu lub zdrowiu albo zagrażają życiu i zdrowiu innych osób – zadanie może nie najsympatyczniejsze, ale też chyba spotykające się raczej ze zrozumieniem.

Pozostałe zadania to już czysta przewencja (np. pogadanki w szkołach) lub działania „wewnętrzne”, których wręcz nie zauważamy (konwojowanie dokumentów, pieniędzy dla potrzeb gminy – to oni przewożą np. protokoły komisji wyborczych).

Dlaczego zatem nie lubimy strażników?

Pierwsza, oczywista odpowiedź jest taka, że nikt nie lubi tych, którzy nas pilnują i karzą. Niektórzy mówią, że to dokładnie tak, jak nie lubimy kontrolerów skarbowych. Ale sprawa nie jest aż tak oczywista. Podobnie powinno być przecież z policją (szczególnie drogówką), a jednak choć mało kto z nas ich „lubi”, to we wszystkich sondażach policja cieszy się bardzo wysokim stopniem tzw. zaufania społecznego (czyli szacunku, po prostu).

Nie da się ukryć, że w wielu miejscach straż sama usilnie pracuje na złą opinię o sobie. Postulaty dotyczące likwidacji straży miejskich są w całej Polsce podobne i sprowadzają się do twierdzenia, że funkcjonariusz

szcze zamiast pomagać ludziom, zajmują się głównie gnębieniem kierowców fotoradarami i wypisywaniem mandatów za złe parkowanie. Podaniem na tacy argumentów przeciwnikom straży miejskich były doniesienia, że w niektórych strażach 99 procent interwencji wynika z fotoradarów. Do legendy przeszedł Biały Bór (w zachodniopomorskiem) gdzie w 2010 roku pieniądze z fotoradarów stanowiły aż jedną czwartą dochodów gminy. W Nowym Korczynie (woj. świętokrzyskie) tylko jeden z 869 mandatów został wypisany z innego paragrafu niż przekroczenie prędkości! Te przykłady nagłaśniają współczesne, goniące za sensacją media. A dla uogólnienia wystarczy już tylko odpowiednia żonglerka statystyką.

Suche liczby

Wg raportu MSW z 2011 r. straż miejskie w całej Polsce przeprowadziły 2,9 mln interwencji. Zwolennicy likwidacji straży miejskich krzyczą: z tego 1,8 mln to interwencje drogowe! Aż 61 procent! A ja tak sobie wtedy myślę, że przecież w takim razie 1,1 miliona interwencji dotyczyło tego, czym właśnie – zdaniem wielu – powinna się straż zajmować...

Rok 2013: te zniechędzone mandaty. 1,6 mln mandatów, z czego „aż” 940 tys. to te drogowe. Czyli znowu AŻ (tym razem już bez cudzysłowu) 660 tys. mandatów za inne wykroczenia. I znowu pojawia się problem. Dlaczego straż miejska nie jest z tym kojarzona?

• **I tu stawiam samorządom zarzut braku odpowiedzialnej polityki informacyjnej. Idziemy zimą przez śliskie, nieodsnieżone chodniki? Dlaczego nie jesteśmy informowani o masowej akcji straży miejskiej, która „przypomni” właścicielom posesji, że to na nich spoczywa obowiązek odsnieżenia chodnika? Niedawno w mediach pojawiły się zapowiedzi, że straż będzie zwalczała palenie odpadami w piecach. Wobec alarmujących danych o zanieczyszczeniu powietrza w śląskich miastach – informacja bezcenna. Usiłowałem dowiedzieć się, jakie są efekty tych działań. Wszędzie słyszałem, że „są trudności”, nie ma podstaw prawnych do wkraczania ludziom do domów i mieszkań. Konieczne byłyby specjalistyczne badania składu popiołu w laboratorium itd. To po co było rzucać groźby na wiatr?**

• **W jednym ze śląskich miast pokazano mi nieduży lokalny potok. Wzdłuż niego stały domy jednorodzinne wyposażone w szamba. Tajemnicą poliszynela było, że w większości zostały one zbudowane tak, żeby umożliwiały wypuszczenie nieczystości do owego potoku. Podobnie jak z tą niską emisją, pojawiły się zapowiedzi, że straż miejska wyposażona w odpowiednie urządzenia skontroluje szczelność szamb. Tyle że znowu nie mogłem „dobić się” do żadnych konkretnych informacji, jakie były efekty tych kontroli? Za to bardzo „konkretnie” zauważyłem, że w każdą sobotę po południu potok zamieniał się w rynsztok pełen śmierdzącej piany. Mieszkańcy doskonale wiedzieli, kiedy i w jakich godzinach straż miejska już nie pracuje...**

• **Nie powinno nikogo dziwić, że wtedy wkraczają do akcji populiści. Przejrzałem doniesienia medialne o akcjach zbierania**

podpisów pod wnioskami o referenda ws. likwidacji straży miejskich. Na pierwszym miejscu królują Kongres Nowej Prawicy (dla tych, którzy już zapomnieli – to obecna partia nieśmiertelnego Janusza Korwin Mikke). Chyba na drugim miejscu – partia Janusza Palikota (szczególnie od chwili, gdy jej notowania i znaczenie zaczęły spadać na lew, na szyję). Ale punkt widzenia – jak wiadomo – zależy często od punktu siedzenia. Np. w Szczecinku rządząca Platforma Obywatelska broni straży miejskiej z całym zaangażowaniem, a już w Katowicach opozycyjna PO domagała się likwidacji straży...

Podobnie od „punktu widzenia” zależą przytaczane argumenty. W jednych gminach czytamy, że zbyt wysokie są koszty utrzymania straży. W innych – że straż to „maszynka do zarabiania pieniędzy”. Czyli i tak źle, i tak niedobrze...

Internet zalewa fala manipulacji i wręcz chamskich komentarzy. Oto kilka próbek...

Strażnicy w Zabrzu zanotowali (zresztą niedopuszczalną i skandaliczną) wpadkę z odwiezieniem do izby wytrzeźwień człowieka absolutnie trzeźwego, za to chorego na cukrzycę. Pierwsze zdanie z informacji na jednym z profili internetowych: *W Zabrzu, żeby podreperować budżet strażnicy miejscy zaczęli wylapywać osoby chore na cukrzycę i siłą wywożą je do Izby Wytrzeźwień. Koszt takiej „przyjemności” to 300 zł.* Cóż, taka specyfika internetu, ale nigdzie nie doszukałem się oficjalnych wyjaśnień, choćby informacji o dodatkowym przeszkoleniu strażników, o przesposinach czy – oczywiście wręcz dla mnie – natychmiastowym anulowaniu owego rachunku za pobyt w izbie. I kto tu jest górą w doniesieniach medialnych?

Zbawieniem dla strażników jest ustawowy próg ważności referendum lokalnych. W znakomitej większości wypadków kończą się one niczym. Ale to i tak nie przeszkadza autorom informacji w internecie, którzy mienią się dziennikarzami:

„Mieszkańcy Pszczyny opowiedzieli się w referendum za likwidacją straży, ale zawiódła frekwencja”. Zawiódła frekwencja... abstrakcyjne zjawisko, mniej więcej jak pogoda, na którą nie mamy żadnego wpływu.

Dla mnie rekordem był tytuł, który zobaczyłem na portalu esanok.pl:

„Ponad 92% mieszkańców Jasła opowiedziało się w referendum za likwidacją straży miejskiej!”. Zapewne uważniejsi Czytelnicy już się domyślają, że „drobna różnica” polega na tym, że to było 92% tych, którzy poszli do referendum? A frekwencja znowu była grubo poniżej wymaganego minimum...

• Z takimi „perelkami” trudno polemizować. Ale dlaczego nikt (w każdym razie ja nie natrafiłem) nie próbował wyjaśnić, na czym polega inny fakt rozzmuchany przez media – to, że w uchwałach budżetowych są zapisy przewidujące wpływy z mandatów nakładanych przez strażników. Opisano to jako np. narzucanie „ile strażnicy miejscy mają wpłacić do kasy gminnej” albo, że oto „w ten sposób mamy nałożony plan sprzedaży”. Dlaczego nikt nie pokusił się o wyjaśnienie, że taka to uroda przepisów, które nakładają obowiązek wpisania do budżetu przewidywanych wpływów z każdego źródła? Że nie można takiej pozycji nie umieszczać w budżecie?

• I tylko od rozsądku władz i roztropności przełożonych zależy, czy będzie to traktowane jako forma nacisku na strażników albo oceny ich skuteczności...

• Czapki z głów przed komendantem straży we wspomnianym już Jasle. Przebił się do lokalnych mediów ze swoim wystąpieniem na sesji Rady Miejskiej, gdzie przedstawił „skutki funkcjonowania fotoradaru”:

2007 rok. W momencie zakupu fotoradaru, przy ograniczeniu prędkości w mieście 40-50 km/h, średnia prędkość pomiaru z fotoradaru była 80 km/h. W 2008 było już 72,5 km/h, w 2011 – 62,5 km/h, a w 2013 – 59,3 km. Spadła poniżej 60 km. Chciałem przypomnieć, że fotoradar robi zdjęcia od 61 km/h. W 2012 roku wypisaliśmy 8.178 mandatów, udzieliliśmy 1.433 pouczenia; 2013 rok: 2.959 mandatów, 1.202 pouczenia; 2014 rok: 1.815 mandatów, 620 pouczeń. W ciągu 7 lat znacząco spadła średnia prędkość, co roku spada liczba wykroczeń, a co najważniejsze – nie odnotowano przez te 7 lat wypadku ze skutkiem śmiertelnym w miejscach, w których dokonujemy pomiaru. Nie jesteśmy restrykcyjni. Jesteśmy jedyną strażą w Polsce, która daje tak wielką liczbę pouczeń.

Myślę, że Czytelnicy już zauważyli, że nie wchodzę w rozważania, czy straże miejskie są potrzebne, konieczne itd. Te samorzady, które straże powołały i je mają, zapewne są przekonane do ich istnienia. Inne uznały, że to zbędny wydatek. Na tym właśnie polega decentralizacja władzy. Ale do swoich racji i ocen trzeba umieć przekonać... Niektórzy twierdzą, że w małych miastach, które nie cierpią na zalew poważnej przestępczości, w zupełności wystarczy miejscowa policja. Inni podkreślają, że policja, jako bardzo scentralizowana instytucja państwowa, zawsze będzie wykonywała najpierw zadania ważne z punktu widzenia stolicy, a wpływ władz miejscowych na tzw. priorytety jest praktycznie zerowy. Każdy ma tu swoje racje...

Tymczasem liczby dają jasny obraz. Likwidacja już istniejących straży jest zjawiskiem marginalnym. W latach 1994 – 2013 zlikwidowano 23 straże (sporo z nich już wiele lat temu). Nie ma jeszcze szczegółowych danych za rok 2014, ale moje poszukiwania wskazują na jeden lub dwa takie przypadki. Wynika z tego, że w ciągu 20 lat utworzono mniej więcej pięć razy więcej straży niż zlikwidowano. Na dodatek w 14 miastach straże nigdyś zlikwidowano, a potem reaktywowano (np. w Zielonej Górze, Wołominie, Świnoujściu, Jaworznie).

Fachowcy z branży podkreślają, że tylko w dwóch przypadkach – Stalowej Woli i Żor z naszego regionu – można mówić o średniej wielkości miastach. Reszta to miasteczka małe i maleńkie, gdzie strażników było dwóch lub trzech.

Nasze poletko

jak to wygląda w samorządach naszego województwa? W Żorach straż miejską zlikwidowano już w 1999 roku. Pół żartem, pół serio można by zauważyć, że Żory lubią eksperymenty. To także jedno z niewielu miast, które wprowadziło bezpłatną komunikację miejską, finansowaną z podatków. Roczny koszt utrzymania straży miejskiej wynosił około 1 mln zł. Część tych pieniędzy miasto przeznaczyło na sfinansowanie dodatkowych patroli policyjnych. Straż miejską

zlikwidowano wiele lat temu również w Szczyrku.

Ostatnie lata (czy wręcz miesiące) to kilka nieudanych prób przeprowadzenia referendum ws. likwidacji straży:

Rybnik: do referendum nie doszło, bo inicjatorzy (znów Kongres Nowej Prawicy) nie zebrali wystarczającej liczby podpisów. Znaczną ich liczbę zakwestionowano (nieprawidłowe numery PESEL i błędy w adresach. 112 mieszkańców wielokrotnie udzieliło poparcia, nawet trzykrotnie).

Pszczyna: referendum (również z inicjatywy KNP) nie osiągnęło wymaganej frekwencji (14 procent).

Bielsko-Biała: tutaj doszło do zaskakującej sytuacji, bo organizatorzy akcji zbierania podpisów... nie złożyli ich, choć – jak twierdzili – zebrali ich wystarczająco dużo. Oświadczyli, że urzędnicy na pewno wykażą złą wolę i wiele z nich uznają za nieważne. Kongres Nowej Prawicy ogłosił, że będzie zbierać je... od nowa.

Niestety, nie mogę pominąć Szczekocin, które stały się kilkudniowym bohaterem ogólnopolskich mediów, gdy powołały... jednoosobową straż gminną wyłącznie do obsługi fotoradaru. Na oficjalnej stronie gminy nie znalazłem najmniejszej wzmianki o owej „straży”, ani o fotoradarze. Może ktoś doszedł do wniosku, że nie ma się czym chwalić...

A propos tego, czym może zajmować się straż miejska, a czego raczej nie tknie policja – w Lublinie np. straż sprawdzi, czy wszystkie budynki mają tabliczki z nazwą ulicy i numerem. Taki obowiązek wynika z przepisów, ale przede wszystkim skarżyły się służby ratownicze i mieszkańcy błądzący po mieście.

Ciekawostka socjologiczna. Każda informacja w internecie dotycząca straży wywołuje lawinę komentarzy. Tymczasem niedawno natrafiłem na starą już dosyć informację, że Sąd Najwyższy orzekł, iż straż miejska może używać fotoradarów. Pod tą informacją pierwszy raz chyba stwierdziłem... zero komentarzy.

I jeszcze jeden komentarz z internetowego forum, który mnie zachwyił, chyba wbrew intencjom jego autora: „*Jestem z Rudy Śląskiej. Straż miejska to wlepia mandaty za parkowanie, śmiecenie słonecznikiem, plucie, przekleństwa itd. Itp. Tam, gdzie pobicia, napady, to strażników nie ma*”. Rozmarzyłem się... Ech, żeby to tak właśnie wyglądało...

* Wyjaśniam znaczenie tytułu niniejszego artykułu: w średniowieczu straż miejską nazywano „drabami miejskimi”...

Opinie wyrażone w niniejszym artykule są wyrazem poglądów autora i nie zawsze są tożsame ze stanowiskiem samorządów lokalnych i organizacji samorządowych w województwie śląskim.

Krzysztof Kosiński – dziennikarz radiowy, publicysta, komentator i felietonista. Od lat specjalizuje się w tematyce samorządowej. Autor książki „Dwa światy – samorządowy thriller z elementami horroru” wydanej nakładem ŚZGiP w 2011 roku.



Andrzej Krupa, Krzysztof Jurecki, Adam Sobota (kurator wystawy)

ŁUKASZ
KARKOSZKA

Beksińskiego eksperymenty z fotografią



Zdzisław Beksiński to jeden z najpopularniejszych polskich artystów XX wieku. Wystawy jego prac cieszą się niesłabnącym zainteresowaniem widzów. Choć znany jest przede wszystkim z fantastycznych, pełnych grozy oraz tajemniczych odniesień obrazów i grafik komputerowych, to na początku kariery artystycznej odnosił również sukcesy jako fotograf. Jedną z bardziej znaczących indywidualnych wystaw fotograficznych artysta zrealizował w 1958 roku na Śląsku – w Gliwicach. Po 57 latach jego zdjęcia znów powróciły do miasta, przy okazji promocji książki „Zdzisław Beksiński. Listy do Jerzego Lewczyńskiego” w opracowaniu Olgi Ptak. Książka właśnie ukazała się na rynku nakładem gliwickiej Czytelnicy Sztuki. W trakcie wernisażu „Fotografie Zdzisława Beksińskiego”, który odbył się w Willi Caro w Gliwicach, o twórczości fotograficznej Beksińskiego rozmawiali uznani fotograficy: Krzysztof Jurecki, Adam Sobota (kurator wystawy) oraz Andrzej Krupa.

W awangardzie

Zdzisław Beksiński fotografią zaczął zajmować się, będąc jeszcze studentem architektury. Miał to być tylko epizod w drodze do kariery filmowca, okazał się jednak znaczącym w drodze do kariery malarzkiej. Swoją fotograficzną pasję Beksiński dzielił z Jerzym Lewczyńskim i Bronisławem Schlabssem – dwójką fotografików, z którymi wystawiał i prowadził bogatą korespondencję. Artyści poznali się w 1957 roku w Krakowie. Pierwszą grupową wystawę zorganizowali w 1958 roku w Warszawie w Galerii Sztuki Nowoczesnej. Wspólnie zrealizowali jeszcze cztery ekspozycje, z czego najważniejszy był zamknięty pokaz „Antyfotografii”, który odbył się w Gliwickim Towarzystwie Fotograficznym. Beksiński na potrzeby ekspozycji przygotował specjalne plansze, na których umieścił zaskakujące i niepokojące w wymowie fotomontaże. Na jednej z planszy, zatytułowanej „Dno” znalazły się dziewiętnastowieczne zdjęcia małych dziewczynnek i fotografia nagrobka z sanockiego cmentarza. Między zdjęciami artysta włożył hasła na literę „S”: ślub, ślusarz, śmiać się, śmiały, śmiech, śmiecie, śmierć. W innej realizacji pt. „Nóż” pomiędzy zdjęciem nagiej kobiety i młodego mężczyzny wsunął fotografię noża. Fotomontaże były realizacją założeń zawartych w słynnej rozprawie Beksińskiego „Kryzys w fotografice i perspektywy jego przezwyciężenia”. Pisał w niej, że rozwój fotografii jest możliwy głównie poprzez tworzenie zbiorów rozmaitych fotografii, które nawiązywałyby w ten sposób do sekwencji filmowych i byłyby źródłem nowych, głębszych znaczeń. Gliwicka wystawa, choć obejrzało ją zaledwie czterdziestu widzów, odbiła się szerokim echem i wzbudziła

wiele kontrowersji. Choć Beksiński zaczynał odnosić coraz większe sukcesy w fotografii, w kolejnych latach powoli odchodził od niej na rzecz malarstwa.

Eksperyment z formą

Na gliwickiej wystawie oglądać można sześćdziesiąt fotografii, które powstawały w latach 1953–1958, a więc okresie największej aktywności Beksińskiego w dziedzinie fotografii. Zmysłowe studia postaci (najważniejszą modelką Beksińskiego była jego żona Zofia), przedmiotów i pejzaży, wśród nich słynne fotografie: „Gorset sadysty”, „Portret matki”, „Odchodząca”. Na ekspozycji nie mogło zabraknąć też wspomnianych fotomontaży.

– W drugiej połowie lat 50. XX wieku polska sztuka nowoczesna przechodziła niezwykle ożywienie. Dotyczyło to w szczególności nowych mediów: filmu i fotografii. O tym, jak bardzo prekursorskie były to działania, możemy z pełną świadomością powiedzieć dopiero z dzisiejszej perspektywy. W ten nurt rozwojowy bez wątpienia wpisuje się również – już wtedy wyróżniająca się – fotografia Zdzisława Beksińskiego. W jego zdjęciach odzwierciedlają się późniejsze motywy malarskie: struktura materii, efekt czystego światła, zatarcia przedmiotu na rzecz efektu czysto plastycznego. Beksiński wychodził z założenia, że oddziaływanie fotografii jest najpełniejsze, gdy zdjęcia są połączeniem cech abstrakcyjnych i dokumentalnych – mówił w trakcie spotkania Adam Sobota, kurator wystawy. – Prace Beksińskiego stale pobudzają zainteresowanie różnych środowisk twórczych. Jest to najlepszy dowód na to, że był on artystą wszechstronnym, wręcz twórcą multimedialnym, mającym własny pogląd na sztukę. Uważał, że każde z mediów na swoją siłę oddziaływania na widza i nie może być ono zastąpione przez inny środek wyrazu: pewne rzeczy można oddać lepiej na płótnie, inne w fotografii – dodaje.

Krzysztof Jurecki podkreślał z kolei, że na twórczość Beksińskiego warto spojrzeć, jak na przejście od awangardy do postmodernizmu.

– W latach 50. XX wieku jego twórczość fotograficzna i malarska była mocno awangardowa. W późniejszych dekadach Beksiński często mówił o kryzysie w sztuce, który należy przewyciężyć, tworząc jej syntezę; w malarstwie postulował, by sięgać do tradycji minionych epok. Te hasła to jawne nawiązanie do postmodernistycznej koncepcji sztuki Jean-François Lyotarda. Jego trafne spostrzeżenia na temat sztuki, każdą spojrzeć na niego, również jak na wybitnego intelektualistę. Beksiński przejawiał też ogromny potencjał literacki, zafascynowany był twórczością literacką Rilkego, Kafki i Gombrowicza.

Pasjonował się także sztuką filmową. Jego szerokie zainteresowania znajdują odbicie w jego pracach – przekonywał Krzysztof Jurecki. – Największą wartość ze wszystkich zrealizowanych fotografii, według mnie, mają fotomontaże, będące oryginalną interpretacją montażu konstruktywistycznego Wsiewołodi Pudowkina. W Europie, jeśli nie liczyć pojedynczych prac Salvadora Dali w latach dwudziestych, nie było tego typu realizacji fotograficznych. Dzięki nim Beksiński ma szansę zaistnieć w światowej historii fotografii – podkreślał.

Autoportret w liście

Wiele o podejściu Beksińskiego do fotografii i sztuki dowiedzieć się można z listów, które namiennie pisywał. Jednym z jego stałych adresatów był Jerzy Lewczyński (1924–2014) – polski artysta fotografik, członek Gliwickiego Towarzystwa Fotograficznego. Przez ponad rok na zlecenie Muzeum w Gliwicach, Olga Ptak pracowała w archiwum domowym gliwickiego fotografa, porządkując jego prywatne zbiory. Efektem żmudnej pracy jest książka zawierająca kompletny zbiór listów z lat 1958–1995.

– Korespondencja jest błyskotliwym, dowcipnym i celnym zapisem ponad trzydziestu lat zmagania Beksińskiego z rzeczywistością PRL, swoistą kroniką absurdu owych czasów rozpisaną na kilkaset listów do przyjaciela z Gliwic. Jednym z podstawowych problemów podczas opracowywania tak potężnego zbioru listów były dysgrafia i dysortografia Beksińskiego. Autor był świadomy owych przypadłości, lecz nie potrafił ich przewyciężyć. Staraliśmy się zachować styl Beksińskiego pełen germanizmów, regionalizmów, neologizmów, wyrazów obcego pochodzenia zapisywanych w formie fonetycznej lub innego rodzaju zwrotów charakterystycznych wyłącznie dla autora korespondencji, choć językowo niepoprawnych. Beksiński miał mało czytelny charakter pisma, dlatego zwykle używał maszyny do pisania, a później – komputera. Jednak kilka z zachowanych listów napisał odręcznie, niejako w akcie „zemsty” za równie nieczytelne listy, które otrzymał od Lewczyńskiego. Wyzwaniem była też wielość dziedzin, którymi interesował się Beksiński i do których się w listach odnosił: medycyna, parapsychologia, socjologia, sztuka, szeroko pojęta technika (fotograficzna, radiotechnika, elektronika itp.), psychologia, farbowznawstwo, komputeryzacja – to tylko niektóre z nich – mówi Olga Ptak, autorka opracowania „Zdzisław Beksiński. Listy do Jerzego Lewczyńskiego”. Mnóstwo czasu pochłaniały rozmowy z osobami, których opisywane w listach sprawy dotyczyły bezpośrednio lub, które mogły udzielić niezbęd-

nych informacji na dany temat. Ustalanie faktów przypominało czasem pracę detektywa – dotarcie do nich było niezwykle żmudne. Na podstawie listów odtwarzałam rzeczywistość sprzed kilkadziesiątu lat, poznawałam przyjaciół, znajomych, członków rodziny Beksińskiego, jego zwyczaje, problemy, poglądy, reakcje na kolejne wydarzenia. Był to jeden z najbardziej pracowitych, ale i najciekawszych etapów pracy, któremu niejednokrotnie towarzyszyły zabawne incydenty. Za przykład może posłużyć historia z kabrioletem, którym Beksiński w 1973 roku pojechał na wycieczkę w Bieszczady w towarzystwie właściciela owego ekstrawaganckiego wehikułu. Do jego posiadania przyznały się równocześnie aż trzy osoby – każda przedstawiła własną wersję opowieści dotyczącej niecodziennego jak na owe czasy samochodu – dodaje.

Książka to nie tylko skarbnica wiedzy o podejściu artysty do sztuki, ale też niezwyklej autoportret artysty.

– Trzeba pamiętać, że nie były to listy pisane z myślą o udostępnieniu szerokiej publiczności, a więc wszystkie przedstawione tam poglądy, opinie i stwierdzenia są spontaniczne i szczere. Nie ma lepszych dokumentów ilustrujących tamtą rzeczywistość oraz charakteryzujących relację Beksiński – Lewczyński. Korespondencja charakteryzuje Beksińskiego w sposób bezpośredni, nie jest to opis osób trzecich, portret, który ktoś zbudował na podstawie własnych obserwacji, ale relacja „z pierwszej ręki”. Momentami pełna emocji, fantazyjnych wykrzyknień („*Imbecile! Hydrocefalicomostro! Idioto superioro grandissimo! Kretinosimplicissimo!*”), napomnień i pretensji. Zawsze jednak czynionych z przekonaniem, że adresuje się je do osoby, która się nie obrazi, ale przyjmie je z uśmiechem i z otwartym umysłem – wyjaśnia Olga Ptak. – Tym, co mnie jednak najbardziej zaskoczyło w pracy nad listami, nie były wcale dziwactwa, przypadłości, czy poglądy Beksińskiego, ale to, jak wiele mitów narosłych wokół jego osoby obalają te listy, pokazując, jak naprawdę wyglądała codzienność znanego artysty. Opublikowany materiał epistolograficzny stanowi dowód, że Zdzisław Beksiński nie był wyłącznie malarzem, rysownikiem, rzeźbiarzem, grafikim i fotografem, ale również znakomitym pisarzem, jednym z wybitnych polskich epistolografów. Pozostawił po sobie olbrzymią korespondencję, wciąż czekającą na odkrycie, uznanie i upowszechnienie – dodaje.

Wystawę „Fotografie Zdzisława Beksińskiego” przygotowano w oparciu o kolekcję Muzeum Narodowego we Wrocławiu. Ekspozycję można było oglądać w Willi Caro w Gliwicach.

Olivier Messiaen na Śląsku

JERZY
STANKIEWICZ



Fot. z archiwum Yvonne Lortod, Paryż

Olivier Messiaen z kolegami w wojsku podczas kampanii wschodniej w Lotaryngii. Metz 1940 r.

Claude Samuel, wybitny francuski znawca muzyki i myśli Oliviera Messiaena, w przedmowie do mojej nowo wydanej książki *Olivier Messiaen. Człowiek i artysta w Stalagu VIII A w Görlitz*, wyraził zaskakujący pogląd. „Światowe rozprzestrzenianie się twórczości Messiaena – od śmierci kompozytora w 1992 roku nie przestaje narastać”! Sąd ten, na zbliżającą się 27 kwietnia br. 23. rocznicę śmierci twórcy opery *Święty Franciszek z Asyżu*, wypowiedział Claude Samuel, wysoki autorytet francuskiego świata muzycznego, zaangażowany w prace Fundacji im. Messiaena w Paryżu, gdzie może obserwować obecność muzyki Messiaena na całym świecie. Niemniej fakt ten wydaje się nieprawdopodobny, bowiem z zasady po śmierci nawet największych kompozytorów XX wieku, obserwujemy spadek zainteresowania i pomniejszenie liczby wykonań ich dzieł.

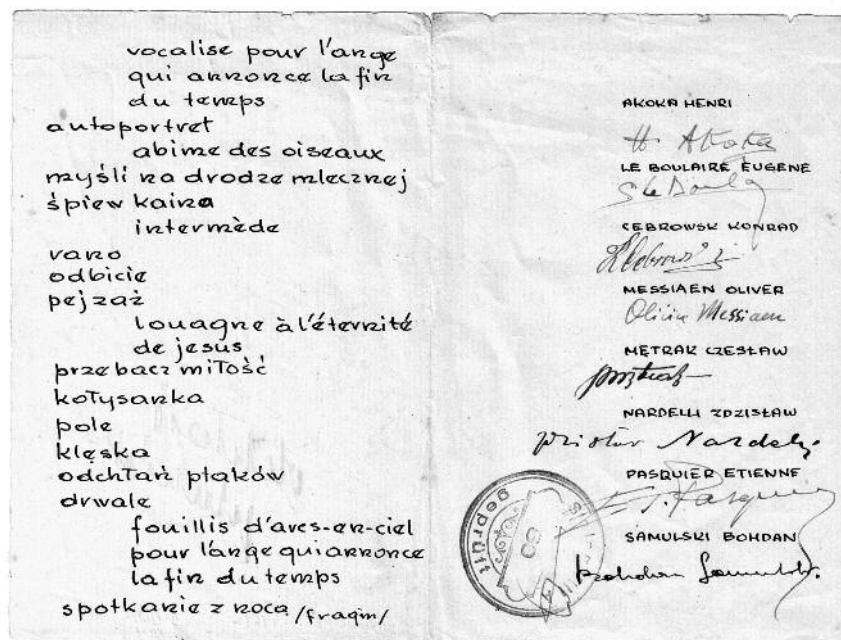
W wypadku Messiaena stwierdzona sytuacja akurat jest odwrotna. Tylko co może na nią wpływać? Myślę, że składa się na to parę istotnych czynników. Najwyższej próby język muzyczny, *métier* kompozytorskie, które Messiaen analizował już w swoim młodzieńczym traktacie *Technika mojego języka muzycznego* (polski przekład niezapomnianego prof. Józefa Świdra, 1973). Technika kompozytorska – zgoda, to podstawa, ale jak trafnie pisze Samuel „wsparta wiarą, tworzącą niezniszczalną więź pomiędzy aktem twórczym, a zaangażowaniem [kompozytora] w prawdy wiary Kościoła katolickiego”. Bo nie ma w XX wieku kompozytora tak wierzącego i tak czerpiącego z wiary siłę do tworzenia. Do tego świadomie wykorzystane natchnienie, szczerstwo wyrazu i autentyczność narracji, wzmoczone użyciem prawdziwych śpiewów ptaków, jako najwyższej kategorii wy-

powiedzi muzycznej. Wszystko to tworzy jedyną w sobie atrakcyjną postać estetyczną muzyki Messiaena. Jeżeli odbiorca potrafi się na nią otworzyć, czekają go przeżycia dotąd niespotykane. Tak czystej muzyki jak muzyka Anioła Podróżnika, czy muzyka w scenie śmierci Świętego Franciszka w operze Messiaena, nie poznał przedtem wiek XX. Dodam – tym bardziej wiek XXI.

Pierwszym Aniołem, który objął we władanie kompozytora był Anioł Apokalipsy od św. Jana – i to w czasach apokalipsy. Wszyscy autorzy francuscy, angielscy, amerykańscy relacjonujący biografię kompozytora, zaznaczają, że Messiaen był jeńcem w 1940/1941 roku „na Śląsku”. Sam Messiaen też o tym pisał w listach do ojca. W pamiętnikach Pierre Messiaena można znaleźć zapiski o ziemi, gdzie jego syn był jeńcem wojennym: „Śląsk to kraina złowroga. Zima długa, minus trzydzieści bez wytchnienia. Bez przerwy wiatry wschodnie i północne. Szare niebo o wysublimowanym kolorycie o brzasku i zmierzchaniu. Ziemia bogata w minerały wszelkiego typu. Jest tam dużo ludności i wiele dzieci. W obozie najstraszniejsze były poranne apele na placu. Pewnego razu Olivier zemzlał... Pożywienie było wystarczające do utrzymania się przy życiu, ale obrzydliwe... Jak on mógł tam komponować swój „Kwartet o Apokalipsie?”.

Śląsk nie był zaznaczony w niemieckim adresie obozu jenieckiego, ale docierało to do wiadomości uwięzionych i było wiadomością wręcz egzotyczną: jeńcy francuscy czy belgijscy wywiezieni byli tak bardzo daleko, aż „na Śląsk”. Co istotne, nie było też podkreślone, że to Reich, III Rzesza, do której przecież Śląsk należał. Nikomu nie zależało też na tym, żeby jasno sytuować miasto Görlitz, figurujące

Fot. ze zbiorów Jerzego Stankiewicza, Kraków.



Program „Wieczoru polskiego” w Stalagu VIII A w Görlitz (faksymile), połowa grudnia 1940 r.

w nazwie stalagu, jako historyczne miasto Elektoratu Saksońskiego, leżące w Saksonii przy granicy ze Śląskiem, którą zawsze tworzyła Nysa Łużycka. Ekspansja rozwojowa tego bogatego i wypełnionego przepiękną architekturą barokową lewobrzeżnego miasta spowodowała jego przejście na prawy brzeg Nysy, gdzie powstało jak gdyby przedmieście wschodnie Görlitz-Moys, później nazwane Görlitz Ost. To tam właśnie, poza właściwym miastem, przy drodze wylotowej do Bogatyni, hitlerowcy, władze Wehrmachtu, zaprojektowały, jeszcze przed wybuchem wojny, założenie obozu jenieckiego przede wszystkim dla polskich jeńców, którzy z rozkazu Niemców sami musieli ten obóz budować.

Meandry historii spowodowały, że na konferencji w Poczdamie w 1945 roku wyznaczona została dla Polski Ludowej nowa granica na Nysie Łużyckiej. W ten sposób przedwojenne przedmieście Görlitz stało się autonomicznym polskim miastem „na Ziemiach Odzyskanych”, z nazwą sięgającą spuścizny łużyckiej – początkowo Zgorzelice, a później – Zgorzelec. Stalag VIII A Görlitz, niechlubne miejsce niewoli hitlerowskiej dziesiątków tysięcy jeńców wojennych z krajów europejskich znalazł się po stronie polskiej w Zgorzelcu! Spuścizna nazistów stała się polskim ciężarem PRL-owskiego Zgorzelca, połączonego Mostem Przyjaźni z NRD-owskim Görlitz, spuścizna ta przez długi czas objęta była pełnym milczeniem, a na jej terenie wypasano bydło.

Ten czas historii na przełomie grudnia i stycznia 2014/2015 roku nabrał całkiem innego wymiaru odkąd środowisko zgorzeleckie wraz z polskimi władzami powiatu i przy wsparciu władz niemieckich miasta Görlitz, czyli połączonego Europa-Miasto Zgorzelec-Görlitz, podjęło projekt i doprowadziło do budowy na terenie stalagu Europejskiego Centrum Edukacyjno-Kulturalnego w Zgorzelcu przy wsparciu niemieckiej organizacji Meetingpoint Music Messiaen z Görlitz. Dla upamiętnienia niewoli wielkiego artysty powstał, jak mówią, „Dom Messiaena”, który swoją działalnością będzie promieniował daleko.

A wszystko, także budowa Centrum im. Messiaena w Zgorzelcu, która zdawałoby się należała do marzeń, dokonała się dzięki sławie, która wniosła wysoko skomponowany w stalagu *Kwartet na koniec Czasu*, grane na całym świecie kameralne arcydzieło Messiaena, którego wykonania stały się cenione, poszukiwane i z uwagą słuchane. To właśnie *Kwartet* tak znacząco podwyższa



Olivier Messiaen i dyrektor Antoni Wit podczas próby WOSPRI T wybranych scen z opery *Święty Franciszek z Asyżu* w Centrum Kulturalnym w Katowicach, 18 września 1989 r.

liczbę wykonań partytur Messiaena wspomnianą przez Samuela. W komentarzu do utworu zawarte były zawsze mniej lub bardziej trafne informacje o jego genezie w jenieckim obozie w Görlitz. Niektórzy, co bardziej śmiało i wprowadzeni w tematy Europy wschodniej autorzy zachodni już piszą, że *Kwartet na koniec Czasu* Messiaena powstał „w stalagu w Zgorzelcu”. Narodziło się tym razem w muzykologii nowe, niebezpieczne sformułowanie, które podąża śladem „oboju koncentracyjnego w Oświęcimiu”, a nie – w hitlerowskim Auschwitz położonym w Deutschland.

O niewoli Oliviera Messiaena w stalagu w Görlitz wiemy dzisiaj dużo więcej niż zachodni autorzy, wśród których prym wiodą Nigel Simeone i Rebecca Rischin, autorka dotychczasowej, wydanej przed dziesięcioma laty w Stanach sumy wiedzy o genezie *Kwartetu*. Dzisiaj znamy już dzień i numer transportu w lipcu 1940 roku, którym Messiaen (i wiemy nawet z kim) został z Lotaryngii przetransportowany do Görlitz. Wiemy także w jakim dniu i jakim transportem kompozytor odjechał do kraju w miesiąc po oficjalnej premierze *Kwartetu* w stalagu. Coraz jaśniejsze stają się dla nas długie tygodnie niewoli w obozie dla Messiaena szczęśliwie wypełnione komponowaniem.

Pierwszy, wczesny etap to była praca bez instrumentu, którego słynnym rezultatem jest *Intermedium* z przyszłego *Kwartetu*. Skrzypek, klarnecista i wiolonczelista grali je w umywalni w baraku mieszkalnym. Po przywiezieniu w listopadzie 1940 roku pianina do obozu i zainstalowaniu na estradzie baraku teatralnego nr 27 rozpoczął się etap drugi. Messiaen mógł od czasu do czasu pracować przy instrumencie. Konkurencja była duża, o ciszę i skupienie też by-

ło trudno, bowiem wielu wykonawców estradowych także starało się o próby z akompaniamentem. Rozpoczęły się również koncerty dla jeńców, np. pamiętne wykonanie dozwolonego przez niemiecką cenzurę *Tria klarnetowego B-dur* Beethovena przez Messiaena przy pianinie, klarnecisty Henri Akoka i wiolonczelisty Etienne'a Pasquier, po którym oficerowie niemieccy złożyli muzykom-jeńcom gratulacje. Były także sekretne wykonania zakazanych utworów Chopina, które na prośbę jeńców polskich, grał z pamięci Messiaen.

Dzisiaj już wiemy, że Messiaenowi, oprócz najbliższych kolegów francuskich, sprzyjały dwie różne strony. W jakiejś mierze strona oficjalna – niemiecka, poprzez niemą zgodę na to, żeby zajmował się muzyką. W późniejszym okresie komendant obozu miał działalność kompozytora na pokaz dla międzynarodowych komisji Czerwonego Krzyża z Genewy, choć początkowo nie wiedział kim jest ten skromny i cichy paryski jeniec zajmujący się muzyką i modlitwą. Najważniejszą rolę odegrał Carl-Albert Brüll, prawnik z Görlitz, który otrzymał nakaz pracy w obozie jako tłumacz. Brüll był również miłośnikiem muzyki. To on dostarczał Messiaenowi niemiecki papier z pięcioliniami, na którym zachował się rękopis utworu oraz ołówki i gumki, i nie zapominał o chlebie.

Jednakże zdecydowanie środowiskiem w którym wzrastał *Kwartet na koniec Czasu* i które stworzyło Messiaenowi warunki do przeżycia w niewoli oraz do pracy kompozytorskiej był polski krąg inteligencji. Mamy na to dzisiaj już wiele dowodów i świadectw. Z ust polskiego jeńca-literata Zdzisława Nardellego (któremu komendantura powierzyła utworzenie biblioteki dla polskich jeńców „wrześniowców”, którzy

w liczbie ok. 10 tysięcy przed zwiezieniem Belgów i Francuzów w całości zajmowali obóz) – wiemy dobrze, że na prośbę Francuzów, ażeby „uchronić przed nakazem pracy fizycznej” ich kolegę muzyka, powierzył on funkcję pomocnika bibliotekarza właśnie Messiaenowi. W ten sposób kompozytor znalazł się w kręgu polskich jeńców w większości artystów, mówiących po francusku: Jana Sokala wychowanego w Genewie i dowcipnego Tadeusza Łakomskiego, malarza z Krakowa. Messiaen, mając zapewniony własny kąpiel w bibliotece i kubek herbaty, przebywał razem z Polakami. A kaplica, gdzie modlił się była za ścianą, w tym samym baraku.

Najważniejszym wydarzeniem dotąd nie wystarczająco jeszcze poznanym przez autorów zachodnich jest „Wieczór polski”, który odbył się w baraku teatralnym w połowie grudnia 1940 roku. Został zorganizowany przez Nardellego wraz z kolegami polskimi, który zaproponował wieczór recytacji jego poezji, napisanej w obozie, wraz z muzyką Messiaena. To zadziwiające, ale Messiaen wyraził zgodę na udział w wieczorze i wraz z swoimi muzykami wykonał pięć skomponowanych utworów o trudnych poetyckich tytułach francuskich. Nikt jeszcze nie wiedział, że są to poszczególne części przyszłego *Kwartetu*. Było to pierwsze wykonanie niedokończonego jeszcze dzieła i to wykonanie bardzo znaczące. Obecni na wieczorze oficerowie niemieccy oraz Brüll stworzyli atmosferę, w której miesiąc później mógł odbyć się koncert ukończonego już *Kwartetu*. Etap trzeci zamknięcia ośmioczęściowej formy *Kwartetu* trwał od „Wieczoru polskiego” do oficjalnej jego premiery 15 stycznia 1941 roku.

Ten uroczysty wieczór polski zorganizowany miesiąc wcześniej wspólnie



Fot. Józef Chojkowski

Mme Yvonne Loriod, Olivier Messiaen, Julian Gembalski, Jerzy Stankiewicz – po konferencji prasowej. Katowice, 19 września 1989 r.

z kolegami francuskimi uwiecznił Zdzisław Nardelli w autobiograficznej powieści *Otchłań ptaków* (wyd. Śląsk, Katowice 1989). A podstawą wszystkiego jest zachowany bezcenny program wieczoru, który miał taki sam tytuł *Otchłań ptaków*. Program kaligraficznie wykreślił warszawianin Bohdan Samulski, przysły architekt działający w Belgii i w Kongu belgijskim. Wszyscy uczestnicy wraz z Messiaenem złożyli na programie podpisy, a cenzura obozowa postawiła swoją pieczęć „geprüft”. Jeśli do istnienia tego dokumentu dodamy opublikowane świadectwa Świętosława Krawczyńskiego, przyszłego adwokata kieleckiego oraz wspomnienia i wypowiedzi Antoniego Śliwińskiego z Krakowa, a także zapiski Czesława Mętraka oraz listy Jana Świdorskiego, będziemy mieli podstawę faktograficzną do wydarzenia, które dotąd w powszechnej biografisty-

ce Oliviera Messiaena nie zaistniało w sposób zadowalający.

Niewola Messiaena w Görllitz trwała siedem miesięcy. Jednakże ogromny wymiar tych dramatycznych i tragicznych doświadczeń wojennych był brzemienny w konsekwencje. *Kwartet na koniec Czasu* przyniósł proroczą zapowiedź intensywnego rozwoju warsztatu kompozytorskiego. I na szczęście doprowadził do wielkiej światowej kariery Messiaena, która przysłoniła wspomnienia niewoli i okupacyjne doznania.

Szczyt tej kariery przypadł na schyłek życia kompozytora. Uroczystości 80-lecia urodzin przyczyniły się do wielkiego tournée opery *Święty Franciszek z Asyżu*, prezentowanego w wersji koncertowej na czterech kontynentach. Właśnie w takiej perspektywy światowego sukcesu jego opery, po latach starań polskiego środowiska, Messiaen przyjął zaproszenie do przyjazdu do Polski we wrześniu 1989 roku. Wystosowali je dyrekcja festiwalu „Warszawska Jesień” i Związek Kompozytorów Polskich, w celu przedstawienia w programie festiwalu trzech scen: *Ucałowanie Trędowatego*, *Stygmaty* oraz *Śmierć i Nowe Życie*. Udając się do Polski lotem na Okęcie Messiaen, któremu towarzyszyła nie odstępująca na krok męża, wybitna pianistka Yvonne Loriod, nie przypuszczał nawet, że po latach ponownie znajdzie się „na Śląsku”.

Próby do koncertu odbyły się w siedzibie WOSPRiT (dzisiaj Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia) w Centrum Kulturalnym w Katowicach. Sprowadzono Chór Filharmonii Narodowej z Warszawy (przygotowany przez Henryka Wojna-

Fot. Małgorzata Woźna-Stankiewicz



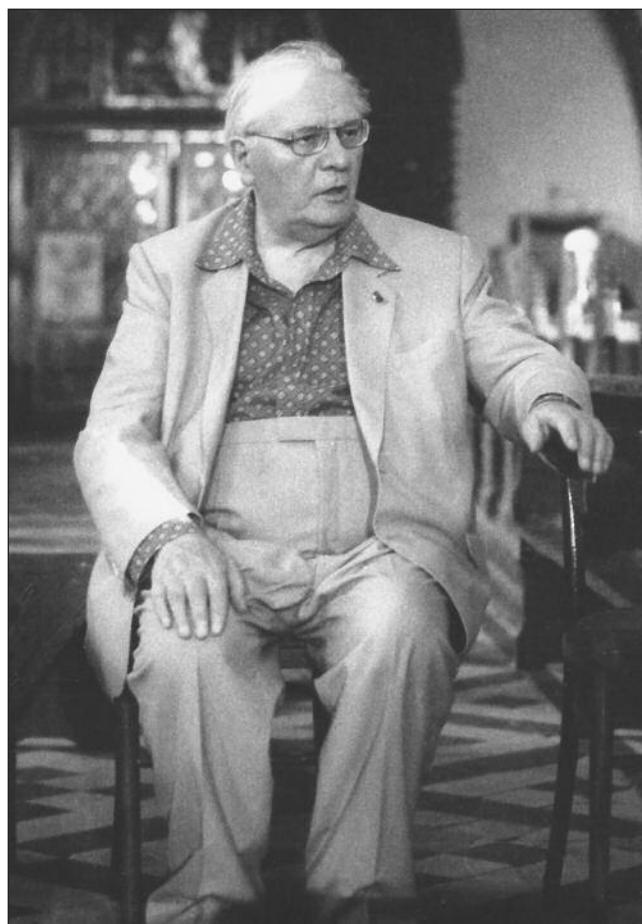
Mme Yvonne Loriod z pięcioletnim Romkiem Stankiewiczem, w głębi Olivier Messiaen i Jerzy Stankiewicz – w przerwie podczas próby w Centrum Kulturalnym w Katowicach, 20 września 1989 r.

rowskiego) oraz międzynarodowych solistów i muzyków, m. in. trzy fale Martenota pod kierunkiem prof. Jeanne Loriod oraz nie występujący w polskich orkiestrach klarnet kontrabasowy. Dyrekcję nad całością objął maestro Antoni Wit, z pomocą logistyczną dyrektor Ireny Siodmak. Początkowy niepokój kompozytora o powodzenie tak złożonego przedsięwzięcia w komunistycznym kraju na wschodzie Europy już po pierwszej próbie ustąpił poczuciu, że ma do czynienia ze znakomitym dyrygentem i doświadczonymi zespołami. Próby z wielkim powodzeniem trwały przez pięć dni zakończone próbą generalną w kościele św. św. Piotra i Pawła przy ulicy Mikołowskiej i wieczornym koncertem, który przyniósł pierwszy sukces *Świętemu Franciszkowi* w Polsce.

Trzeciego dnia pobytu Messiaena w Katowicach odbyło się spotkanie z kompozytorami śląskimi.

Obecni byli m.in. Andrzej Krzanowski, Andrzej Dziadek oraz Julian Gembałski, znakomity interpretator Messiaenowskiego cyklu organowego *Narodzenie Pana*. Frekwencja była duża, wyczuwało się szczególną atmosferę spowodowaną obecnością tak znakomitej osobowości, sypały się pytania, odpowiedzi skrzętnie notowali dziennikarze. Messiaen wyraźnie czuł się dobrze szeroko na nie odpowiadając. Najistotniejszym wydarzeniem spotkania, którego być może większość uczestników nie odebrała tak znacząco, było odniesienie się Messiaena do okresu niewoli i powstania *Kwartetu na koniec Czasu* czyli do pierwszego „pobytu na Śląsku”. Kompozytor z zasady bardzo niechętnie do tego tematu powracał i prawie nigdy o tym publicznie nie chciał mówić.

Znalazłszy się w Katowicach podjął ten temat swobodnie, zaznaczając że wie, że stalag w Görlitz znajduje się teraz w granicach Polski. Mówił wtedy zaskakująco, o rzeczach najważniejszych, że w obozie w jego najbliższym otocze-



Olivier Messiaen na próbie generalnej w kościele św. św. Piotra i Pawła. Katowice, 22 września 1989 r.

niu nie było przemocy. Największą udręką był głód, który przyczynił się do barwnych wizji, których doznawał. Obserwacje wieczornej zorzy, którą nazywał „polarną” oraz porannej tęczy przyczyniły się do pobudzenia intensywnych wyobrażeń palety barw, której symbolem był Anioł Apokalipsy. Doznania te rozbudziły bardzo wyobraźnię kompozytora i przyczyniły się do wzmocnienia bogactwa brzmie-

a przyniosła je prezentacja dzieła współczesnego, które tak głęboko potrafiło dotrzeć do słuchaczy.

A sam mistrz Olivier Messiaen tak swoje przeżycia na Śląsku podsumował: „To było podziwu godne... Wspaniały dyrygent [Antoni Wit], nadzwyczajny, ma wyśmienitą, precyzyjną batutę i co najważniejsze – rozumie moją muzykę i te akty wiary, które w niej zawarłem. Śpiewacy, orkiestra, soliści – fantastyczni, a chór? – nigdy dotąd nie słyszałem tak śpiewającego chóru. Jestem zachwycony, mało tego – jestem przepelniony szczęściem” (Zanotował Eugeniusz Łabus na łamach tygodnika „Katolik”, Katowice, 8 października 1989 r., s. 8.).

Jerzy Stankiewicz – po ukończeniu studiów muzykologicznych na Uniwersytecie Jagiellońskim został stypendystą rządu francuskiego w klasie prof. Oliviera Messiaena w Konserwatorium Paryskim w 1977 r. Po powrocie do kraju pozostając w stałym kontakcie z Mistrzem i z pomocą nagrań przywiezionych z Paryża przygotował dźwiękową monografię dzieł Messiaena. Cykliczne audycje nadawane były w Polskim Radiu w latach 1977–1981; dotąd żaden ze współczesnych kompozytorów nie miał w Polskim radiu tak szerokiej prezentacji. Był pomysłodawcą i kierownikiem artystycznym dwóch Festiwali Messiaena (symfoniczno-kameralnego w 1989 r. i organowego – w 2002 r.). Zainicjował 25 polskich prawykonawców utworów Messiaena. Prowadzi badania dotyczące genezy *Kwartetu na koniec Czasu* w Stalagu VIII A w Görlitz w powiązaniu z działalnością kulturalną polskich jeńców tego obozu. Opublikował artykuły oparte na nowych źródłach (m.in. w „Res Facta Nova”, „Łambinowickim Roczniku Muzealnym”, „Ruchu Muzycznym”, „Schweizer Musikzeitung”). Jerzy Stankiewicz jest doktorem honoris causa Akademii Muzycznych w Lwowie i w Kijowie. Pełni funkcję prezesa zarządu Oddziału Krakowskiego Związku Kompozytorów Polskich. Mieszka i pracuje w Krakowie i w Olecku na Mazurach.

Fot. Bogdan Kulakowski

niowego w jakie obfituje muzyka *Kwartetu*. W ten sposób kłamrą spięte zostały dramatyczny czas niewoli w Görlitz z aktualnymi doznaniem serdecznego przyjęcia i znakomitego przygotowania jego muzyki w Katowicach, co stanowiło dla kompozytora dowód uznania, zrozumienia i wspólnej komunii, która teraz zaistniała „na Śląsku”.

W niedzielę 24 września 1989 roku śląskie wydarzenia znalazły pełne potwierdzenie w Filharmonii Narodowej w Warszawie. Najwybitniejszemu kompozytorowi naszych czasów po przebrzmieniu muzyki z opery *Święty Franciszek z Asyżu* publiczność festiwalu „Warszawska Jesień” zgotowała 22-minutową owację. Odnosił to precyzyjnie kompozytor Krzysztof Baculewski, który studiował u Messiaena w Konserwatorium Paryskim, czuwający nad jego pobyt w Polsce. Było to jedno z największych przeżyć zbiorowych w dziejach tego festiwalu,

Jerzy Stankiewicz *Olivier Messiaen. Człowiek i artysta w Stalagu VIII A w Görlitz. Przewodnik biograficzny na otwarcie Europejskiego Centrum Edukacyjno-Kulturalnego Meetingpoint Music Messiaen*. Wyd. Fundacja Wspierania Przedsiębiorczości, Musica Iagellonica, Zgolelec-Kraków 2014.



Przyroda nie znosi pustki. Kreśli własne scenariusze nawet w najbardziej nieprzychylnym jej środowisku. Rzecz w tym, by jej nie przeszkadzać, jeśli... nie można pomóc. Takiej pomocy udzielał jej spontanicznie przez lata mieszkańcy Górnośląskiego Okręgu Przemysłowego, poderwani przez wojewodę, gen. Jerzego Ziętkę do budowy ponad 600-hektarowego, Wojewódzkiego Parku Kultury i Wypoczynku w Chorzowie.

Wielu z nich z tym miejscem związało swoją młodość i swoje życie rodzinne na pokolenia. Dlatego zostali jego strażnikami. Bo takiego drugiego parku miejskiego, budowanego razem z mieszkańcami w miejscu katastrofy ekologicznej, nie ma ani w kraju, ale nawet w Europie.

Zielona siła

Projekt Parku, przygotowany przez prof. W. Niemirskiego wraz z zespołem naukowców ze Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie, wcale nie musiał się powieść w tak trudnych warunkach. Wspominał o tym niejednokrotnie prof. dr hab. Henryk Zimny, (również z SGGW), specjalizujący się m.in. w tematyce zbiorowisk roślinnych (fitosocjologii) i ekologii miasta.

Powiół się znakomicie. Potwierdziła to po pięćdziesięciu latach waloryzacja ekologiczna zieleni w Parku Śląskim. Przeprowadzili ją w 2001 roku znakomici znawcy problemu: dr nauk przyrodniczych Janina Szczepańska i prof. Adam Rostański z Uniwersytetu Śląskiego. Ich zdaniem, sprawdził się w szczególności cichy zamysł prof. Niemirskiego, by stworzony Wojewódzki Park Kultury i Wypoczynku osłonić przed toksycznymi zanieczyszczeniami z przemysłu specjalnym zielonym biofiltrem. Tę rolę miał spełnić (i tak się stało) najwyższy położony, ogromny parkowy teren, nazywany leśną ostoją. Przez lata sporadycznie tylko pielęgnowany jego drzewostan nieco zdziczał, zagęścił się, ale i wzmocnił swoją zieloną siłę w oczyszczaniu śląskiego powietrza.

Topór nad parkiem

To drzewa, a nie fajerwerki, stanowią o sile przyrody Parku Śląskiego. Do dziś rosną w nim te zastane w miejscu jego budowy w latach 50. ub. wieku. Rosną też przedplony z tamtego czasu, sadzone z zamiarem rewitalizacji poprzemysłowych i rolniczych nieużytków. W parkowym pejzażu dominują dziś dorodne okazy szlachetniejszych gatunków, wskazane przez projektanta WPKiW – prof. Władysława Niemirskiego i samosiejki. Te ostatnie pojawiły się w rytm scenariusza samej natury, gdy park od końca lat siedemdziesiątych ub. wieku po dziewięćdziesiąte, był mocno zaniedbywany.

Jednak nie o rachityczne samosiejki, drzewa chore czy zagrażające bezpieczeństwu kruszą boje z zarządem parku jego miłośnicy, ekolodzy, naukowcy. Spór toczy się o tyśiące tych zdrowych, rąbanych bez planu i koncepcji rozwoju zielonej perły Śląska.



Fot. Elżbieta Mądry

Pozostawienie tej części parku samej naturze wzbogaciło ją. W całym parku można się doliczyć 300 gatunków drzew i krzewów. W tej jego części gniazduje ponad 70 gatunków ptaków, zadomowiły się m.in. łasiczki, lisy i sarny, różne płazy i gady oraz setki gatunków roślin kwiatowych i grzybów. Ludzie dawno to zauważyli. I chętnie tu teraz przychodzą.

Zauważyli również, że po latach parkowych zaniedbań, w imię zabiegów pielęgnacyjnych, tnie się na potęgę także drzewa zdrowe. I w części leśnej i wzdłuż alei spacerowych.

Sprzeciw

Od kilku lat dokumentuje ten fakt założone w 2006 roku Stowarzyszenie „Nasz Park” w Chorzowie. Powstało z niezgody na degradację parku, zniszczenie i degradację wielu jego obiektów oraz zawłaszczanie terenów Parku Śląskiego na inne niż wypoczynek, rekreacja czy kultura, cele. Członkowie Stowarzyszenia piętnują również parcelację jego terenów w interesie różnych grup biznesu i traktowanie go jako firmy, która musi na siebie zarabiać, kosztem ograniczania jego przestrzeni publicznej. Takie praktyki umożliwiło przekształcenie dawnego WPKiW z przedsiębiorstwa użyteczności publicznej w spółkę prawa handlowego.

Od lat członkowie tego Stowarzyszenia sprzeciwiają się również masowej wycince parkowych drzewostanów. Do niedawna brali udział w postępowaniach administracyjnych w kwestii udzielania zgody na wycinkę drzew w Parku Śląskim. Ta współpraca wyraźnie przeszkadzała Zarządowi Wojewódzkiego Parku Kultury i Wypoczynku im. Gen. Jerzego Ziętki S.A., w marcu br. jego prezes Arkadiusz Godlewski zaskarżył postanowienie Prezydenta Miasta Chorzowa w tej sprawie, do Samorządowego Kolegium Odwoławczego w Katowicach. I dał stronie społecznej do zrozumienia, że głos „ciemnego ludu” nie jest mu potrzebny!

Ten park jest dla ludzi. Jak żaden inny na świecie, zasłużył sobie na miano obywatelskiego. Takim go projektował i tworzył przez osiem lat prof. W. Niemirski. Dziś jego spadkobiercy, naukowcy z katedry architektury krajobrazu SGGW, na podstawie podpisanego kilka lat temu z WPKiW w Chorzowie porozumienia, po latach zaniedbań, sporządzili pełną inwentaryzację parkowego drzewostanu. Dokonali analizy jego struktury przestrzennej, gatunkowej i wiekowej. Opisali też egzemplarze najcenniejsze, ocenili drzewostan parkowy pod kątem fitosocjologicznym. Doliczyli się ponad 600 tysięcy dużych, dojrzałych,

a więc najcenniejszych drzew. Prace trwały w latach 2013-2014.

Wszystko po to, by odpowiedzieć sobie na podstawowe pytania: jak dalej ma przebiegać rozwój parku? Bardziej według scenariusza człowieka czy przyrody?

Ta wiedza jest niezbędna dla opracowania pilnie potrzebnego programu waloryzacji drzewostanu Wojewódzkiego Parku Kultury i Wypoczynku i jego pielęgnacji. Czyli stworzenia swoistego kodeksu postępowania z drzewostanem, zielenią, architekturą w Parku Śląskim. Pod kątem jego optymalnego dla ludzi i przyrody funkcjonowania.

To zadanie na mocy wspomnianego porozumienia pomiędzy WPKiW i SGGW będzie przez naukowców tej uczelni kontynuowane.

Mówił o tym i prezes Arkadiusz Godlewski na lutowej konferencji prasowej i dr inż. arch. krajobrazu Elżbieta Myjak-Sokołowska z SGGW, prezentująca wspólnie z zespołem naukowców przyrodniczą ocenę parku po inwentaryzacji jego drzewostanów i innej zieleni.

Dr inż. E. Myjak-Sokołowska, kierująca zespołem badaczy parku, potwierdziła też, że szata roślinna jest największą jego wartością i dlatego trzeba ją właściwie kształtować. Zapewniła też stronę społeczną, że kolejne cięcia w parku nie będą się działy bez wiedzy naukowców. Stały kontakt z organizacjami społecznymi, przy opracowywaniu waloryzacji drzewostanów, będzie utrzymany. Ich głos jest dla nas cenny, dodała.

Potrzeby takiego kontaktu nie widzi jednak zarząd WPKiW w Chorzowie. Wygląda na to, że to powód, dla którego gospodarze parku spieszyli się i śpieszą dalej z wycinką parkowych drzew. Zanim... naukowcy z SGGW sfinalizują niezbędne projekty.

Protest naukowców

Przeciw takiemu postępowaniu gospodarzy parku zaprotestowali śląscy naukowcy. Wśród nich doświadczeni specjaliści z wydziału biologii i ochrony środowiska Uniwersytetu Śląskiego. Apel podpisali także reprezentanci innych uniwersyteckich wydziałów, a także Instytutu Onkologii w Gliwicach, Uniwersytetu Ekonomicznego, Centrum Dziedzictwa Przyrody Górnego Śląska, Pracowni na Rzecz Wszystkich Istot, Pracowni Edukacji Żywej i wielu innych.

W ich apelu z marca br. w obronie Parku Śląskiego przed masową wycinką drzew czytamy m.in.: „... na tym cennym przyrodniczo i kulturowo obszarze, mają obecnie miejsce niepokojące zjawiska,



Fot. Zbigniew Sawicz

prowadzące do dewastacji środowiska przyrodniczego. W roku 2010 wycięto około 6 tysięcy drzew, obecnie planowane jest wycięcie kolejnych 2,2 tys. Wycinki realizowane są przede wszystkim w leśnej części parku, który posiada charakter ostoi. To właśnie ta część, zajmująca niemal 200 hektarów, poddana jest ogromnej presji. Przez ostatnie 20 lat w tej leśnej nie ingerowano znacząco w ekosystem. To prawdopodobnie dlatego wzrosła na tym terenie bioróżnorodność.

Dzisiaj władze parku uważają, że brak ingerencji, to okres zaniedbań, który czas zakończyć. I jednocześnie deklarują stworzenie całościowej i długofalowej koncepcji tego szczególnego miejsca. Jej wykonanie zleciły zespołowi naukowców z SGGW w Warszawie. Nie czekając jednak na wytyczne, wynikające z tej ekspertyzy, ignorując głos społeczny, nie dopełniając obietnicy stworzenia strategii rozwoju parku, podjęły decyzje o kolejnej, masowej wycince drzew.

W tej sytuacji decyzja taka jest skandaliczna i podważa wiarygodność intencji władz parku. W związku z tym apelujemy o moratorium na wycinkę drzew w parku (z wyjątkiem tych zagrażających bezpieczeństwu i infrastrukturze) do czasu wypracowania całościowej i długofalowej strategii jego rozwoju oraz zobligowanie władz parku do przeprowadzenia rzeczywistych konsultacji społecznych, które uwzględnią głos mieszkańców Śląska w wypracowaniu jego wizji.”

Prof. dr hab. Piotr Skubała, jeden z inicjatorów apelu, problem widzi jeszcze szerzej. Uważa, że mamy do czynienia ze zjawiskiem prawdziwej dendrofobii. Urzędy zbyt łatwo wydają zezwolenia

na wycinkę drzew, które zawsze przegrywają nawet z wątpliwymi inwestycjami. Traktujemy drzewa jak przedmioty. Nie widząc w ich obecności korzyści bezcennych.

Do tego apelu ustosunkował się m.in. Arkadiusz Godlewski, prezes zarządu WPKiW, pisząc m.in.: „... zawsze jesteśmy otwarci na merytoryczną dyskusję, istotne sugestie specjalistów, zajmujących się na co dzień botaniką, dendrologią czy biologią... W trosce o ten niezwykły przyrodniczo obszar podjęliśmy współpracę z ekspertami SGGW w Warszawie. Jedyne w wyjątkowych przypadkach koncentrujemy się na działaniach pielęgnacyjnych, związanych z usuwaniem drzew uschniętych, chorych lub zagrażających bezpośrednio użytkownikom parku. Każdorazowo staramy się o stosowne zezwolenie (chodzi o zezwolenia na wycinkę z Urzędu Miasta w Chorzowie). Zapraszamy także do udziału w wizjach lokalnych, w trakcie których zgodnie z prawem i w obecności specjalistów, podejmowane są decyzje o ewentualnej konieczności usunięcia drzew. Z naszego zaproszenia skorzystali już m.in. społecznicy, którzy brali udział w większości wizji lokalnych, związanych z planowanymi przez nas działaniami. Możemy jedynie dodać, że nie wnosili oni żadnych zastrzeżeń...”

Panie Prezesie, więcej pokory wobec obywatelskiej wiedzy i prawdy. Zwykle, jeśli strony konfliktu chcą go zakończyć, każda z nich zakupuje wojenny topór. Rzecz w tym, że ten, który wisi nad Parkiem Śląskim, jest tylko w Pana rękach!

JOLANTA KARMAŃSKA



Dofinansowano ze środków
Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej w Katowicach

EKOLOGIA



Pokaz wykonywania kruszonek metodą pisania woskiem.

Pod patronatem „Śląska”

Miniaturowe, wielkanocne dzieła sztuki



Pan Szymon Dylus został uhonorowany nagrodą specjalną miesięcznika „Śląsk”, którą laureatowi wręczyła Wiesława Konopelska zastępca redaktora naczelnego.

To wielkie święto śląskiej kroszonki! Organizowany od 26 lat konkurs – najpierw przez Muzeum w Gliwicach, a od kilkunastu lat przez Muzeum Górnośląskie w Bytomiu, cieszy się ogromnym powodzeniem wśród twórców tych miniaturowych dzieł sztuki. Po raz drugi patronat nad konkursem sprawował miesięcznik „Śląsk”, który był również fundatorem nagrody specjalnej.

Niezwykły to konkurs, bowiem spotykają się w nim tradycja i nowoczesność. Tradycja zachwyca misternymi pracami rytowniczymi, sposobami trawienia, wyborem wzoru, precyzją pisania woskiem czy oklejania barwionym sitowiem. Nowoczesność daje pole do popisu poszukiwaczom nowych technik, do których z pewnością zaliczyć można koronkową wręcz robotę wykonywania ażurowych wzorów, zdobienia jajek fantazyjnymi materiałami, tworzenie prawdziwych obrazów na niewielkich skorupkach jaj, nie tylko kurzych.

Kiedy przychodzi zdecydować się na przyznanie nagrody jednej wybranej kolekcji, okazuje się, że to problem ogromny! Jeśli wybierze się jedną, druga wydaje się równie zachwycająca. Ale wybór został dokonany – miesięcznik „Śląsk” nagrodził prace tradycyjne, które wyszły spod rylca pana Szymona Dylusa – wytrawnego kroszonkarza, mistrza z Gliwic, zwracające uwagę również użyciem czarnego koloru do zabarwiania skorupki jaj, charakterystycznego dla tego twórcy. Imponująco wyglądają na takim tle wydrapywane miniaturowe wzory, zachwycające szczegółem, regularnością i pomysłowością.

Profesjonalne jury powołane przez Muzeum Górnośląskie w Bytomiu, któremu przewodniczyła etnograf Małgorzata Lipa Kuczyńska, wśród prac wykonanych techniką rytowniczą, najwyższej oceniło dzieła Adama Lasoty, a nagrody przyznało także Klaudii Swobodzie oraz Małgorzacie Dróżdź i Leszkowi Jęczmykowi.

Jury w każdej z kategorii doceniało także osoby debiutujące w konkursie. I tak w tej kategorii wyróżniono prace Barbary Gonki.

Kolejna z tradycyjnych technik – malowanie woskiem, jak stwierdziło jury, z roku na rok cieszy się coraz mniejszym zainteresowaniem twórców. W tym roku zwyciężczynią była znakomita, znana miłośnikom kruszonek od lat artystka Teresa Drapała, która po ogłoszeniu wyników i wręczeniu nagród prowadziła pokaz pisania woskiem. W tej kategorii wyróżniono debiutantkę, którą była Małgorzata Dróżdź.

Niezwykle pięknie prezentowały się również prace Olgi Palecznej, która zaprezentowała kroszonki wykonane techniką oklejania barwnym sitowiem. Otrzymała pierwszą nagrodę w tej kategorii.

Liczenie reprezentowana była grupa twórców tworząca kroszonki tzw. metodami nowatorskimi. Jury nagrodziło: pierwszą nagrodą Joannę Michalik, drugą – Małgorzatę Sznurę, trzecią – Grażynę Chrzanoską-Grzebieluchę. Wyróżniono Ewę Gawendę oraz Anielę Jaworską.

W tym roku jury postanowiło również przyznać nagrodę specjalną – Grand Prix Joachimowi Orłowskiemu za prace wykonane we wszystkich trzech kategoriach: technika rytownicza, techniki nowatorskie oraz inne techniki tradycyjne, zwłaszcza za przypomnienie techniki trawienia octem.

Tego dnia otwarta została również wystawa prezentująca nie tylko dorobek konkursowy tego roku, ale także najcenniejsze prace zgromadzone w zbiorach Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu.

WIESŁAWA KONOPELSKA

„Rodzina Addamsów” na scenie Gliwickiego Teatru Muzycznego to najlepsze przedstawienie i musicalowe, jakie w życiu widziałem. Są musical z piękniejszą muzyką? Są! Z bardziej intrygującą akcją? Są! Z genialnie śpiewającą gwiazdorską obsadą? Też są! Co z tego? Zawsze coś zgrzytnie, jakiś trybik się rozsypie, czegoś brakuje albo czegoś jest po dziurki w nosie. W Gliwicach wszystko zostało perfekcyjnie poprowadzone przez Jacka Mikołajczyka.

Dużo słyszałem o teoretycznym przygotowaniu reżysera i jego naukowych osiągnięciach, jako historyka teatru, zafascynowanego teatrem muzycznym. Mikołajczyk jest m.in. autorem książki „Musical nad Wisłą”. Wiedziałem, że podpatrywał słynne realizacje mistrzów gatunku na Broadwayu. Wyreżyserował na scenie krakowskiej PWST musical rockowy „Przebudzenie wiosny” Duncana Sheika w autorskim tłumaczeniu. Wszystko to zasługuje na uznanie, ale dopiero „Addamsami” udowodnił, że jest wspaniałym, utalentowanym artystą. Znam wielu wybitnych teoretyków, którym Bozia pospakiła tej iskry... Jacek Mikołajczyk łączy w sobie wiedzę, miłość do sztuki i właśnie to małe „coś”, co w teatrze decyduje o wszystkim.

Wróćmy zatem do „Rodziny Addamsów” – absolutnie odjechanej, mającej swoje troski, marzenia i tajemnice, czasami okrutnej dla obcych, ale kochającej się na zabój! Rodziny innej od innych rodzin... „Nie psychoanalizuj mnie. Możesz trafić na głęboką czarną otchłań, która bardzo ci się nie spodoba” – powiada Wednesday Addamsówna do swojego „normalnego” wybranka serca. Jak mówi reżyser: *Tak właśnie jest z Addamsami – z pozoru zabawni, gdy spojrzeć w głąb, może nas zaskoczyć drzemący w nich „mrok, żal i wszechogarniający smutek”*. Nie można oceniać ludzi po pozorach, nie wolno narzucać im swojej wizji świata, trzeba rozmawiać i starać się ich zrozumieć. Kompromis zawsze jest możliwy! Należy szanować odmiennosc, choćby wydawała nam się absurdalna i właśnie o to woła twórca swoim wariackim, wesołym, chwilami grobowo mrocznym widowiskiem „dla żywych, martwych i... niezdecydowanych”.

Wszyscy tę szaloną rodzinę znamy z komiksów, filmów i seriali. Wymyślił ją amerykański rysownik Charles Samuel Addams (dał jej swoje nazwisko) – na początku był bowiem komiks. Barry Sonnenfeld wyreżyserował dwa świetne filmy, które do dzisiaj nic a nic się nie zestarzały, brawurowo zagrani w nich: Anjelica Huston (*Morticia Addams, pani domu*), Raul Julia (*Gomez Addams, mąż Morticii*), Christopher Lloyd (*Fester Addams*) i Christina Ricci (*Wednesday*). Czasem upiorni, częściej przesympatyczni... W 2010 r. na Broadwayu po raz pierwszy wystawiono musical „The Addams Family” z librettem Marshalla Brickmana i Ricka Elice’a oraz muzyką i piosenkami Adrew Lippy. Musical zagrał ponad 700 razy i tam obejrzał go, zachwycił się i postanowił przenieść na polską scenę, Jacek Mikołajczyk. Przełożył więc na język polski, przekonał dyrektora



„Rodzina Addamsów” na gliwickiej scenie to wzruszający głos w obronie inności!

Tarapaty szalonej rodziny

TEATR

Pawła Gabarę i dzisiaj możemy cieszyć się znakomitą przedstawieniem.

Od pierwszej sceny ulegamy magii teatru i poddajemy się jej bezwarunkowo dzięki scenografowi Grzegorzowi Polcińskiemu. Stworzone przez niego stare, zaniedbane gmazysko z początku budzi grozę, ale kiedy otwiera swoje podwoje (ściany) jesteśmy zaskoczeni jego zaniedbaną wspaniałością. Każdy drobiazg jest na swoim miejscu – nagromadzone ich sporo, zostaną w odpowiednim czasie wykorzystane. Mimo natłoku elementów scenografia nie przeszkadza artystom, jest funkcjonalna i plastycznie olśniewająca. Dopełniają ją kostiumy Ilony Binarsch. Orkiestra brzmi perfekcyjnie – zawsze podziwiam dyrygenta Wojciecha Rodka, że potrafi łączyć funkcje dyrektora artystycznego Filharmonii Lubelskiej i Filharmonii Dolnośląskiej, prowadzić klasę dyrygentury w Akademii Muzycznej we Wrocławiu jednocześnie będąc kierownikiem muzycznym Gliwickiego Teatru Muzycznego, do tego ma jeszcze wiele różnych dodatkowych zajęć. Niespokojna dusza, niebywała pracowitość i wielki talent! Wywodząca się z naszych „Dąbrowiaków” Ewelina Adamska-Porczyk to obecnie na polskiej scenie musicalowej prawdziwa choreograficzna perła, znana od „Capitolu”, przez „Rome”, po Teatr Muzyczny w Gdyni, w Gliwicach pokazała lwi pazur – jej tanga nie zapomnimy nigdy!

Porozmawiajmy o wykonawcach. Tomasz Steciuk jako *Gomez Addams* szalenie zakończył w *żonie Morticii*, pełen wdzięku, niebezpieczny, nieprzewidywalny, uwodzicielski, ale po prawdzie... pantoflarz. Jak się ma taką żonę – trudno się dziwić: smukła kibić podkreślona słynną czarną suknią, od której nie można oderwać wzroku. Marta Wiejak (*Morticia Addams*) trzyma wykreowaną przez siebie postać na dystans, czasami niepotrzebnie. Mimo to po spektaklu ją zapamiętujemy najlepiej. Damian Aleksander w roli brzydactwa o gołęmbim sercu (*Wujek Fester* z jego niewyobrażalnymi przygodami łącznie z lotem na Księżyc i szaleniczą miłością) jest doskonały w każdym geście – wyborna rola. Z postacią zwariowanej dziewczyny, zakochanej w „normalnym” chłopcu, ni-

by kruchej, ale z „charakterem twardym niczym stal” zmierzyła się Anastazja Simińska (*Wednesday Addams*) i odniosła sukces. Najzabawniejsza w tym całym zwariowanym towarzystwie jest *Babcia*, matka Gomeza, który się do niej nie przyznaje. Babunia ma setkę na karku, przyjechała z wizytą 12 lat temu i wyjechać nie może, kradnie okolicznym kotom żarcie, bo go uwielbia, piecze szarlutki z... arsenikiem, sporządza miksturę szkodzącą zdrowiu, pije, pali (marihuane?) i nigdy na nic nie narzeka. Tryska wisielczym humorem. Wykreowała ją Katarzyna Wysłucha i podbiła serca widzowi każdym szalonym gestem, niepowtarzalnymi krokami i fantastycznym głosem. Ozdobą tej rodziniki jest *Pugsley Addams* – miłośnik elektrostrząsów i bardziej wyrafinowanych tortur, któremu kochana siostrzyczka *Wednesday* zadaje ból i cierpienie – byle tylko go uszczęśliwić. Paweł Wawrzyczny, którego oglądaliśmy już na scenie GTM w roli *Matego Księcia*, po raz kolejny udowodnił, że urodził się po to, aby grać. Każdy musi polubić *Lurcha* (doskonały Kamil Zięba), przerośniętego kamerdynera o urodzie Frankenstein, który jak nikt potrafi chronić dom przed narętami. Domową sielankę zakłóca zwykła amerykańska rodzina, czyli wybrankę serca *Wednesday* i jego rodzice (*państwo Beineke*). Kto jest bardziej normalny – *Addamsowie* czy rodzina *Beineke*? Na to pytanie odpowiecie sobie już sami.

Najwyższe słowa uznania należą się brawurowej, najpiękniej ze wszystkich śpiewającej Marcie Florek (*Alice Beineke*), podobają się również: uwalniający się z roli ograniczonego mieszczańskimi zasadami, małżonka Grzegorz Pierczyński (*Mal Beineke*) oraz ich synek *Lucas* zgrabnie zagrany przez Marcina Franca. Trudno nie wspomnieć chodzącej *Rączki*...

Szacunek i najwyższe uznanie należą się dyrektorowi gliwickiej sceny Pawłowi Gabarze za to, że zamienił chylącą się ku upadkowi prowincjonalną scenę operetkową w nowoczesny, porywający teatr muzyczny. Nawet grane tu operetki mają swoją klasę, spektakle taneczne są rewelacyjne, no a w musicalu, dzięki m.in. „Rodzinie Addamsów”, dołączył Gliwicki Teatr Muzyczny do krajowej czołówki. Promocja, którą miasto zyskało dzięki *Addamsom* kosztowałyby niewyobrażalne pieniądze, zamiast jednak nagród dla dyrektora, dziękczynnych listów i słów uznania szefowi gliwickiego teatru podziękowano, ale za... dalszą współpracę, tak zwyczajnie, po naszymu, po polsku.

WITOLD KOCIŃSKI

Gliwicki Teatr Muzyczny: Rodzina Addamsów, musical w 2 aktach. Muzyka i teksty piosenek: Andrew Lippa, libretto: Marshall Brickman i Rick Elice. Spektakl oparty na postaciach stworzonych przez Charlesa Addamsa. Reżyseria i przekład: Jacek Mikołajczyk, kierownictwo muzyczne: Wojciech Rodek, choreografia i ruch sceniczny: Ewelina Adamska-Porczyk, scenografia: Grzegorz Polciński, kostiumy: Ilona Binarsch. Polska prapremiera: 13 marca 2015.

W 330. rocznicę urodzin
Jana Sebastiana Bacha

„Silesia” uczciła przypadającą 21 marca 330. rocznicę urodzin Jana Sebastiana Bacha koncertem dzieł kameralnych mistrza. 23 marca w Studiu Koncertowym Polskiego Radia wykonała je grupa znakomitych muzyków krakowskich: klawesynistki Elżbieta Stefańska i Mariko Kato, skrzypkowie Anna Śliwa i Maciej Wulw, altowiolista Elżbieta Górka, flecista Tomasz Potaczek i wiolonczelista Konrad Górka. Grano oczywiście na kopiach instrumentów historycznych. Program obejmował *Koncert na 2 klawesyny BWV 1061*, *V Koncert brandenburski BWV 1050* oraz dwie solowe *Fantazje klawesynowe*: c-moll BWV 906 i d-moll BWV 903, zazwyczaj wykonywane jako mini-cycle wraz z fugami, które im towarzyszą w pratyturach (fugi do *Fantazji c-moll* Bach nie dokończył, lecz tym razem zaprezentowane przez Elżbietę Stefańską jako oddzielne utwory.

V Koncert brandenburski to dzieło silnie wrośnięte w XX-wieczną tradycję wykonywania muzyki Bacha, leżące wręcz u źródeł ubiegłowiecznego renesansu muzyki dawnej. Wydany został po raz pierwszy, razem ze swoimi pięcioma „braćmi”, w latach 1851-1852 przez berlińskiego bibliotekarza Siegfrieda Dehma, następnie ukazał się w lipskiej oficynie Petersa w ramach zbiorowej edycji dzieł kompozytora. Nazwę „koncerty brandenburskie” wymyślił biograf Bacha Philip Spitta. Na początku XX wieku pojawiły się na rynku ich transkrypcje fortepianowe na 4 ręce (autorstwa Ernsta Naumanna i Maxa Regera) i 2 ręce (Augusta Stradala). Max Reger, wielbiciel Bacha i kontynuator jego sztuki, opracował też dla firmy Breitkopf & Härtel wydanie wersji kameralnej na fortepian, flet poprzeczny i kwartet smyczkowy (1915). Tym samym zapoczątkował zwyczaj prezentowania dzieła w „cienkiej” obsadzie kameralnej – zwykle bowiem grano je z udziałem orkiestry; słynny muzykolog Hermann Kretschmer (ten sam, który daje wykład o muzyce w *Doktorze Faustusie* Manna) rozpowszechnił pogląd, że *V Koncert brandenburski* wybitnie nadaje się do grania przez nowoczesną orkiestrę symfoniczną. W przeciągu XX stulecia dokonano wielu nagrań omawianych utworów; najślawniejsze okazały się prezentacje z udziałem orkiestry; realizowali je m.in. tak wybitni dyrygenci, jak Leopold Stokowski (w „przedpotopowej” manierze, z pominięciem basso continuo, zastosowaniem licznych transpozycji oraz wysokiego stroju instrumentów), Alfred Cortot i Adolf Busch w nagraniu pod dyktando Buscha z 1935 roku partię fortepianu w *V Koncercie* gra Rudolf Serkin; pierwsze nagranie na instrumentach historycznych zrealizowano w latach 1950/1953; rangę modelowego

MIEDZY NUTAMI



otrzymało jednak nagranie Nicolasa Harnoncourta z roku 1964.

Niemniej bogata jest historia wydań i nagrań koncertów instrumentalnych Bacha, zwłaszcza skrzypcowych. Koncerty klawesynowe grywali już w latach 30. XX wieku m.in. Edwin Fischer i Alexander Borowsky, później ich „kultowe” interpretacje zaproponował Glenn Gould. Pierwsze nagranie *Koncertu na 2 klawesyny C-dur* (w wersji na 2 fortepiany, smyczki i basso continuo) ukazało się w 1934 roku (solistami było brytyjskie małżeństwo Ethel Bartlett i Rae Robertson). W przypadku solowych *Fantazji i fug* łatwiej jest wyliczyć, kto ich nie grał...

Artyści występujący na koncercie „Silesii” wykazali się doskonałą znajomością współczesnej konwencji wykonywania dzieł barokowych, co zresztą jest truizmem – wszak profesor Elżbieta Stefańska uczy tego od lat w krakowskiej uczelni. Wigor, żywiołowość i wirtuozowskie zacięcie były głównymi cechami proponowanych interpretacji. Poza tym charakteryzowała je ogromna precyzja, dbałość o szczegóły i artykulacyjne i dynamiczne.

Wycieczka historyczna

Skoro mowa o renesansie dzieł Bacha, warto przypomnieć jego ważny śląski epizod. Wiąże się on z działalnością Fritza Lubricha, kapelmistrza, pedagoga i kompozytora urodzonego w Żaganiu, wykształconego w Lipsku, m.in. przez Maxa Regera, od początku XX wieku do 1945 roku związanego kolejno z Bielskiem, Wrocławiem i Katowicami. W miastach tych Lubrich działał jako organista w kościołach protestanckich, nauczał muzyki w szkołach i prowadził zespoły chóralskie – kolejno wrocławskiej Singakademii i katowickiego Meisters’chen Musikverein – towarzystwa muzycznego założonego w 1883 roku przez Meistersa (stąd nazwa, nie od słowa „mistrz”), zasłużone-

go w organizacji koncertów z udziałem najznakomitszych solistów, takich jak Eugen d’Albert, Ferruccio Busoni, Leopold Godowski, Pablo Sarasate czy Ignacy Jan Paderewski. Lubrich wykonywał ze swoim chórem dzieła najwybitniejszych kompozytorów niemieckich (i nie tylko – był także, jak powszechnie wiadomo, pierwszym katowickim wykonawcą *Stabat Mater* Szymanowskiego), sporo też sam dla niego komponował. Półwiekowa działalność towarzystwa została przedstawiona w okolicznościowym artykule Fritza Guttmanna z Bytomia ogłoszonym w 1933 roku na łamach prestiżowego lipskiego periodyku „Zeitschrift für Musik” jako „historia walczącej niemieczyny”. Lubrich nie był jednak bojownikiem narodowej idei; w sposób charakterystyczny dla swoich czasów pojmował wszakże misję niemieckiego muzyka – z muzyką swego narodu wychodził do świata, docierając i do Polski. W lutym 1928 roku wykonał z chórem Meisters’chen Musikverein *Mszę h-moll* Bacha w Warszawie (była to pierwsza prezentacja tego utworu w nadwiślańskiej stolicy). Ponownie pojawił się tam w roku 1935 w ramach skromnych polskich obchodów 250. rocznicy urodzin Bacha. Z chórem wrocławskiej Singakademii i zaproszonymi z Niemiec solistami zaprezentował – również po raz pierwszy w Warszawie – *Pasję wg św. Mateusza*. Polska krytyka należycie oceniła muzyczny dar Ślązaka. Recenzenci najpoważniejszych pism dołożyli się, by udowodnić, że mają świadomość wagi wkładu Bacha do światowego muzycznego dziedzictwa. Chwalono też kompetencje Lubricha jako chórmistrza i „niemiecką” solidność wykonania. Echa warszawskiego wydarzenia dotarły też do Niemiec. Potwierdzają one, że nie były to czasy sprzyjające pielęgnowaniu polsko-niemieckich kontaktów w kulturze. Konrad Müller tak wspominał w 1936 roku historię warszawskiego wykonania *Pasji* przez Lubricha w artykule *Polska i muzyka* opublikowanym w znanym muzycznym tygodniku „Signale für die musikalische Welt”: *Kiedy wrocławska Singakademie wykonała w 1935 roku – po raz pierwszy – Pasję według św. Mateusza w Warszawie, pewna tamtejsza gazeta przedstawiła Bacha jako „nadwornego organistę króla polskiego” (!). Tego rodzaju informacja jest charakterystyczna dla polskiej buty, która chętnie wzięłaby na własność Bacha, podobnie jak innych wielkich Niemców (Kopernika, Wita Stwosza). W rzeczywistości Polska jest uboga w twórczych uczonych i artystów, w szczególności w twórczych muzyków...*

Tamte czasy dawno minęły, a recenzji, o której pisze Müller, jak dotąd nie udało mi się odnaleźć...

MAGDALENA DZIADEK



Pomnik Henryka Sławika i Józefa Antalla odsłonięty

21 marca 2015 prezydent Węgier János Áder i prezydent Polski Bronisław Komorowski odsłoniли pomnik Henryka Sławika i Józefa Antalla, który stanął przy Międzynarodowym Centrum Kongresowym. Jest to kompozycja wykorzystująca dwie żywe brzozy i dwa równoległe mury, tworzące przestrzeń, gdzie można poznać historię bohaterów trzech narodów, polskiego, węgierskiego i żydowskiego. Ślązak

Henryk Sławik (1894-1944) i Węgier Józef Antall senior (1896-1974) podczas II wojny światowej wspólnie uratowali 5 tysięcy polskich Żydów.

„Pragnę wyrazić nadzieję, że pomnik usytuowany w tak niezwykłym miejscu, które samo w sobie jest symbolem nowych czasów i w Polsce, i tu w Katowicach, na Śląsku, będzie działał na naszą wspólną i polską, i węgierską wyobraźnię, budując dalsze zobowiązanie, aby i w przyszłości przyjaźń polsko-węgierską umacniać” – powiedział Bronisław Komorowski podczas ceremonii odsłonięcia pomnika.

Uroczystości związane z obchodami Dnia Przyjaźni Polsko-Węgierskiej w Katowicach rozpoczęły się mszą świętą w Archikatedrze Chrystusa Króla pod przewodnictwem metropolity katowickiego abp. Wiktora Skworca.

Po odsłonięciu pomnika prezydenci János Áder i Bronisław Komorowski spotkali się z dziećmi – uczestnikami III Szachowego Turnieju Przyjaźni Polsko-Węgierskiej.

Główne uroczystości Dnia Przyjaźni Polsko-Węgierskiej odbyły się w siedzibie Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia, gdzie zaproszeni goście po części oficjalnej wysłuchali koncertu pod batutą Alexandra Liebreicha, na który złożyły się utwory polskich i węgierskich kompozytorów.

Jednym z wydarzeń towarzyszących była muzyczna gala w Akademii Muzycznej, podczas której otwarta została wystawa „Soundweaving”.

W uroczystościach z okazji Dnia Przyjaźni Polsko-Węgierskiej uczestniczyli marszałek województwa śląskiego Wojciech Saługa, przewodniczący Sejmiku Grzegorz Wolnik oraz prezydent Katowic Marcin Krupa.

(wk)





Czytelnia WBP: od lewej Andrzej Straszewski Prezes Klubu „Polonia” w komitacie Fejer, Tadeusz Chrobak dyr. WBP, Janusz Wójcik dyr. departamentu kultury UMWO, dr Géza Cseby i Zoltán Bobory, podczas inauguracji spotkania „Mihály Vörösmarty in memoriam”.



Od lewej: Konsul Generalny Węgier Adrienne Körmendy, Członek Zarządu Województwa Opolskiego Grzegorz Sawicki, dyr. departamentu współpracy zagranicznej UMWO Mateusz Figiel przed koncertem galowym w Filharmonii Opolskiej.



Czytelnia WBP: na ekranie prezentacja ikonografii poświęconej Vörösmartyemu, po prawej Harry Duda stojąc czyta wiersze zainspirowane podróżą literacką do Székesfehérváru.



Opolskie obchody Dnia Przyjaźni Polsko-Węgierskiej

23 marca obchodzony jest Dzień Przyjaźni Polsko-Węgierskiej, ustanowiony przez parlamenty Polski i Węgier. Województwo Opolskie i komitat Fejer (stolica Székesfehérvár) od lat organizują tego dnia wspólne uroczystości, wieńczące kolejne etapy współpracy partnerskich regionów. W tym roku zostały zorganizowane w Opolu. W czytelni Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej odbyło się spotkanie „Mihály Vörösmarty in memoriam” – w 160. rocznicę śmierci poety i dramaturga”. Zoltán Bobory Prezes Towarzystwa Literackiego im. Vörösmartyego przedstawił postać wybitnego twórcy węgierskiego romantyzmu, orędownika niepodległości Polski. Następnie recytowano wiersze patrona wieczoru oraz współczesne z motywami polsko-węgierskimi dr. Géza Csébyego i Harrego Dudy. W Filharmonii Opolskiej zaprezentowano kulturę ludową partnerskich regionów podczas koncertu węgierskiej kapeli folkowej „Szedtevette” i zespołu tanecznego „Ikarus” oraz opolskiej grupy muzycznej „Musica Wena” i Zespołu Pieśni i Tańca „Nysa”. Podczas inauguracji koncertu Grzegorz Sawicki Członek Zarządu Województwa Opolskiego powiedział: *Warto pielęgnować przyjaźń polsko-węgierską, stanowiącą niespotykany fenomen w dziejach Europy i przekazywać ten niezwykły dar młodym pokoleniom.* Obchody Dnia Przyjaźni Polsko-Węgierskiej odbyły się pod patronatem Marszałka Województwa Opolskiego Andrzeja Buły i Prezydenta Opola Arkadiusza Wiśniewskiego, a wśród gości honorowych obecny był Konsul Generalny Węgier Adrienne Körmendy. (jw)



Mihály Vörösmarty (1800-1855)
portret autorstwa Miklósa Barabása



Koncert w FO: kapela folkowa „Szedtevette” z Székesfehérváru, pierwsza od lewej Zsófia Juhász, kierownik muzyczny zespołu.



Koncert w FO: zespół „Ikarus” z Székesfehérváru prezentuje wiązankę tańców węgierskich.



Koncert w FO: Zespół Pieśni i Tańca „Nysa” z Nysy prezentuje suitę śląską.

Michał Heller. Doctor Honoris Causa Universitatis Silesiensis. Wyd. Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2015, s. 88.

Publikacja towarzysząca uroczystości nadania przez Uniwersytet Śląski tytułu doktora honoris causa wybitnemu uczonemu, filozofowi, teologowi i kosmologowi Michałowi Hellerowi. We wstępie rektor UŚ prof. Wiesław Banyś podkreślił fakt, że po raz pierwszy w dziejach śląskiej uczelni zaszczytnym tytułem uhonorowały badacza i myśliciela aż trzy wydziały: Teologiczny, Nauk Społecznych oraz Matematyki, Fizyki i Chemii. Już sam ten fakt świadczy o rozległości zainteresowań i zakresie działalności naukowej Księdza Profesora. W laudacji prof. Bogdana Dembińskiego znaleźć można zastrzeżenie, że z konieczności autor ograniczył się jedynie do „kilku ważniejszych informacji związanych z osobą Dostojnego Doktora Honorowego” dotyczących jego poglądów naukowych. Inne kwestie rozwinęli w swoich recenzjach profesorowie Marek Biesiada, Andrzej Bronk i Janusz Dłaczego. Jest w książce także znakomity wykład Księdza Profesora *Racjonalność i sens*. Na końcu umieszczono życiorys Hellera oraz wykaz jego publikacji.

Zofia Szota: Anna Chojnacka. Fotografia. Wyd. Muzeum Historii Katowic, Katowice 2015, s. 138.

Pisałem w *Śląsku* o wystawie „Czas upłynął” zorganizowanej przez Muzeum Historii Katowic z okazji setnej rocznicy urodzin Anny Chojnackiej – Wielkiej Damy śląskiej fotografii. Uzupełnieniem tamtej ekspozycji jest właśnie ten świetnie wydany album pokazujący niemal wszystkie obszary fotograficznej eksploracji tej znakomitej artystki. Autorką obszernego wprowadzenia do tej publikacji jest Zofia Szota, która była równocześnie kuratorką wspomnianej wystawy i – co nie ulega wątpliwości – pozostaje pod urokiem dokonań Chojnackiej (całkowicie to rozumiem). Poza biogramem fotografii znajdziemy w tekście omówienia pokazywanych przez nią tematów wraz z krótkimi komentarzami. Jednak najważniejsze są w tej książce wspaniałe zdjęcia, pokazujące m.in. Katowice. Te fotografie, poza walorami artystycznymi, mają dziś także istotną wartość historyczną, ponieważ pejzaż miasta przez lata ogromnie się zmienił. Ponadto m.in. cenne portrety śląskich plastyków, cykle (w tym mój ulubiony „Złom”).

Wielka Wojna, mały region. Pierwsza wojna światowa w perspektywie górnośląskiej. Studia i szkice. Wyd. IPN – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Katowicach, Muzeum Historii Katowic, Muzeum w Gliwicach, Państwowy Instytut Naukowy – Instytut Śląski w Opolu, Katowice – Gliwice – Opole 2014, s. 192.

Tom zawiera materiały z konferencji zatytułowanej tak samo jak publikacja, zorganizowanej przez katowicki IPN i Muzeum Historii Katowic w Katowicach oraz drugiej konferencji, gliwickiej pt. „Koniec starożytności – początek nowego. Społeczeństwo Górnośląska wobec pierwszej wojny światowej (1914-1918). Źródła i metody”, którą również zorganizował IPN z Katowic przy pomocy Muzeum w Gliwicach i Państwowego Instytutu Naukowego – Instytutu Śląskiego z Opolu. Te naukowe spotkania, bardzo różnicowane tematycznie i właściwie skupiające się na zagadnieniach dość szczegółowych, uswiadamiły nam, że do dziś nie doczekaliśmy się syntetycznego opisu okresu pierwszej wojny światowej w kontekście Górnośląska. Taki mamy region, że historykom pracy nie zabraknie.

Organy na Śląsku V. [Red. Julian Gembalski]. Wyd. Akademia Muzyczna im. Karola Szymanowskiego w Katowicach, Katowice 2014, s. 520.

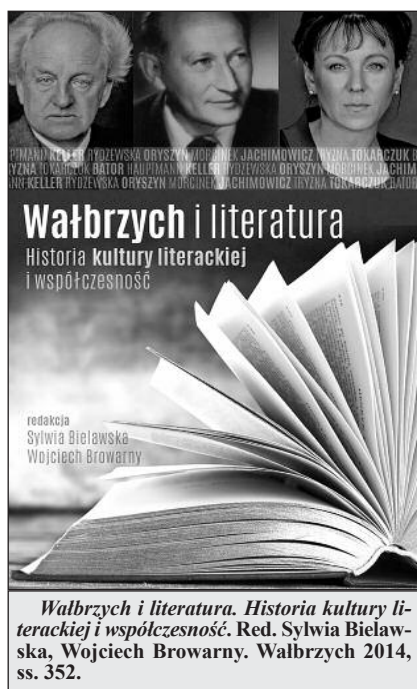
Potężna księga, która zawiera materiały z piątej już konferencji naukowej poświęconej śląskim organom. Tym razem sporo artykułów mówi o konserwacji, rewitalizacji a nawet odtwarzaniu zabytkowych instrumentów znajdujących się w naszych kościołach. I nie tylko w naszych, bo Pavel Koukal pisze o konserwacji organów w Republice Czeskiej i związanej z nią współczesną strategią oraz doświadczeniami. W publikacji znalazły się także materiały poświęcone znanym firmom organowym. Po raz pierwszy w materiałach pokonferencyjnych znalazł się tekst o fisharmoniach (tych koncertowych). Organy to nie tylko instrument nad instrumenty, który dzięki muzycznym właściwościom „zastępuje” czasem całą orkiestrę razem z chórem, ale także konstrukcja mająca własną, niepowtarzalną architekturę i będąca dziełem rzemiosła artystycznego. Dlatego dobrze, że książka jest bogato ilustrowana zdjęciami zabytkowych instrumentów oraz ich rozmaitych detali i części na co dzień niewidocznych.

Ks. Wiesław Hudek: O świętych. Felietony radio- we. Wyd. POLIHYMNIA Sp. z o.o. Lublin 2014, s. 116.

To felietony wygłaszane w cyklu „U progu dnia” w Polskim Radiu Katowice w latach 2013-2014. Poświęcone są świętym z różnych epok, od średniowiecza (nawet starożytności) do czasów współczesnych. Nie przypominają w niczym „klasycznych”, mocno sentymentalnych hagiografii, które publikowano jeszcze w połowie ubiegłego stulecia. Ksiądz Hudek syntetycznie przekazuje biogram opisywanych przez siebie postaci, czasem przytacza jakiś cytat na ich temat, koncentruje się natomiast na przesłaniu, które święci kierują do nas, współczesnych. W książce umieszczono zarówno teksty o wyniesionych kiedyś na ołtarze a dziś zapomnianych lub mało znanych, jak i tych najbardziej słynnych, czy „najnowszych” – Jan XXIII, Jan Paweł II. Jeden z felietonów poświęcony został Wojciechowi Kilarowi, choć nie toczy się jeszcze żaden proces beatyfikacyjny. Jednak w homilii pogrzebowej Mistrza nazwano „błogosławionym kompozytorem”. A ksiądz Hudek jest mocno związany z muzyką. *Śląsk* był patronem medialnym książki.

Świat naszych przodków. Tradycje wiosennego cyklu obrzędowego. [Oprac. i komentarz Agnieszka Przybyła-Dumin]. Wyd. Miejski Dom Kultury w Czechowicach-Dziedzicach, Czechowice-Dziedzice 2014, s. 646.

MDK w Czechowicach-Dziedzicach jest placówką niezwykle aktywną i ciekawą. Tu miejscowa młodzież wystawia opery, tu działa kino z ambitnymi propozycjami repertuarowymi. Tu odbywają się spotkania z ludźmi kultury i sztuki. Przy Domu działa także Koło Badaczy Kultury, które przygotowało tę obszerną publikację na temat wiosennych obrzędów. Większość z nich związana jest z rokiem liturgicznym. Poszczególne rozdziały odpowiadają więc świątecznym dniom i są zbudowane z trzech części. W pierwszej przedstawiona jest geneza oraz historia danego święta. W drugiej (dla mnie najciekawszej) opisano lokalne tradycje i zwyczaje korzystając z opowieści starszego pokolenia mieszkańców. Trzecia opowiada jak dane święto obchodzi się w innych regionach Polski, a nawet świata. Do wykonania pozostała młodym badaczom ostatnia część – obrzędy związane z latem. Gratuluję pracy i życzę powodzenia.



Wałbrzych i literatura. Historia kultury literackiej i współczesność. Red. Sylwia Bielawska, Wojciech Browarny. Wałbrzych 2014, ss. 352.

Differentia specifica Wałbrzycha

Regionalizm jako ruch kulturalny, społeczny, przybierający z czasem formy zinstytucjonalizowane, narodził się pod koniec XIX wieku we Francji. W Polsce termin „regionalizm” oraz pierwsze próby jego zdefiniowania pojawiły się w dwudziestoleciu międzywojennym za sprawą największego propagatora ruchu – Aleksandra Patkowskiego. Jego zdaniem, co wyraźnie wyartykułował w deklaracji programowej *Regionalizm polski*, działacze społeczni, nauczyciele winni odkrywać, pielęgnować wszystko, co swojskie, co świadczy o oryginalności, niepowtarzalności najbliższej konkretnej grupie ludzi ziemi. Dzięki przedsięwzięciom ukierunkowanym na tak wytyczone cele dany region, nie tylko swoim mieszkańcom, miał dać się poznać jako wyjątkowy, o dużym potencjale kulturotwórczym i gospodarczym. Odwołania do założeń sformułowanych przez Patkowskiego można odnaleźć we współczesnych dyskusjach, projektach skoncentrowanych na szeroko rozumianej „lokalności”, „peryferyjno-

ści”. Przedstawiciele różnych dyscyplin naukowych – historycy, literaturoznawcy, pedagodzy, socjologowie – dokonują redefinicji pojęcia „regionalizmu”, uwzględniając aktualne trendy, zwłaszcza w metodologii badań właściwej danej specjalności, ale nie tracąc przy tym horyzontu diachronicznego. Do tego rodzaju nowoczesnych i jednocześnie zakorzenionych we wcześniejszych badaniach prac należy zaliczyć książkę *Wałbrzych i literatura. Historia kultury literackiej i współczesność* pod red. Sylwii Bielawskiej i Wojciecha Browarnego. Redaktorzy tomu postanowili zebrać teksty, które odkryłyby na nowo, jak sami we wstępie podkreślili, *differentia specifica* Wałbrzycha. Artykuły tworzące książkę pogrupowano w trzy działy, stosując kryterium tematyczno-chronologiczne.

Pierwsza część zawiera sześć tekstów poświęconych różnym aspektom życia kulturalnego Wałbrzycha z XIX i XX w. Edward Białek bardzo interesująco omawia drogę rozwoju myśli krytycznej jednego z najważniejszych niemieckich krytyków okresu romantyzmu – Wolfganga Menzla, rodem z Wałbrzycha. Autor rozważania wzbogaca trafnie dobranymi cytatami ze wspomnień i polemik Menzla. Na temat lokalnego życia literackiego, jego osobistości z przełomu XIX i XX w. pisze Sandra Maruńska, która przypomina sylwetkę Hermanna Stehra – nauczyciela z Paszkowa, później Podgórze, autora *Der Heiligenhof*, przyjaciela Gerharta Hauptmanna. Korespondencja między pisarzami stała się kanwą rozważań o wpływie noblisty na twórczość Stehra. Trzy kolejne artykuły tematycznie dotyczą problematyki wydawniczej. Natalia Południak dokonuje analizy zawartości kalendarza regionalnego *Schlesischer Bergland-Kalender*, będącego swoistego rodzaju przewodnikiem po wszystkim, co interesowało i co powinno interesować mieszkańca ziemi wałbrzyskiej z pierwszej połowy XX w. Zagadnieniom prasoznawczym uwagę poświęca Wojciech Browarny (*Wałbrzych non-fiction? Reportaże o tematyce wałbrzyskiej na łamach tygodników „Odra” i „Nowe Sygnały”*). Jego tekst jest szczególnie ważny, ponieważ czasopisma, o których pisze, a zwłaszcza „Odra”, spełniały bardzo istotną rolę na mapie śląskiego życia literackiego i nadal czekają na pełne, monograficzne charakterystyki. Dyskusję wśród czytelników może wywołać artykuł Zbigniewa Gruszki o wałbrzyskiej książce regionalnej. Dotyka bowiem zakresu pojęcia „książka regionalna”, pojęcia współcześnie funkcjonującego w różnych kontekstach i znaczeniach w zależności od podejścia badawczego definiującego ów termin. Propozycja terminologiczna Gruszki z pewnością nie rozstrzygnie wszystkich wątpliwości, a raczej skłania do podjęcia dalszych badań. Część pierwszą tomu zamyka bardzo potrzebny, patrząc przez pryzmat tytułu

książki, tekst Sylwii Bielawskiej, prezentujący w ujęciu monograficznym historię wałbrzyskich instytucji kulturalnych w latach 1945-1989, w tym: bibliotek, czasopism, kin, stowarzyszeń, teatrów. Szkoda, że w książce nie ma rozprawy o podobnej tematyce, ale obejmującej okres sprzed zakończenia II wojny światowej, ponieważ wówczas czytelnicy mieliby okazję porównać obrazy życia literackiego Wałbrzycha przed i po 1945, roku będącym w oczywistych powodów przełomowym dla wielu miast śląskich. Cezura 1945 r. posłużyła do wydzielenia dwóch pozostałych części tomu obejmujących kwestie już *stricto* literackie.

Część środkową książki tworzą zatem artykuły, będące analizą szczegółowych zagadnień w twórczości Paula Kellera (tekst Jana Pacholskiego), Gerharta Hauptmanna (tekst Iwony Czech), Hermanna Stehra (tekst Moniki Mańczyk-Krygiel) i omówieniem listów z podróży ambasadora Stanów Zjednoczonych w Prusach Johna Quincy Adamsa (tekst Romana Macioszka) oraz śląskich legend, podań ludowych dotyczących ziemi wałbrzyskiej (tekst Artura Roberta Białkowskiego). Wszyscy wymienieni autorzy koncentrują się na obecności i sposobach kreacji Wałbrzycha i okolic, przedstawianiu motywu gór, np. w: powieści *Waldwinter* Kellera, dramacie *Woźnica Henschel* Hauptmanna, baśni *Wendelin Heinelt* Stehra, wybranych przekazach ludowych.

Tom zamyka część, w której zgromadzono prace o tekstach literackich inspirowanych historią, pejzażem ziemi wałbrzyskiej, losami jej mieszkańców, powstałych po 1945 r. Nie zaskakuje więc obecność rozważań na temat prozy Olgi Tokarczuk (teksty Jarosława Petrowicza i Darii Murlikiewicz), które wnoszą wiele cennych i oryginalnych ustaleń do bogatej już bibliografii opracowań twórczości autorki *Domu dziennego, domu nocnego*. Interesujące w tej patii książki są również artykuły: Katarzyny Berety o powieści *Victoria* Gustawa Morcinka; Jakuba Skurtysa przybliżającego poezję Mariana Jachimowicza; Beaty Rynkiewicz analizującej ważną w historii współczesnej prozy dla młodzieży powieść *Panna Nikt* Tomka Tryzny. Całość dopełniają rozprawy Katarzyny Lisowskiej o powieści Joanny Bator pt. *Ciemno, prawie noc* i Magdaleny Gołaczyńskiej przybliżającej współczesny wałbrzyski repertuar dramatyczny.

Każdy z tekstów zamieszczonych w książce *Wałbrzych i literatura* zasługuje na obszerną recenzję, ponieważ zachęcają one do dyskusji, skłaniają do przemyśleń, poszukiwań nowych, niewskazanych przez autorów, analogii, kontekstów. Z pewnością, co też przyznają redaktorzy we wstępie, książka nie zamyka podjętej tematyki, wręcz przeciwnie, inspirowane do dalszych badań nad kulturą ziemi wałbrzyskiej, nad tożsamością tego miejsca.

KATARZYNA TAŁUĆ

Pisać o Czesławie Miłoszu jest trudno. *Miłosz jak świat* – tytuł zbioru esejów Jana Błońskiego podpowiada, kim jest poeta. To „postać” i – zarazem – „przestrzeń” bez granic. Dla Krzysztofa Czyżewskiego, który swoją książkę nazwał *Miłosz – tkanka łączna*, postać noblisty stała się czynnikiem spajającym świat.

Jest to zbiór esejów o różnorodności. Objawia się ona na dwóch poziomach: pierwszy dotyczy języka, drugi – wielokulturowości świata. Czyżewski ułożył swoją książkę z prac powstałych na przestrzeni trzydziestolecia, publikowanych wcześniej i nie. Jak dowiadujemy się z noty redakcyjnej, pierwszy esej w tomie – *Wędrowny* – to „zredagowana praca magisterska (...) napisana pod kierunkiem doc. hab. Janiny Abramowskiej (...) w roku 1983”. Owo „magisterium” świeci w tomie najmocniejszym światłem, wnosi do pisania o Czesławie Miłoszu wiele świeżości. Eseista nie atakuje czytelnika polonistyczną mądrością o pocie, co więcej – nie jest on tutaj bohaterem wyłącznym. Jest nim raczej samo wędrowanie. Przeczytamy w nawiązaniu do poematu Słowackiego *Godzina myśli*: „Dla naszych rozważań (...) ważny jest ten jeden punkt na mapie świata – rozdroże, oraz sam moment wyjścia, kiedy każdy z chłopców odnajduje własną ścieżkę w strumieniu życia. Młodszy odszuka siebie w przestrzeni zamkniętej, chowając się w wieży swojego wewnętrznego świata. Podróż dana mu będzie jedynie w wyobraźni. Starszy wędrować będzie w przestrzeni otwartej, stopy ocierając o przydrożne kamienie, cierpliwie miesiąc i rok karbując na kiju pielgrzymim” (s. 20). Dalej Czyżewski pisze nie tylko o Miłoszu-pocie, ale również o jego lekturach. Za Miłoszem i z nim „wędruje” po świecie kultury i w czasie. Robinson Jeffers, św. Grzegorz z Nyssy, Søren Kierkegaard, Immanuel Kant, Salma Lagerlöf, Hermann Hesse, Józef Tischner, Friedrich Nietzsche, Friedrich Hölderin, Thomas Mayne Reid oto towarzysze tej wędrowki.

Od podróży wyobrazeniowej eseista przechodzi do jej rzeczywistej formy, w tym do wpływu historii, zawieruchy dziejowej na decyzję poety o opuszczeniu domu. Przejście między wyobrażeniowym a realnym dokonuje się niemal niezauważalnie. Nic w tym dziwnego, bo – zagłębiając się w rzeczywistość – nadal pozostajemy w lekturze, a realne wiele czerpie z wyobrazeniowego. Autor *Wędrownego* ma w sobie coś z Don Kichota, świadomie definiującego świat przy pomocy literatury. Dla Czyżewskiego podróż jest „wyciskaniem słowa-sensu z każdego doświadczonego kroku” (s. 38). Z zachłannością małego dziecka pyta on o przyczynę, cel, kształt drogi, o to jak się ją przeżywa i co z niej pozostaje. Jest to zachłanność poznania, tworzą ją wielość odniesień i kontekstów, pytanie o zakorzenienie, wykorzenienie, dom, obecność mitów. Młody eseista dotrzymuje pola wielkiemu pocie. Chary-

zma piszącego sprawia, że wczesny tekst nie przytłacza. Jakże doniośle brzmi zdania o wędrowności, nawiązujące do Kołakowskiego interpretacji Platona i jego szkoły: „Powrót do siebie jest przyswojeniem sobie świata jako własnego, zejściem z bytem”. Oto jest rzeczywiste pragnienie i jednocześnie zadanie wędrownego: „zejściem się z bytem”. A to oznacza poszukiwanie bytu z wieczną ciekawością i nienasyconym, staraniem, by dotknąć go każdym zmysłem, oswoić wyobraźnią, zobaczyć i spotkać. Tym jest zakorzenienie (...)” (s. 87-88).

Kolejne eseje pisane są już z innej perspektywy, występu konferencyjnego w Yale i spotkania naukowego w Pradze. Od razu widać ich odmienny charakter. Pierwszy został podzielony na 82 fragmenty i ukazuje wielość wymiarów dzieła i myśli Miłosza. Autor ponownie powróci tutaj do tematu domu, podróży, dzieciństwa, ptaka, jego refleksji towarzyszą bogate lektury. O ile jednak *Wędrownego* można czytać „jednym tchem”, o tyle *Amerykańskie Patmos Miłosza* powinno się czytać powoli, z zastanowieniem i przerwą. Stawia ono bowiem czytelnikowi inne wymagania. Poruszając problemy teologiczne jest bliższe *Innej wierności Miłosza*, trzeciemu esejowi zbioru, który w tym układzie staje się ich suplementem. Czyżewski napisze: „Cały *Traktat teologiczny* jest o tym, co pomiędzy; z granicy czyni przestrzeń zamieszkiwania, w której człowiek nie jest zdeterminowany trwałym rozdziałem, lecz czyni scalenie, buduje tkankę łączną, troszczy się o Jedność, wychodzi z ograniczeń podziału, czyli z „ja” (s. 130). Słowa te odnoszą się do całości, jaką tworzą trzy eseje wstępne, scalone wspólnym tytułem – *W drodze*. Otwierają one także drugą część książki, którą autor poświęca „praktykowaniu pogranicza”.

Druga mówi więc o tym, czym jest praca „pogranicznika”, tworzą ją eseje, listy oraz wywiady Czyżewskiego z Miłoszem. Mają Jaszewską i Pawłem Winiarskim. Autor tłumaczy czytelnikowi swoją ideę, swój program kulturowy pogranicza. Wątki się powtarzają, myśli są zapisywane na różne sposoby: w dialogu, opowieści. Jednych może to nużyć, innym może sprawić radość, zachęcić do podjęcia współpracy. Taki, jak się zdaje, był cel autora *Miłosza – tkanki łącznej*. Czyżewski napisał: „Ośrodek «Pogranicza» zbudowaliśmy w centrum starych Sejn, między polskim i litewskim domem kultury, w odrestaurowanych budynkach dawnej dzielnicy żydowskiej. Po epoce nacjonalizmu, wojen i panowania ustroju komunistycznego, po latach życia osobno, erozji pamięci i milczenia, zabraliśmy się do odbudowania sejneńskiej agory, przestrzeni spotkań i dialogu, zaszczepiania na nowo «tkanki łącznej» między ludźmi, pokoleniami, narodami, pomiędzy przeszłością a dniem dzisiejszym, tradycją a nowoczesnością” (s. 145). Opowieść

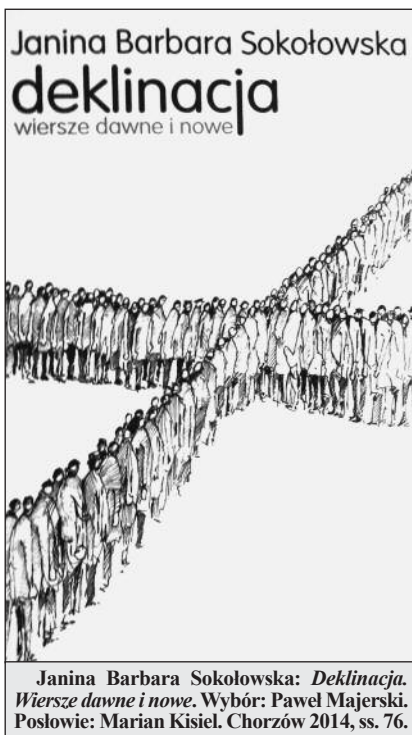


Praktykowanie mitu

o tworzeniu przestrzeni wspólnoty jest zaproszeniem do współpracy, przyjęcia i praktykowania idei pogranicza.

„Odzyskiwanie przeszłości”, „budowanie tkanki łącznej”, „odradzanie miejsca” – to zadania człowieka pogranicza. Brzące tajemniczo słowa łączą się w jedną całość za sprawą Krzysztofa Czyżewskiego, budującego w *Miłoszu – tkance łącznej* nowy mit. W liście do Czesława Miłosza napisał: „Może niepoprawnie mitologizuję, ale my potrzebujemy mitu, nowego, zapładniającego wyobraźnię i działanie” (s. 180). I może dlatego Miłosz opisany i zapisany w jego książce nie przeraża wielkością. Jest bowiem jednym z czynników spajających, podstawą budowanego przez eseistę i jego współpracowników nowego mitu człowieka pogranicza, zapraszającego do Krasnogrudy, do otwarcia na kulturą różnorodność i do wspólnego budowania „tkanki łącznej”.

EWA BARTOS



Janina Barbara Sokołowska: *Deklinacja. Wiersze dawne i nowe*. Wybór: Paweł Majerski. Posłowie: Marian Kisiel. Chorzów 2014, ss. 76.

Poetka codzienności

1. *Deklinacja* Janiny Barbary Sokołowskiej to zbiór wierszy o codzienności. Autorka zatrzymuje w nim to, co pospolite, zwykłe. Obok wielkich spraw, rozgrywających się w jej otoczeniu, dostrzega także te najmniejsze. Docenia wartość czynności najprostszycy. W lirycznych frazach umiejętnie zamyka na przykład zapach świeżego pieczywa czy rozciągniętego na sznurze prania. Pisze o pogodzie, wieczornych wiadomościach, niespełnionych marzeniach i dzieciach stawiających babki z piasku. W tej codzienności zawiera to, co przeszłe i teraźniejsze, co jest częścią jej prywatnej historii. Ale też wyraźnie oddziela świat „stary” od „nowego”. Ten ruch jest istotny, ponieważ wartościuje podmiotowe (prze) życie.

2. Przeszłość to stanie w kolejce po kilka paczek „Klubowych” (s. 47), „niepewny świt”, piosenki Kaczmarek (s. 50), ale też „twarze dziadków w małym ciepłym domu”, „bajki na dobranoc” czy „piwnica owocowych przetworów” (s. 56). To rzeczywistość z człowiekiem zaprzyjaźniona. Teraźniejszość, chociaż rozgrywa się w historycznie lepszym czasie, jest całkowitym

odwróceniem tego, co minione. I chociaż jest ponętna, rozgrywa się w „plastikowym świecie” (s. 65), pustym wewnątrz. Autorka *Ogródu Armidy* dostrzega nieautentyczność tej rzeczywistości. Jest ona ciemna, niewyraźna, rozmazana. „Ja” liryczna poszukuje prawdy w mroku, próbuje rozpoznać siebie na nieostrych czy wyblakłych zdjęciach, odczytać sny. Próby te kończą się nieraz porażką. W swojej bezradności podmiot stwierdza: „wszystko za mgłą” (s. 66), „nie ma sensu // odgadywanie znaków w mgle” (s. 32).

Sokołowska potrafi z tą prawdą się pogodzić. Nie buntuje się przeciw nowemu światu, ma bowiem świadomość, że byłaby to walka z wiatrakami. Ale widać też, że jakoś sobie radzi. Przede wszystkim nie zamyka się w sobie, wychodzi na zewnątrz, wtopia się w przestrzeń, żyje w niej. Zauważa, że nie tylko człowiek istnieje w ciemności. Przenosi on swoje bóle na całe otoczenie. W wierszu *Nie ma sensu* czytamy: „mama lubi zostawać z własnym bólem / my swój wynosimy na podwórko między kamyki szkiełka” (s. 32). Miejsce „na zewnątrz” zostaje w ten sposób zarażone cierpieniem, staje się przestrzenią, która czuje razem z człowiekiem. Jest to – zresztą – przestrzeń, która musi wpisać się w teraźniejszość, w nowoczesny świat. W tym celu zostaje przekształcona, poraniona.

Tę przemianę rzeczywistości Sokołowska sugestywnie ujęła w jednym z wierszy: „w tym miejscu była kiedyś rzeka. spychacz pracował / cały dzień równając teren pod rozbudowę fabryki / (jedynej w miasteczku)” (s. 44). Rzeka, o której mowa, to symbol dawnego świata, wówczas jeszcze prawdziwego, niezurbanizowanego. Dalej podmiot wspomina: „skakaliśmy rzucając kamienie tak dla zabawy / które mi się śnią” (s. 44).

W innym wierszu poetka przywołała zniszczoną naturę: „siedzieli na stercie ściętych drzew przeznaczonych na opał / dopalało się zielone piękno” (s. 45). To frazy melancholijne, wskrzeszające w pamięci miejsca utracone. Do poetki powracają obrazy dawne i chociaż już nieistniejące, to głęboko w niej zakorzenione. Przekształcenie (nie tylko przestrzeni) autorka *Deklinacji* nazwała w innym liryku „remontem” (s. 41). Chcąc unaoocnić do czego doprowadził ów „remont” świata, Sokołowska określiła miasta jako „skaleczone”, a wieś „pęknięte” (s. 41). To samo można powiedzieć o człowieku. Tak wygląda nowa rzeczywistość, w którą wpisuje się podmiotowe „teraz”. Nic już w tym świecie nie jest jak dawniej.

3. W utworach Janiny Barbary Sokołowskiej ciemności świata towarzyszy zima. Śnieg przykrywa rzeczywistość, zasłania jej mankamenty, ukrywa poranione i pęknięte przestrzenie. Pojawiają się w tych wierszach: „przyprószone stawy” (s. 36), „oszroniona łąka” (s. 19), „zaśnieżone ulice”. „Ja” liryczne przyzwyczajają się do nich, mówi: „oswajam zimę jak szpitalną pościel” (s. 37). Śnieg i mrok przykrywają zrąbiony świat, dają zupełnie inny ogląd rzeczywistości. Poetka zauważa jednak, że nie na długo. Prawdą znajduje sposób, aby się uwzennętrzić. Zima z ko-

lei jest żywiołem: „burza śnieżna zrówna nas” (s. 37). Doprowadzi wszystkich do jednego punktu, zapewne do śmierci.

Ale też zima się skończy, śnieg stopnieje i odsłoni nie tylko przestrzeń, ale przede wszystkim prawdę. Po pierwsze, „pęka cienki lód” (s. 37), po drugie, „na zaśnieżone ulice wyjechały plugi z piaskiem” (s. 51). Poetka wyzuwa, że pod śniegiem kryje się coś złowieszczonego. Niczym prorokini ostrzega: „może się okazać na koniec / że to miasto nie było prawdziwe”, ale też wskazuje innym, jakie to najbliższe otoczenie jest naprawdę: „spójrz ile za dekoracjami kryje się próżni” (s. 25). I o tej próżni współczesnego świata Sokołowska wiele jeszcze napisała w *Deklinacji*. Wystarczy spojrzeć na jej utwory – *Immunitet* czy *Nasza eurolica*, by przekonać się, że doskonale diagnozuje w nich nieuleczalne choroby nowoczesności.

4. *Deklinacja* jest tomem różnorodnych form. Znajdziemy w nim kilka wierszy, które pretendują do miana ekfrazy. Sokołowska inspirując dzieła Picassa (s. 21) czy Vermeera z Delft (s. 57). W sposób szczególny jednak ujmujące są tu wiersze- nekrologi czy wypominki, których bohaterami lirycznymi są najbliżsi. Poetka wspomina pobożność swojej mamy, która znaczy nożem na chlebie znak krzyża, czy ojca pracującego na budowie. Obok utworów dedykowanych ojcu i siostrze pojawiają się wiersze o umieraniu. W jednym z nich autorka stwierdziła: „nieskończoności nie ma. śmierci też” (s. 12).

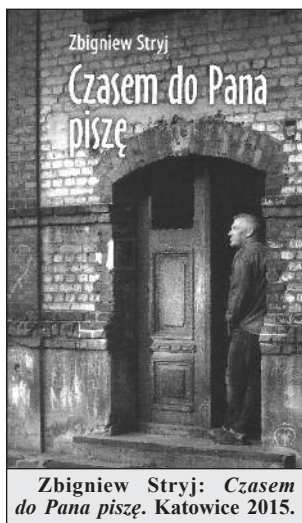
Ta prawda dotyczy jednak tylko poetów. Wiersz *W tamtą stronę*, dedykowany „śp. poetce Basi Dziekańskiej”, kończy fraza: „nie martw się: gdy umiera poeta / zaczyna żyć wiersz” (s. 23). W liryku zamykającym tom napisała: „umarłeś umarłeś śpij / ja pójdę żyć dalej” (s. 67). Poeta ma się więc lepiej. Stając z śmiercią twarzą w twarz, unieśmiertelnia się w wierszu. Dlatego warto pisać.

5. Z utworami Janiny Barbary Sokołowskiej nie można się od razu zaprzyjaźnić. Trzeba wejść z nimi w relację i co najmniej kilka razy je przepracować. Dopiero wtedy odkrywają zawarte w nich sensy. Poetyckie frazy, nierzadko pourywane, przepłatanie pauzami należy z sobą połączyć, aby wytworzyły znaczeniową całość. W wierszu *Prognoza* autorka napisała, jakby nieco usprawiedliwiając „strzępowatość” swojej mowy: „poezja mocno zgazona zdążyła i nie nadąży / w historyczne zmiany” (s. 56).

Należy jednakże zaznaczyć, że poezja Sokołowskiej – wbrew temu co napisała – doskonale dotrzymuje kroku światu. W zamieszaniu, pośpiechu, szybkiej przemianie rzeczywistości autorka *Ogródu Armidy* nie traci tego, co indywidualne i prywatne, czyli – swojego „ja”. Marian Kisiel w *Posłowie* do tomu napisał: „Wiersze autorki *Deklinacji* (...) odkrywają przed nami różne pokłady czułości, zwątpienia, rezygnacji, może melancholii. To są uczucia zespolone z imieniem (podmiotem), a nie z czasem. Czas jest, nieubłaganie nadchodzi, ostatecznie wygra z pojedynczym przypadkiem” (s. 69).

Czas wygra, ale poezja może też wygrać z czasem.

KATARZYNA NIESPOREK



Modlitwy, solilokwia, wiersze milknące

Uczciwe – to słowo, które przychodzi na myśl po przeczytaniu tomu *Czasem do Pana piszę*. Bohater wierszy Zbigniewa Stryja stara się być uczciwy, wymaga tego obrona przez autora forma – rozmów prowadzonych nie tylko z Bogiem, ale też z czytelnikiem i w końcu z samym sobą.

Rzetelność objawia się w świadomości ograniczeń: „Trudno się modlić / bo łatwo rozmawiać / nawet w oczy patrząc / omawiać warunki umowy” (***) [*Trudno się modlić...*]). Autor zdaje sobie sprawę, że wyznanie może przerodzić się w negocjację, odgrywanie szczerości, udawanie „szloch, skowytu, płaczu” (***) [*Szloch...*]), a ukorzenie się – w pychę: „lamenty układam / na własną chwałę” (***) [*Z Ciebie jestem...*]). Paradoksalnie to właśnie łatwość, z jaką przychodzi pisanie, mówienie, okazywanie „prawie świętego żalu” (***) [*Szloch...*]), jest – jak zdaje się sugerować poeta – największą przeszkodą w dotarciu do prawdy o sobie i świecie.

Może właśnie dlatego w najciekawszych utworach dochodzi do zatrzymania się między wypowiedzeniem a przemilczeniem: „nagle łzy / wróciły do oczu / jęk / zawisł na wargach // nad sobą / inaczej się płacze / to / prawdziwy ból” (***) [*Szloch...*]). Tak jest także w wierszu-apokryfie, będącym

relacją z niemożliwego spotkania Hioba z cudownie uzdrowionym: „twarzą w twarz / milczeli / wymieniali ukłony // (...) nie płakali / choć / łatwo byłoby ukryć łzy” (***) [*Hiob...*]). Figurę zamilknięcia można odebrać jako sugestię, że rozpacz, skrucha czy szczęście, by mogły zachować prawdziwość, muszą pozostać chociaż w jakimś stopniu niewysłowione.

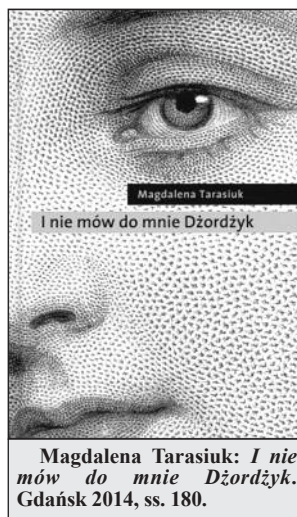
Większość zebranych w tomie utworów to teksty o tematyce religijnej, często nawiązujące wprost do Pisma Świętego. Przy tym autorowi zazwyczaj udaje się uniknąć łatwej deklaratywności, będącej słabością poezji religijnej. Podobnie jak wiersze-rozmowy nie tyle są, ile próbują stać się modlitwami – a więc wypowiedziami nieznaczonymi fałszem: „cudu rozmowy prawdziwej / modlitwy mojej / czekam” (***) [*Trudno się modlić...*]), tak i ich bohater ukazany jest jako ktoś, kto nieustannie dąży do bycia człowiekiem wiary: „blisko / wciąż nie znaczy z Tobą” (***) [*Z Ciebie jestem...*]).

Proces zbliżania się do Boga chyba najpełniej przedstawiony został w poemacie *Modlitwa o odnalezienie*, będącym monologiem (stylizowanym chwilami na pijacki słowotok) bohatera zmagającego się ze słabościami i próbującego pogodzić się z sobą widzianym ostro, na trzeźwo, bez znieczulenia. W *Modlitwie o odnalezienie* autor odszedł od powściągliwości i kondensacji sensów cechującej inne utwory. Niektóre obrazy („noc / kurtyzana ślepa i głucha”) i miejscami zbyt ekspresyjny ton („wrzeszczy zachrypla hołota / Golgota! Golgota! Golgota!”) mogą razić przerysowaniem.

Czasem do Pana piszę to szósty tomik Stryja i trzeci, w którym wierszom towarzyszą fotografie Arkadiusza Goli. Ascetyczne, czarno-białe zdjęcia przedstawiające okna w śląskich domach: otwarte z koldrami i poduszkami na parapecie, zamurowane, porzucone wśród gruzu współgrają ze zdyscyplinowanymi i oszczędzonymi tekstami.

Można by spróbować wskazać miejsce twórczości Zbigniewa Stryja na tle współczesnej poezji religijnej. Chyba najbliższy mu do tych poetów, którzy o wierze piszą jako o zmaganiu, bardziej niepokoju niż pewności (np. Tadeusz Dąbrowski czy Krzysztof Koehler). Jednak wiersze Stryja również czytane osobno są ciekawe i wiarygodne.

JAN BARON



Bułki, mleko, miłość

Nie potrafię pisać o miłości. Przecież nie wymyślę nowej, oryginalnej fabuły, bo wszystko na ten temat zostało już napisane”. Te słowa, wygłoszone przez główną bohaterkę na początku książki Magdaleny Tarasiuk pt. *I nie mów do mnie Dżordżyk*, mam wciąż w głowie podczas czytania powieści. Wskakują jak Filip w najmniej oczekiwanych miejscach... No bo niby *Dżordżyk* jest o pisaniu książki na zamówienie, niby jest o rozterkach jej autorów, Misi i Jerzego, niby jest o wczoraj i o dziś. Czasem o życiu dzieci, psów, literatów, miasta, a nawet życia po życiu, co pięknie pokazuje spacer Misi pomiędzy powązkowskimi pomnikami, tych znanych i cenionych przez nas Twórców. A przecież ta książka to nieustanny dialog dwojga dojrzałych ludzi, których każde słowo przybliży, zszywa, skleja, jak fleczek z obcasem – może już kiedyś starty, a teraz nabierający nowego błysku, mocy, dźwięku z każdym krokiem. Wszystko tu jest tem i pretekstem do wzajemnego ponownego poznania i zbliżenia. Do rozmowy, która ma wielką moc sprawczą. Jak pisze bohaterka wykreowana przez wymyśloną przez Magdaleny Tarasiuk pisarkę: „Wierzę w słowo (...), to najpodlejszy manipulator. I najcudniejszy feromon. Ratuje

i zabija. Podnieca i doprowadza do depresji”. I jeszcze: „Działają (listy, rozmowy, maile) jak mocne ziolo w dobrym gatunku. (...) stają się pokarmem, pieczęcią, ratunkiem”.

Niby nic nowego – młodzieńcza fascynacja wraca po latach dojrzałym uczuciem. Niby nic odkrywczego – już Cyrano de Bergerac znał moc słowa i wykorzystywał ją w celu wzniecania żaru w ukochniej. Ale on ukrywał się w słowach, a w książce Tarasiuk słowa służą odkrywaniu, obnażaniu siebie „do kości”. Tak łatwo to zrobić, ubierając swoich bohaterów we własne strachy, wahania i oczekiwania. Bo, jak u Cyrano, ciężko byłoby powiedzieć bohaterom *Dżordżyka* własnymi słowami, bez „pośrednictwa” postaci z pisanej przez nich książki – „kocham”. Trudno byłoby, bez projekcji swoich uczuć na tych postaciach, rozemnać się we własnej duszy i zakamarkach serca. No cóż, zmieniają się epoki, bohaterowie, *entourage*, a słowo pozostaje kluczem do bliskości, miłości, wzajemnego poznawania się, smakowania, obdarowywania, tropienia i zdobywania.

Czytanie książki Tarasiuk to duża frajda i przygoda, bo jest to powieść niejednolita. Trzeba się poddać i nadążyć za wartkim językiem i bogactwem obrazów, smakować językowe zabawy, dowcipy, dywagacje, wtręty, migawki ze wspomnień i z codzienności bohaterów. Wszystko to pokazuje jak ciepłe może być życie, mimo swoich ciemniejszych uliczek. Jak pulsuje w nim światło. I nie ma co zakładać, że może to już zmierzch, kiedy czytasz zadziorne zwierzenia bohaterki „książki w książce”, Kaliny, kobiety w wieku co najmniej średnim: „Jak chcę kochać, to zdejmuję ciuchy, jak chcę spać, zamykam oczy itd., itd. A teraz muszę iść po bułki i mleko”.

Bułki, mleko, miłość. Proste, prawda? Proste w książce pisanej przez bohaterów *Dżordżyka*, Misię i Jerzego. A w ich rzeczywistości skomplikowane, jak u każdego i w każdym wieku. Tak w szalonym młodzieńczym uczuciu, jak i w odnalezionych po latach sercowych „lotach”. Kto powiedział, że dorosłe dzieci ułatwiają rodzicom decyzje? Nikt ich nikomu nie ułatwia. Trzeba samemu dokopać się do swojej autostrady, do swoich snów i słoneczników. I o tym jest ta książka.

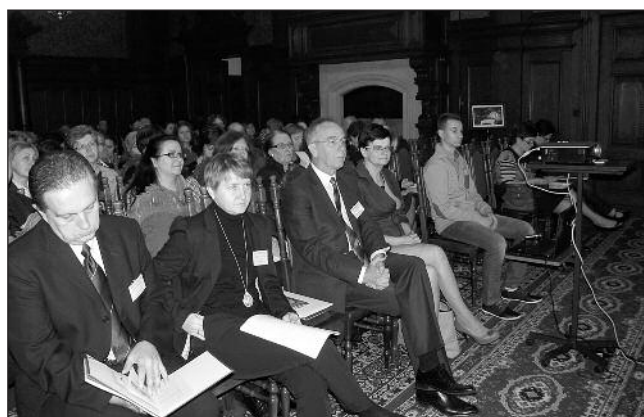
ROMA JEGOR

Wkład duchowieństwa w rozwój kultury i literatury na Śląsku – to temat VI Powiatowej Konferencji Regionalnej dla bibliotekarzy, nauczycieli i regionalistów. Na miejsce symposium główny organizator – Powiatowa Biblioteka Publiczna w Gliwicach z siedzibą w Pyskowicach – nie bez powodu ponownie wybrał gościnne progi Ośrodka Edukacyjno-Formacyjnego Diecezji Gliwickiej w Pławniowicach, mieszczącego się w dziewiętnastowiecznym pałacu Ballestremów. Bowiernie wyłącznie tu, w pięknej pałacowej kaplicy, mógł odbyć się wyjątkowy koncert organowy w wykonaniu prof. Juliana Gembałskiego, wzbogacający spotkanie. Konferencji, zorganizowanej 16 października ubiegłego roku, patronowali: starosta gliwicki Michał Nieszporek oraz biskup gliwicki Jan Kopic, a także „Wiadomości Powiatu Gliwickiego”.

Celem obrad było przedstawienie sylwetek duchownych, zarówno katolickich, jak i protestanckich, którzy swoją działalnością i twórczością znacznie przyczynili się do rozwoju kultury i literatury na Śląsku. Wybór postaci zasłużonych dla regionu, a także dobór prelegentów, którzy zechcieli przyjąć zaproszenie do udziału w naszej konferencji, umożliwiły poznanie niewątpliwie mało znanych obszarów w dziejach literatury śląskiej, będącej istotnym ogniwem regionalnej kultury.

Wykład inauguracyjny wygłosiła dr hab. Katarzyna Tałuc z Uniwersytetu Śląskiego. W swoim referacie *Duchowieństwo katolickie i protestanckie a kultura na Śląsku* zaprezentowała najważniejsze momenty w historii ziem śląskich w czasach nowożytnych, kiedy to głównie duchowieństwo wyznaczało kierunki i tendencje rozwoju kulturalnego.

Jednym z cenniejszych klejnotów skarbcza kultury tworzonej na Śląsku w XVII wieku była niewątpliwie twórczość Johanna Schefflera (1624–1677), zwanego Aniołem Ślązakiem. Jego biografie i dzieła – ze szczególnym uwzględnieniem tych wątków, które zachowały do dziś stosunkowo dużą żywotność – przedstawił w referacie *Trwale dziedzictwo Angelusa Silesiusa* ks. dr hab. Marcin Worbs z Uniwersytetu Opolskiego. Dr Izabela Kaczmarzyk z Akademii Ignatianum w Krakowie w referacie *Ślązakiem będąc, Ślązakiem się akomoduje. Twórczość Adama Gdacjusza jako zwierciadło siedemnastowiecznej śląskiej rzeczywistości kulturowej* przybliżyła uczestnikom konferencji kazania „kluczborskiego farorza” Adama Gdacjusza (ok. 1610–1688), do których sięgają po dziś dzień religio-



W konferencji uczestniczyli znawcy przedmiotu, bibliotekarze, a także osoby zainteresowane kulturą Śląska

Powiatowa Biblioteka Publiczna w Gliwicach

Spotkanie bibliotekarzy, nauczycieli i regionalistów

znawcy, językoznawcy, badacze retoryki, historycy literatury i miłośnicy lokalnej historii. Dyrektor Książnicy Cieszyńskiej Krzysztof Szelong zaprezentował postać ks. Leopolda Szersznika (1747–1814), bibliotekarza, bibliofila i wielkiego cieszyńskiego reformatora, któremu zapóźnione, prowincjonalne wówczas miasteczko zawdzięcza swój awans do pozycji „śląskich Aten”. Z ogromnym zaciekawieniem uczestnicy konferencji wysłuchali referatu prof. zw. dr. hab. Jacka Lyszczyny z Uniwersytetu Śląskiego, który scharakteryzował osobę wielkiego śląskiego poety i podróżnika ks. Antoniego Stabika (1807–1887), orędownika praw narodowych i językowych ludu śląskiego. Przedpołudniowy panel wykładów zakończyła prezentacja

lic Beaty i Marcina Grochłów zakończyły konferencję. Tę publikację i inne wydawnictwa regionalne można było nabyć na stoiskach Centrum Kultury „Zamek w Toszku” i agencji reklamowo-wydawniczej „Vectra”.

Na uczestników czekała jeszcze jedna atrakcja – zwiedzanie pałacu z przewodnikiem, w którego wcielił się ks. dr Krystian Worbs, dyrektor Ośrodka Edukacyjno-Formacyjnego Diecezji Gliwickiej w Pławniowicach.

Powiatowa Biblioteka Publiczna w Gliwicach z siedzibą w Pyskowicach (organizująca konferencję we współpracy z Gminną Biblioteką Publiczną w Rudzińcu i przy wsparciu finansowym Starostwa Powiatowego w Gliwicach oraz Zarządu Oddziału Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich w Katowicach) ma powody do satysfakcji, ponieważ spotkanie naukowe – jak zapewniali uczestnicy – było owocne i stanowiło inspirację do badań nad śląskim dziedzictwem kulturowym.

Mało znanych, aczkolwiek niezwykle interesujących zagadnień śląskiej kultury i literatury jest jeszcze wiele. Przed Powiatową Biblioteką w Gliwicach kolejna (zaplanowana na jesień tego roku) konferencja regionalna, na którą już dziś zapraszamy.



Spotkanie uświetnił koncert organowy prof. Juliana Gembałskiego

Fot. Grażyna Dittrich

Fot. ks. Krystian Worbs

Piąty tom cyklu „Duchy wojny” Alojzego Łyski, zatytułowany „W udręce nadziei. Wspomnienia Wichy Ochmanowej 1944-1966”, wydany w roku 2014 w Cieszynie, jest przejmującą opowieścią o losach wdów po poległych Górnoszlązakach, wcielonych w szeregi Wehrmachtu. Autor, urodzony w roku 1942 w Bojszowach na ziemi pszczyńskiej, doskonale w naszym regionie znany pisarz, publicysta, społecznik i animator kultury, syn jednej z nich, ukazuje udrękę oczekiwania na powrót męża, kumulującą się w słowach rozdzierającej modlitwy: „Nie opuścisz nos, Matko Udrynczonych! Niy opuścisz. Pomogęj nom znosić cliwota” i spraw „żeby sie ta powierucha jak nojpryndzy skończyła”.

Jak widać, książka napisana jest gwara, a *cliwota* „tęsknota” i *powierucha* „zawierucha”, wykorzystane przeze mnie w tytule dzisiejszego odcinka, kumulujące treścią istotę całej opowieści, to słowa zaczerpnięte z jakże przepastnych złóż leksykalnych gwary bojszowskiej, po które Alojzy Łysko sięga i z miłością, i z literackim talentem.

Do tych dwóch rzeczowników można dołączyć jeszcze co niemiara, a każdy z nich dźwięczy nie tylko melodią gwarową, ale i jakąś szeroko pojętą poetyckością: *obdol* („Jich myśli uciykły kajś daleko w mglisty obdol”), *bojoneczek* („Tomek, ty bojoneczku jedyn!”), *biegoniok* („Stary Losko był gminnym biegoniokiym”), *piyknota* („Nic ino klynknąć i dziynkować za ta piyknota świata”), *won* („Aleś narobiła wonu tym kołoczmy!”), „Żeby tak tyn won zalecioł kaj do naszych chłopców i przywiód jich do dom, choćby ino na te świynta”), *pogodka* („Klepoł długi litanije pogodek, jakich sie łod nij nauczył”), *ciyżoba* („Jak przyjdzie kaj kopać w szczerym polu – ciyżoba to żodno”), *oblycz* („Nojwiyncyj w piyknym oblyczu babów szło, kiere sie nagodać nij poradziły”), *powicher* („Co tyż to wyrobio tyn powicher? Jeszcze nom ta buda rozwali!”), „Istny powicher z tego synczyska. Wszyndy go pełno”), *cicidelko* („Miała przywiyż maszkiety i roztomajte cicidelka na krizbau”), *jaśla* („Koń mioł co przegryżć w żłobie i w jaślach”), *zociągaczka* („Coś kłupie do okna. Bez strachu odchyliłach trocha zociągaczka”), *zygarnik* („Naprawy niy poradza sie propośić zygarnika”), *szychciorz* („Kole trzecij przyjechali moji szychciorze – Ludwik i synek”), *potucha* („Młodym lepij niy dować potuchy, bo mogom sie zbestwić”), *hajok*, *napastliwiec* („Wiy, że mój synek to żodyn hajok ani napastliwiec”), *zażartek* („Hajok i zażartek – niy było dnia, żeby komu niy wyzwyrtoł”), *siup* („Nowy siup chłopstwa mo iść z wiosny na wojna”).

Dopełnić warto ten rejestr takimi jeszcze charakterystycznymi dla gwar śląskich rzeczownikami, jak *placzki* „łzy”, *cimok* „ciemność, zmierzch”, *drach* „przenosińie i żartobliwiec o dziecku; łobuz, urwis” (także „latawiec”, „smok”), *zmiierzluch* „człowiek zmierzły, czyli marudny, nudny, przykry”, *kluka* „uchwyt przy kołowrotku u studni”, „drążek przy studni do wyciągania wody”, *bebok* „mało rozgarnięty, ślamazara”, *mrokierz* „chmura deszczowa”, *plaskiyrz* „pęcherz na ręce, na nodze”, *stryk* „stryj”, *igraczka*, *bawidelko* „zabawka”.

Śląska ojczyzna polszczyzna



JAN MIODEK

Cliwota w czas powieruchy

Przywołanej w tytule *cliwocie* „tęsknocie” towarzyszą w książce Łyski czasowniki *cliwić*, *nacliwić* („Co jo sie nacliwia, naszukom myśłami, w kierej stronie świata sie obrocoćcie, czyście cali i zdrowi, czy życie”) oraz przymiotnik i przysłówek *cliwy*, *cliwo* („Niyroz ogromnie cliwo było za tobom”).

Dosadnością, ekspresją, jak również różnorodnością przedrostków i przyrostków różniących się od odpowiedników polszczyzny ogólnej odznaczają się i takie czasowniki, jak *wybzdyknąć* („Edek też kajś wybzdyknon ku kolegom”), *uskargować się* („Tak sie to staro Ochmanka uskargowali, jak siedzieli zapłakani przy oknie”), *zetwać* („Jeszcze trocha zetwo, zanim bolszewiki znojdom sie nad Wisłom”), *polżyć* („Podoba ino zima polży, pójmy jak jedyn do ciepania okopów”), *napować* („Ruszył do stajni, jakby konie chcioł napować”), *zaprzec* („Dźwirzi do stajni były zaparte”), *wyzwyrtać* (p. wyżej: „Hajok i zażartek – niy było dnia, żeby komu niy wyzwyrtoł”), *okludzić*, *ope-*

dzieć („Mamo, dejcie mi to opedzić tak, jak mi to Tomek okludził”), „Wszystko jim to okludź, co cie spotkało”), *zbajstłować* („Jakimś kunstym zbajstłowoł se radio i co jakiś czas słuchol go, żeby sie dowiedzieć coś prowdy o wojinie”), *tromfnąć* („Jo mom robota, rodzina i chca mieć frajno głowa – tromfnon odrodkowi Tomek”), *przychaltować* („Przychaltowol kołom, żeby sie od niego odklejić”), *przykwolać* („Wto niy melduje – przykwolo, a dlo takich, wiysz kaj jest miejsce?”), *gorać* („Gorało wrasklawym ogniy”), *przeblyć się* („Po chwili niebo już sie przebłoko na czysto czyrwny kolor”), *zaklechtać się* („Wiyisz, chciałabych sie dzisio zaklechtać do kościoła”), *zasmyczyć się* („Niy starej sie, jakoś sie zasmycza”), *beresić* („Dzisio przy świątecznym obiedzie Marta zacza spominać stare dzieje. Żodyn ji niy beresił, bo kożdemu było miło słuchać o naszych chłopach”), *wrazować* („Jo szła za nim i wrązowała do wiosynnej ziymi krzyżyczki”), *opytać się* („Pójda sie opytać... Może sie coś dowiyom o naszych”), *krokać* („Neszka niy myszkała daleko, pora minut spokojnego krokano”), *rezkierować*, *dziczyc* („W tej cizykij robocie mgą dziynkować Bogu, że rezkieruje nimi ksiądz, a niy jaki esok. Niy dziczy jich przy kopaniu, do spokojnie pojeść, trocha dychnońć”), *zwylynkać się* („Zwylynkano do żywego, uciykła zech do dom”), *ciuchtać* („Baby coś ciuchtajom pod nosami”), *spozorować* („On mie też sapozorowol, ale niy odskoczył, niy opuścił gardiny”), *wyzdradzić* („Niych teraz Alojza wto inny wyzdradzi – bydzie na mie”), *napochoać się* („Już przestoł gruchać, już sie napochol”), *spatrzyć* („A waszej teściowej spatrzalach maść na te schorzałe nogi”), *usiłować*, *przeposłuchać* („Niyroz z bólu tak usiłujom, że tego przeposłuchać niy idzie”), *upłakiwać* („Matka upłakiwali cicho”), *pozrobić* („Roz dwa pozrobiol i na wieczór kaś polecioł ku kolegom”), *przegodać* („No, naręście kuchnia przegodała!”), *wyrychlić się* („Babko, jo mom! – wyrychlił sie Lojzik”), *gibać się* („Gibejcie sie! – na koniec tej nerwowej godki brat ponoglił”), *wyrządzać* („Już sie niyjeden nadzioł, jak mu wyrządzoł”), *przykwolić* („Mie też jest jakoś obco, Matko – przykwoliłach babce”), *wypśmić się* („Na tych resztkach kuchynnych zech sie tak wypśmił”), *przebrzydzać* („Widza to dobrze u niego i mu niy przebrzydnom, broń Boże”).

I wreszcie moja ulubiona śląska kategoria gramatyczna – przymiotniki: *czuchraty* („Czuchrate dymby”), *okroppecny* („Okroppecny zmiierzluch”), *wrasklawy* („Gorało wrasklawym ogniy”), *roztoliczny* („Dalić jednak dumać niy dały mi roztoliczne farby nieba”), *uczynliwy* („Wyngła mi nazbiyroł na hołdzie uczynliwy Potempa”), „Jest raczyj spokojny, uczynliwy i do zgody”), *majerantny* („Mój kochany synu, jużes majerantny”).

Pozwoliłem w dzisiejszym odcinku tym wszystkim słowom wybrzmieć, zanurzając je w składniowy kontekst, w pewnym stopniu przybliżający czytelnikom tonację uczuciową dokonania Alojzego Łyski. Będzie ono miało w śląskim piśmiennictwie przynależne jej bardzo wysokie miejsce, bo jego lektura wywołuje doznania po ludzku przejmujące.

Muzeum Miejskie w Tychach przygotowuje wystawę o Kresowianach

W maju 2015 roku w Muzeum Miejskim w Tychach zostanie otwarta wystawa poświęcona Kresowianom, którzy po II wojnie światowej osiedlili się w Tychach. Jak mówią pracownicy muzeum, decydując się na przygotowanie tej wystawy mają świadomość, jak temat ten jest bliski wielu tyszanom i jak wiele emocji może wzbudzić. Działające w Tychach Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich oraz Związek Sybiraków dbają o pamięć o rodzimjej ziemi, tragicznych wydarzeniach z lat II wojny światowej, wywózkach w głąb Rosji oraz tak zwanej repatriacji.

Muzeum Miejskie w Tychach z związku z przygotowaniem wystawy poszukuje dokumentów, zdjęć, pamiątek rodzinnych, dewocjonalistów i innych przedmiotów przywiezionych przez Kresowian do Tychów. Na wystawie zostaną również pokazane zdjęcia i dokumenty pochodzące z okresu bezpośrednio po przybyciu do Polski (m.in. karty repatriacyjne, dokumenty przydziału mieszkania, zdjęcia z miasteczka barakowego w Tychach, w którym część rodzin przebywała w oczekiwaniu na przydział mieszkania).

Jak informuje Muzeum, obiekty wypożyczone na wystawę zostaną zwrócone po jej zakończeniu (wernisaż odbędzie się w maju 2015 roku, demontaż wystawy we wrześniu 2015 roku). Każde wypożyczenie będzie potwierdzone dokumentem sporządzonym w muzeum z informacją o terminie zwrotu obiektów.

Muzeum Miejskie w Tychach jest zainteresowane również przyjęciem obiektów do własnych zbiorów oraz, w przypadku dużej ich wartości dla historii miasta, również ich zakupem. Czasu zostało niezbyt dużo. Muzeum zwraca się z apelem nie tylko do mieszkańców Tychów, ale także do osób dysponujących takimi obiektami lub dokumentami: „Dzięki Państwa pomocy będziemy mogli pokazać historię Kresowian, którzy osiedlili się w Tychach”.

Osoby mogące pomóc Muzeum w przygotowaniu wystawy proszone są o kontakt z Agnieszką Ociepą-Weiss, Dział Historii Miasta Muzeum Miejskiego w Tychach, a.ociepa@muzeum.tychy.pl, tel. 32 327 18 21 wew. 30

WIESŁAWA KONOPELSKA

KATOWICE NOTATNIK KULTURALNY

„Górecki/Aukso”

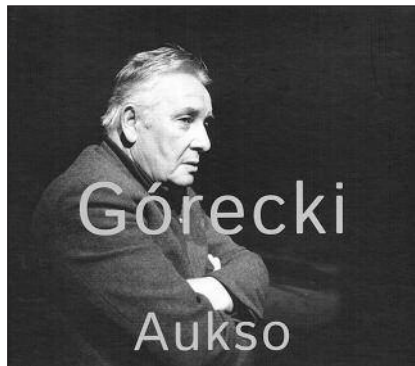
Druga płyta z serii Mistrzowie Muzyki. Po wybitnej interpretacji utworów Wojciecha Kilara, Orkiestra AUKSO pod kierunkiem Marka Mosia zmierzyła się z twórczością Henryka Mikołaja Góreckiego.

Płyta, wydana przez Instytucję Kultury Katowice – Miasto Ogrodów, zawiera cztery utwory kameralne kompozytora: Pieśni o radości i rytmie op. 7, Trzy utwory w dawnym stylu, Koncert na klawesyn i orkiestrę smyczkową op. 40 oraz Małe requiem dla pewnej polki op. 66.

Choć to tylko wycinek z jego bogatej spuścizny, wszystkie są ważnymi etapami w rozwoju jego muzyki. Pieśni o młodości i rytmie to jego młodzieńcze, awangardowe dzieło jeszcze z lat 50. Skomponowane prawie dekadę później Trzy utwory w dawnym stylu są zaskakującym zwrotem i sięgnięciem do muzyki dawnej. Koncert na klawesyn i orkiestrę z 1980 roku jest powrotem do muzyki czysto instrumentalnej po latach komponowania utworów wokalnoinstrumentalnych. Oba utwory do dziś są jednymi z najbardziej popularnych dzieł Henryka Mikołaja Góreckiego. Nie inaczej jest z Małym requiem dla pewnej polki, które powstało w szczytowym okresie popularności kompozytora, po światowym sukcesie jego III Symfonii.

W nagraniu płyty, obok Orkiestry Kameralnej Miasta Tychy AUKSO, wzięli udział znakomici soliści. Na fortepianie gra Anna Górecka oraz Joanna Galon-Frant, na klawesynie słuchamy Marka Toporowskiego.

Marek Moś o repertuarze płyty: „Do muzyki kameralnej Henryka Mikołaja Gó-



reckiego mam specjalny stosunek, bo zaczęłam ją grać jeszcze w Kwartecie Śląskim, a więc była w moim życiu pierwsza, przed utworami symfonicznymi. To, co przeżywałem grając Sonaty czy Kwartety smyczkowe Góreckiego, pomogło mi w zrozumieniu całej jego muzyki. Uważam utwory kameralne Góreckiego za równie głębokie wypowiedzi, jak jego symfonie. Szczególnie głęboką wypowiedzią kompozytora, i bardzo mi bliską, jest Małe requiem. Zauroczony jestem także Pieśniami o radości i rytmie, siłą tego utworu i barwną instrumentacją. To utwór nieczęsto wykonywany, który mimo wieku brzmi świeżo i dynamicznie.”

Koncert promujący nową płytę Orkiestry Kameralnej Miasta Tychy AUKSO pod dyktando Marka Mosia odbył się 27 marca w Sali koncertowej NOSPR. W programie znalazły się kompozycje Henryka Mikołaja Góreckiego Trzy utwory w dawnym stylu oraz Koncert na fortepian i orkiestrę smyczkową op. 40 w wykonaniu Anny Góreckiej a także Serenada na orkiestrę smyczkową op. 48 Piotra Czajkowskiego.

Gościem specjalnym koncertu była żona Kompozytora Jadwiga Górecka.

Organizatorem koncertu była Instytucja Kultury Katowice Miasto ogrodów.

Konkurs kompozytorski rozstrzygnięty

25 marca jury konkursu na hejnał i zawołanie Muzeum Śląskiego w Katowicach wyłoniło zwycięskie kompozycje. Po burzliwych obradach wybrano utwory, które odpowiadały wymaganiom konkursowym i ze względu na swoje walory artystyczne oraz brzmienie zyskały największą przychylność komisji.

Członkowie jury – Izabela Kosowska, dyrektor Centrum Kultury Katowice im. Krystyny Bochenek, Adam Wesołowski, dyrektor generalny Międzynarodowego Festiwalu im. Grzegorza Gerwazego Gorczyckiego, Adam Godziek, organizator międzynarodowych wydarzeń muzycznych oraz Beata Bieniek, kierownik Działu Promocji Muzeum Śląskiego i Adam Kowalski, dyrektor Centrum Scenografii Polskiej Oddziału Muzeum Śląskiego, pod przewodnictwem Joanny Wnuk-Nazarowej, dyrektor naczelnej i programowej Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia w Katowicach – spośród 35 poprawnie zgłoszonych pod względem formalnym utworów za najlepszy uznali hejnał autorstwa Joanny Stramik.

Utwór, w opinii osób oceniających, wyróżnia się rytmem i melodią o archetypicznym charakterze czytelnym dla każdego Europejczyka. Symbolizuje jedność, braterstwo i zachętę do współdziałania, wpisując Śląsk w ponadregionalną wspólnotę. Kompozycja zostanie wykonana po raz pierwszy z wieży wyciągowej szybu „Warszawa” podczas

Jednym zdaniem

■ Chór i orkiestra symfoniczna Akademii Muzycznej w Katowicach oraz pianista Piotr Salajczyk wykonali podczas koncertu poświęconego pamięci Karola Szymanowskiego jego IV symfonię koncertującą op. 60 oraz Igora Strawińskiego Symfonię psalmów.

■ Na siedemnaste „Wiosenne” spotkanie oraz promocyjny koncert Angeliki Szepiszczak, które odbyły się w ramach cyklu „Przyjaciele Barbary i Stanisława” zapraszało Muzeum Historii Katowic.

■ Muzeum w Chorzowie zapraszało na „Niedzię z Chopiniem”, a wykonawcami koncertu byli Anna Leśniewska – sopran i Mateusz Lasatowicz – fortepian.

■ Z okazji 330. rocznicy urodzin Jana Sebastiana Bacha Instytucja Promocji i Upowszechniania Kultury „Silesia” zorganizowała koncerty: w Akademii Muzycznej w Katowicach (wystąpili Elżbie-

ta Stefańska – klawesyn, Mariko Kato – klawesyn, Tomasz Potaczek – flet traverso, Anna Sliwa – skrzypce barokowe, Maciej Wulw – skrzypce barokowe, Elżbieta Górka – altówka barokowa i Konrad Górka – wiolonczela barokowa) oraz w Fili „Dąb” Miejskiego Domu Kultury „Koszutka” odbył się koncert w cyklu „Przy kawie o Bachu”, podczas którego wystąpili Elżbieta Grodzka-Łopuszyńska – sopran, Benon Maliszewski – baryton i Wojciech Stysz – fortepian i klawesyn.

■ Również w Muzeum w Chorzowie odbył się wykład pt. „Granice historii – historia bez granic” wygłoszony przez dr. Jacka Kurka.

■ Instytucja Promocji i Upowszechniania Muzyki „Silesia” zorganizowała w Bibliotece Śląskiej koncert „Muzyka na dwa fortepiany” z udziałem pianistów Darii Żurawlowej i Arnolda Gniwka.

uroczystości otwarcia nowej siedziby Muzeum Śląskiego.

Wśród zawołań muzycznych, czyli krótkich, maksymalnie 5-sekundowych sygnałów, najlepszym zdaniem jury okazał się utwór autorstwa Aleksandra Hanslika. „To oryginalne połączenie archaizującej harmonii i faktury z bezpretensjonalną melodią – otwartą, zapraszającą do spotkania” – orzekli członkowie komisji. Inspiracją do wzięcia udziału w konkursie Muzeum Śląskiego była dla autora postać jego dziadka, Pawła Hanslika, działacza plebiscytowego i bliskiego współpracownika Wojciecha Korfatego, z którym założył pierwszą polską gazetę na Śląsku („Górnoślązak”).

Joanna Stramik jest absolwentką Wydziału Nauk Ekonomicznych Politechniki Koszalińskiej. Uwielbia muzykę (zwłaszcza słuchanie, śpiewanie i kolekcjonowanie ulubionych utworów). Pasją tą zaraziła się od siostry i szwagra, którzy zajmują się muzyką zawodowo.

Aleksander Hanslik jest uczniem prof. Antoniego Szafranka, twórcy rybnickiej Szkoły Muzycznej, absolwentem Wydziału Automatyki i Informatyki na Politechnice Śląskiej i Uniwersytetu Newcastle (Wielka Brytania). Z muzyką związany jest od dzieciństwa poprzez swojego ojca, który był miłośnikiem tej dziedziny sztuki oraz przyjacielem wielu znanych śląskich muzyków. Obecnie grywa dla przyjemności z przyjaciółmi z Akademii Muzycznej.

Kształt rzeczy: lecture performance

Centrum Scenografii Polskiej Oddział Muzeum Śląskiego zaprasza do udziału w niezwykłym połączeniu wykładu, choreografii oraz performance’u, który odbył się 19 marca w przestrzeniach wystawienniczych nowej siedziby muzeum. Projekt z cyklu Mitologie Industrialnej Przestrzeni: „Kształt rzeczy” realizowany jest w ramach tegorocznej, III edycji Festiwalu Nowej Scenografii (21–27 września 2015 r.) organizowanej wspólnie z Teatrem Śląskim im. St. Wyspiańskiego oraz Instytucją Filmową Silesia Film.

„Kształt rzeczy” to opowieść o węglu i porcelanie z perspektywy kobiety lub kobiecie dedykowana. Żeńska część procesu technologicznego, to kobiece trybiki w maszynie produkcyjnej. Miejsce pracy robotnic to KWK „Katowice” i Fabryki Porcelany „Giesche”, Porcelany Śląskiej. Przedsięwzięcie z pogranicza scenografii, pracy naukowej, choreografii współczesnej, filmu i działań społecznych.

Projekt zakłada zestawienie ze sobą planów obu zakładów pracy i przyjrzenie się temu, w jaki sposób te przestrzenie były generowane przez system produkcji skonstruowany przez mężczyznę. Jest to próba analizy strategii funkcjonowania w systemie płci pracowników/pracowniczek. Bogucice roz-

pięte pomiędzy porcelaną a węglem to podstawowa oś poszukiwań „przełamów”, sytuacji nieoczywistych, granicznych, postpcioowych, posthumanistycznych, miejsc styku i nieprzystawalności ciała do przestrzeni, ciała do języka itd.

Pierwszy moduł projektu to lecture performance: spotkanie dwóch języków – badawczego i artystycznego. Na poziomie form: tańca i wykładu, ale również wewnątrz każdej z nich – ciało badające materię opisywaną przez język wykładu naukowego oraz wykładu używającego metafor do nakreślenia kształtu rzeczy. Zestawione zostały ze sobą plany, materiały archiwalne i powstał lecture performance, w którym badaczka konstruowała wykład w oparciu o zastane źródła itd. z perspektywy zamierzonego dystansu, dotyczące przestrzeni w ujęciu teorii płci kulturowej i jej funkcji w systemie pracy. Z drugiej strony performerka, tancerka swoimi narzędziami pod okiem choreografa stworzyła instalację / lecture performance.

Reżyserem i choreografem a także archeologiem był Rafał Urbacik, badaczką – Marta Konarzewska, tancerką – Sonia Egner.

Północ/Poludnie w Galerii Szyb Wilson



6 marca w galerii „Szyb Wilson” odbył się wernisaż Północ/Poludnie – artyści z dwóch biegunów Polski. Na olbrzymiej powierzchni ponad 2000 m kw. zagościło 62 artystów z kręgów akademickich, skupionych wokół Wydziału Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku i Wydziału Artystycznego Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach. Swoimi twórczymi dokonaniem zmierzali się nie tylko ze sobą nawzajem, ale i z rzadko spotykaną, nietłatwą dla tego rodzaju prezentacji przestrzeni galerijnej. W Galerii Szyb Wilson królowało zatem malarstwo, ale też dzieła, które uwalniają się od klasycznej powierzchni płótna, znajdując spełnienie w formie różnorodnych obiektów, instalacji mul-

timedialnych lub video-artu. Najwyższy poziom artystyczny gwarantowały nazwiska klasyków polskiego malarstwa współczesnego. Tuż obok nich pojawiły się wschodzące gwiazdy najmłodszego pokolenia, których nazwiska pojawiają się w mediach, w kontekście najważniejszych wydarzeń i nagród artystycznych o zasięgu międzynarodowym. W wystawie wzięli udział: z ASP KATOWICE / Wydział Artystyczny, Katedra Malarstwa, Rysunku i Rzeźby: Jakub Adamek, Zbigniew Blukacz, Sławomir Brzoska, Kazimierz Cieślak, Antoni Cygan, Jola Jastrząb, Janusz Karbowniczek, Szymon Kobylarz, Piotr Kossakowski, Antoni Kowalski, Dominika Kowynia, Aleksander Kozera, Maciej Lintner, Paweł Mendrek, Michał Minor, Monika Mysiak, Monika Panek, Aga Piotrowska, Małgorzata Rozenau, Jacek Rykała, Krzysztof Rzeźniczek, Hanna Sitarz, Michał Smandek, Paweł Szeibel, Agata Szymanek, Lesław Tetla, Andrzej Tobis, Ireneusz Walczak, Paulina Walczak, Miłosz Wnukowski, Joanna Zdzienicka. ASP w Gdańsku Wydział Malarstwa reprezentowali: Jarosław Bauć, Henryk Cześniak, Robert Florczak, Roman Gajewski, Agnieszka Gawertowska, Krzysztof Gliszczynski, Maciej Gorczyński, Aleksandra Jadczyk, Piotr Józefowicz, Andrzej Karmasz, Jacek Kornacki, Anna Królikiewicz, Sławomir Lipnicki, Przemysław Łopaciński, Teresa Miszkun, Marek Model, Mieczysław Olszewski, Jerzy Ostrogórski, Jakub Pieleśzek, Krzysztof Polkowski, Anna Reinert, Arkadiusz Sylwestrowicz, Maria Targońska, Anna Waligórska, Mariusz Waras, Aleksander Widyński, Marek Wrzesiński, Marcin Zawicki, Jacek Zdybel, Agata Zielińska-Głowacka, Józef Czerniawski.

„Melancholy&Gun”

Wystawa fotografii autorstwa Adama Sikory prezentowana jest od 13 marca br. w Instytucie Mikołowskim. Adam Sikora jest operatorem filmowym i telewizyjnym, fotografikiem i plastykiem, urodzonym w 1960 roku w Mikołowie. Jest także reżyserem, scenarzystą, malarzem, pedagogiem, doktorem sztuki filmowej związanym z Wydziałem RTV Uniwersytetu Śląskiego. Rokrocznie na przełomie lutego i marca Instytut organizuje wystawy tego artysty.



■ W koncercie „Kobiety – moja miłość” IPIUM „Silesia”, który odbył się w Miejskim Domu Kultury „Koszarka” wystąpili „Paweł Brozek – tenor, Rafał Pawnuł – bas i Katarzyna Rzeszutek – fortepian prezentując utwory W. A. Mozarta, P. Czajkowskiego, G. Donizettiego, G. Verdiego, J. Massenet’a i innych kompozytorów.

■ W Galerii Fotografii B&B prezentowana była wystawa fotografii Piotra Targosza pt. „Pejzaż magiczny”.

■ Wystawa grafiki „Pomiędzy” Michalina Wawrzyczek-Klasik – pracownika naukowego Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach prezentowana była w marcu w Galerii Eksperyment Międzynarodowego Centrum Sztuk Graficznych w Krakowie.

■ Muzeum Miejskie w Tychach przygotowało warsztaty oraz pokazy nawiązujące do tradycji i symboliki Świąt Wielkanocnych.

■ Joanna Strońska-Przybyła z Archiwum Państwowego w Katowicach, Oddział w Pszczynie wygłosiła

w Muzeum Miejskim w Tychach prelekcję „Reklama dźwiękiem handlu – papiery firmowe śląskich zakładów 1847-1937”.

■ W Galerii Drugiego Planu Domu Kultury w Rybniku-Chwałowicach można było oglądać wystawę fotografii Tomasza Woźnego pt. „Akcja humanitarna”.

■ Związek Polskich Artystów Okręg Katowicki przygotował wystawę malarstwa Iwy Kruczkowskiej-Król zatytułowaną „Czas ogrodów”.

■ Do 19 kwietnia w szalacie publicznym w Tychach przy alei Niepodległości można było oglądać instalację autorstwa Aleksandry Wasilkowskiej, stanowiącą część wystawy „Projekt Metropolis”, która jednocześnie odbywała się w nowym Muzeum Śląskim, Kopalni Guido w Zabrze oraz w Centrum Sztuki Współczesnej Kronika w Bytomiu.

■ „Melancholy&Gun” – wystawa fotografii autorstwa Adama Sikory – operator filmowy i telewizyjny,

fotografik i plastyk, prezentowana jest od 13 marca br. w Instytucie Mikołowskim.

■ Polskie Towarzystwo Ewangeliczne Oddział w Katowicach oraz parafia ewangelicka Zmartwychwstania Pańskiego zapraszają na projekcję filmu „Muzyka i cisza” poświęconego Janowi Sztwiertni w 75. rocznicę śmierci kompozytora, a także na spotkanie z reżyserką filmu Dagmarą Drzazgą

■ Muzeum Miejskie w Tychach poszukuje pomiatk do powstającego Muzeum Sportu, które zostanie otwarte w październiku tego roku.

■ W ramach jubileuszu 250-lecia teatru publicznego w Polsce oraz projektu „Dotknij Teatru” w katowickim Teatrze Lalki i Aktora Ateneum, 28 marca w Galerii Ateneum odbyło się „Czytanie teatru – dla dorosłych” – kameralnej sztuki Krzysztofa Bizia „Lament w Galerii” w reżyserii Irenej Józefiak.

Piękni czterdziestolenni bielszczanie

Bielscy zdolni, wiecznie młodzi i piękni czterdziestolenni wciąż szukają swych pe-
erelowskich korzeni. Starają się do nich
wrócić, opisać, wyłowić sens pokolenio-
wego i lokalnego zarazem doświadczenia.
Pierwszym, który rozliczał się z ustrojowy-
mi „grzechami” młodości, był Artur
Pałyga. W 2009 r. na bielskiej scenie dra-
matycznej – z reżyserem Piotrem Ratajcz-
akiem – wystawił spektakl „Tak wiele prze-
szliśmy, tak wiele przed nami”. Socjalizm
lat 70. i 80. ujął w ramy przeżyca równie-
ż. Stawiał pytania o to, kto jest
kombatantem? Ci, którzy się buntowali, czy
ci, którzy w pocie czoła budowali socja-
lizm, żeby mogły przetrwać dzieci...

Dr historii sztuki Ewa Janoszek napisa-
ła do Kalendarza Beskidzkiego tekst o tych
samych czasach, skupiając się jednak
na lokalnym genius loci. Interesował ją
zwłaszcza wpływ lat minionych na relacje
osobiste oraz przemiany bielskiej architek-
tury i substancji urbanistycznej. W spek-
taklu A. Pałygi „bielskość” nie miała
jakiegos istotnego znaczenia. Jeśli się
bielskie realia uwidoczniły, musiały na-
giąć się do potęgi uniwersalnych do-
świadczeń. Inaczej było w tekście Ewy Ja-
noszek, a szczególnie – Ireny Świątalskiej.
W czasach „powszechnej szczęśliwości”
istotny był nie tylko czas, ale i miejsce.

Irena Świątalska ze swoją – wyprodukowa-
ną przez Fondazione Teatro Piemonte
Europa – sztuką „Prawie-raj” („Quasi-
Paradiso”) w reż. Roberta Talarczy-
ka debiutowała 24 lutego na scenie Teatro
Astra w Turynie i 6 marca na Scenie
w Malarni Teatru im. St. Wyspiańskiego
w Katowicach. W jej wizji świata socja-
listyczna przeszłość zależeć musiała za-
równo od czasu, jak i przestrzeni. Boha-
terka scenicznej opowieści urodziła się
w dniu triumfu reprezentacji Polski
nad Włochami (2:1) podczas pamięt-
nych mistrzostw świata w Niemczech
w 1974 r. Przyszła na świat w mieście,
w którym właśnie rozpoczęto produkcję
małych fiatów! Pojawienie się Watyka-
nie polskiego papieża (związane z resz-
tą licznymi więzami z Bielskiem-Białą
i okolicą) wypełniło wizerunek przezna-
czenia. Konfrontacji i wspólnoty polsko-
włoskiej. Porównań socjalistycznego
raju z włoskim Paradiso. Wspólnoty lo-
sów pod dachami Watykanu... na drodze
do zjednoczonej Europy.

Myślę, że turyński widz jest zadowolony
i może nawet zaskoczony rolą, jaką Ita-
lia, a osobliwie stolica Piemontu, odegra-
ła w tak pojmowanej historii Polski. Raj
jednak – nawet włoski – ma to do siebie,
że się rozstępuje przy pierwszej próbie wej-
ścia. Myślę, że polski widz już tak zado-
wolony nie będzie. Dzieło Ireny Świątalskiej
wpisuje się bowiem w ten nurt współcze-
snej dramaturgii, która z dramaturgii re-
zygnuje. Wielu twórców woli się częściej
posłużyć tym, co Amerykanie określają
jako telling, zamiast korzystać z bardziej
dramaturgicznego „showingu”.

Owszem jedna z końcowych scen,
zwiączona modlitwą – osobistą, „papie-
ską”, jest nieoczekiwana. Liryka podno-
si do rangi literackiej prozę wspomnień.

JAN PICHETA

BIELSKO-BIAŁA NOTATNIK KULTURALNY

Raz w roku

Aż trzy Złote Maski – nagrody artystyczne
Marszałka Województwa Śląskiego – otrzymali
w tym roku artyści związani z teatrami Bielska-
Białej. Złotą Maską w kategorii spektaklu dla
młodych widzów nagrodzono przedstawienie
„Pierścień i róża” W.M. Thackeraya w reżyse-
rii Pawła Aignera zrealizowane w TL Banialu-
ka. Za tytułową wokalnno-aktorską rolę męską
w spektaklu „Zorba” J. Steina i J. Kandera w re-
żyserii Witolda Mazurkiewicza na deskach
Teatru Polskiego nagrodę otrzymał Tomasz
Lorek. Za scenografię do spektaklu „Królowa
Margot. Wojna skończy się kiedyś” Tomasza Ję-
kota i Wojciecha Farugi w reżyserii tego dru-
giego Złota Maską przypadła Agacie Skwar-
czyńskiej. Ten spektakl także zrealizowano
na bielskiej scenie dramatycznej. W gronie no-
minowanych znaleźli się ponadto Grażyna Buł-
ka (za rolę w „Zorbie”), Daria Polasik (za ro-
le w „Ifigenii” i „Nataszy”), Kazimierz Czapa-
ła (za rolę w „Królowej Margot”), Grzegorz Po-
licinski (za scenografię do „Zorby”) i Witold
Mazurkiewicz (za reżyserię „Zorby”). Z oka-
zji Dnia Teatru prezydent Bielska-Białej przy-
znał swoje nagrody. Otrzymały je: Lucyna
Sypniewska, Krystyna Popławska, Krzysztof
Byrski, Joanna Feikisz oraz Ireneusz Jeziak.
Podczas uroczystości w Banialuce środowisko
artystyczne Bielska-Białej przyznało Nagrodę
Artystyczną ZASP w Bielsku-Białej „Laur
Mieczysława Dembowskiego”. Laur otrzymał
aktor Banialuki Tomasz Sylwestrzak za rolę ty-
tułową w spektaklu „Waż”.

„Art Dance” triumfuje

Zespół tańca współczesnego „Art Dance”
z bielskiej Kubiszówki w ciągu miesiąca dwu-
krotnie zwyciężył w ogólnopolskich konkursach
tanecznych. 28 lutego zdobył Puchar Dyrekto-
ra MDK w Bielsku-Białej dla najlepszego ze-
spółu XI Zimowych Impresji Tanecznych



Taneczny spektakl Elżbiety Barwickiej pt. „Daj mi, losie...”.

Fot. Anna Jakubiec

w Halcnowie, w których startowały 42 grupy
reprezentujące taniec współczesny, jazzowy, di-
sco, hip-hop, teatr tańca, a nawet taniec towa-
rzyski. Kierowniczką zespołu „Art Dance”
Elżbieta Barwicka została uhonorowana tytu-
łem najlepszego choreografa festiwalu.

26 marca natomiast „Art Dance” zdobył
pierwsze miejsce w VIII Ogólnopolskim Tur-
nieju Tańca Nowoczesnego „Power Dan-
ce 2015” w katowickim Pałacu Młodzieży.
Zespół przekonał jurorów obu konkursów
oryginalną choreografią z bardzo interesujący-
mi rozwiązaniami formalnymi programu
Elżbiety Barwickiej pt. „Daj mi, losie...”.
Artystki zespołu wyrażają swoje emocje m.in.
przy pomocy języka migowego.

Malarze do farb!

Minister kultury Małgorzata Omilanowska
objęła patronat honorowy nad XLII Biennale
Malarstwa „Bielska Jesień 2015” i jest także
fundatorem Grand Prix „Bielskiej Jesieni”
(30 tys. zł). Zgłoszenia do konkursu i prace
artystów przyjmuje organizator Galeria Bielska
BWA do 30 kwietnia br. Ogłoszenie wyników
konkursu i otwarcie wystawy zaplanowano
na 27 listopada 2015 r. Nowością tegorocznej
edycji będzie oprowadzanie jurorskie po wy-
stawie następnego dnia po wernisażu. Kurator-
ką wystawy będzie Grażyna Cybulska. Regu-
lamin biennale, kartę zgłoszenia, terminarz
konkursu i wystawy, a także informacje o za-
sadaх głosowania internetowego, puli nagród
itp. można pobrać ze stron internetowych.
Po raz drugi w historii prace mogą nadsyłać tak-
że artyści bez dyplomu uczelni artystycznej,
a najciekawsze dzieła będą wybierać internau-
ci w głosowaniu online za pośrednictwem stro-
ny internetowej „Bielskiej Jesieni”. Jak twier-
dzi dyrektorka Galerii Bielskiej BWA Agata
Smalcerz, artyści w Polsce wciąż nie mają wie-
lu możliwości prezentacji. – Stały zestaw naz-
wisk krążący po galeriach daje poczucie, że
nic nowego w polskiej sztuce się nie wydarza.
„Bielska Jesień” stwarza każdemu artyście
szansę nie tylko przedłożenia swoich prac ju-
rorom, ale też pokazania szerokiej publiczno-
ści poprzez stronę internetową. Z kolei widzom
daje możliwość obejrzenia tego, jak wygląda
malarstwo tworzone w Polsce współcześnie.
Można też będzie zabawić się w jurora i zagło-
sować na najlepszy obraz w Internecie, a po-
tem porównać go z wyborem ekspertów.
O tym, jak dobre są to wybory, świadczą ka-
riery artystów zauważonych w poprzednich
edycjach „Bielskiej Jesieni” – mówi Agata
Smalcerz. Otwarcie biennale poprzedzi indy-
widualna wystawa najnowszych prac Ewy
Juszkiewicz, laureatki Grand Prix „Bielskiej Je-
sieni 2013” (otwarcie ekspozycji 4 września
br.), która w 2014 roku znalazła się w setce naj-
bardziej obiecujących malarzy świata (Kurt
Beers „100 Painters of Tomorrow”) oraz – ex
aequo z Bartoszem Kokosińskim, także laure-
atem „Bielskiej Jesieni 2013” – zajęła I miej-
sce w rankingu młodych polskich artystów
Kompas Młodej Sztuki 2014.

Jednym zdaniem

■ 1 marca artyści TL Banialuca zrealizowali
premiera „Bajki o szczęściu” Izabeli Degórskiej
w reż. Lecha Chojnackiego.

■ Galeria Śródownik Twórczych prezento-
wała w marcu wystawę pt. „Bielsko XXI – ta-
ki pejzaż”.

■ Zwycięzcą XXI Ogólnopolskiego Konkursu
Malarstwa Nieprofesjonalnego im. Ignacego
Bięka został Henryk Reczeko z Kóz.

■ 27 marca w Galerii Bielskiej BWA
odbyło się spotkanie z laureatami nagrody
prezydenta Bielska-Białej „Ikar” 2014”
– Magdaleną Legendź i Krzysztofem Macie-
jowskim.

■ Piotr Desperak z ZSP w Częstochowie za-
stał laureatem Grand Prix XII Ogólnopolskiego
Biennale Rysunku i Malarstwa Uczniów
Średnich Szkół Plastycznych organizowanego
przez ZSP w Bielsku-Białej.

■ Do 12 kwietnia w Galerii Bielskiej BWA po-
trwa wystawa pasteli Ewy Surowiec-Butrym pt.
„Przypomnienie”.

■ W Galerii Bielskiej BWA zaprezentowano
filmy nagrodzone podczas XXIII Europejskiego
Festiwalu Filmowego Euroshorts 2014 oraz
dzieła festiwalu filmów krótkometrażowych
Short Waves.

■ 20 marca swoje „Wiersze wybrane” promo-
wał w Książnicy Beskidzkiej jeden z najbardziej
oryginalnych poetów „Nowej Fali”, cieszynianin
Jerzy Kronhold.

■ „Łączy nas sztuka” to tytuł wystawy prac
malarskich, rysunków i grafik Juliana Fałata, Ja-
kuba Glasnera, Szymona Gloucechki, Berthol-
da i Vincenta Oczków, Herthy Strzygowskiej,
Helmuta Turka i in. twórców z kolekcji własnej
Muzeum Historycznego w Bielsku-Białej, która
potrwa tam do 19 kwietnia br.

Śladami rodzeństwa Reszków

Powtórzyć sukces rodzeństwa Józefiny, Jana i Edwarda Reszków to chyba marzenie wszystkich śpiewaków operowych. Zdobywać kolejne sceny – Warszawę, Paryż, Mediolan i Nowy Jork... , odnosząc także sukces finansowy, wszak Reszkowie byli właścicielami kamienic w Warszawie, a także dóbr w Widzowie i w Garnku. Z inicjatywą przypomnienia obecności światowej sławy śpiewaków w regionie częstochowskim (Edward spoczywa przecież na cmentarzu w Borowni) wystąpił w 2007 roku zmarły kilka lat temu Krzysztof Pośpiech. Jedną z form uczczenia ich pamięci jest Konkurs Wokalny, organizowany przez Filharmonię Częstochowską, Fundację im. Jana, Edwarda i Józefiny Reszków oraz Regionalny Ośrodek Kultury.

W tym roku konkurs odbywał się już po raz czwarty 23–27 lutego w Filharmonii Częstochowskiej i jak zwykle był skierowany do studentów uczelni muzycznych. Spośród 37 nadesłanych zgłoszeń do przesłuchania zakwalifikowano 18 osób, a nagrania oceniali: Katarzyna Suska, Katarzyna Oleś-Blacha, Adam Klocek, Adam Szerszeń oraz Ireneusz Kozera.

Przesłuchania konkursowe były otwarte dla publiczności. W pierwszym etapie uczestnicy zaprezentowali cztery utwory (jeden Mozarta/Haendla/Bacha, dwie arie operowe oraz pieśń kompozytora z XIX wieku) z towarzyszeniem fortepianu, w drugim – dziesięć osób wykonało z orkiestrą po dwie arie, wybrane przez jury z zaproponowanego przez uczestników listy. Liczba śpiewaków zakwalifikowanych do II etapu w porównaniu z zapisami regulaminowymi została zwiększona, co świadczy o wysokim poziomie tegorocznego konkursu.

Popisy wokalistów oceniali jury, w skład którego weszli przede wszystkim znani śpiewacy operowi: Izabella Kłosińska (sopran, przewodnicząca), Katarzyna Suska (mezzosopran), Benno Schollum (baryton), Kacper Kałudow (tenor), Adam Klocek (dyrygent, dyrektor Filharmonii Częstochowskiej). W porównaniu z poprzednią edycją Jacka Marczyńskiego, krytyka muzyczna oraz sekretarza artystycznego Teatru Narodowego w latach 1997–1998, zastąpił gość z Niemiec.

W konkursie najlepszy okazał się Mykhailo Malafii (tenor), student Lwowskiej Akademii Muzycznej im. Mykoli Lysenki i otrzymał 15 000 złotych, drugą nagrodę (10 000) – Natasha Day, trzecią (5 000) – Adam Kutny. Wyróżniono także Aleksandrę Olczyk, Pawła Brożka oraz Marię Domżał. Na koncert z Orkiestrą Symfoniczną Filharmonii Kaliskiej zaproszono Natashę Day oraz Marię Domżał, na koncercie z Orkiestrą Symfoniczną Filharmonii Częstochowskiej wystąpią Natasha Day oraz Mykhailo Malafii, a Adam Kutny weźmie udział w Letniej Akademii Śpiewu Bożeny Harasimowicz.

Laureaci konkursu wystąpili raz jeszcze w koncercie finałowym, prezentując wybrane przez siebie utwory; Orkiestrą Symfoniczną Filharmonii Częstochowskiej poprowadził Adam Klocek. Publiczność usłyszała również Izabellę Kłosińską (przewodniczącą jury, sopran), Ewę Tracz (sopran), zwyciężczynię poprzedniego konkursu z 2013 roku oraz Dariusza Perczaka (baryton), laureata II Nagrody na 6. Letniej Akademii Śpiewu Bożeny Harasimowicz. Koncert prowadził Jacek Woleniski.

Kolejne zmagania młodych śpiewaków odbędą się w 2017 roku.

JOANNA KOTKOWSKA

CZĘSTOCHOWA NOTATNIK KULTURALNY

Pamięć przyjaciół

W OPK Gaude Mater przyjaciele profesora Ryszarda Osadczego, zmarłego 23 lutego 2013 roku, przygotowali wystawę *In memoriam*. Artysta urodził się w Kutnie w 1931 r., ukończył Liceum Sztuk Plastycznych w Łodzi, studiował na Wydziale Grafiki ASP w Krakowie (dyplom w 1957 r.), potem pracował na Wydziale Grafiki krakowskiej ASP w Katowicach, a w 1978 r. przeniósł się do Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Częstochowie i tu pracował do 2003 r., pełniąc wiele funkcji. Był kierownikiem Zakładu Grafiki Artystycznej i Projektowania Graficznego, dyrektorem Instytutu Plastyki, a także dziekanem Wydziału Wychowania Artystycznego. Współpracował także z Europejską Akademią Sztuk w Warszawie, gdzie pełnił obowiązki dziekana Wydziału Grafiki.

W czasie swojej zawodowej aktywności Osadczy był także m. in. kuratorem Reprezentacyjnej Wystawy Wspólczesnej Grafiki Polskiej, komisarzem generalnym ogólnopolskiej wystawy *Sport w Sztuce Polskiej*. Brał udział w wielu wystawach (400 zbiorowych) i konkursach. Został wyróżniony m. in. Nagrodą Specjalną Międzynarodowego Biennale Grafiki (Kraków), Złotym Medalem Zespołowym na Międzynarodowym Salonie w Paryżu, Wojewódzką Nagrodą Artystyczną w Katowicach, Nagrodą Prezydenta Miasta Częstochowy, a także nagrodami rektorów uczelni, w których pracował. Był odznaczony Srebrnym i Złotym Krzyżem Zasługi.

Na wystawie wśród prac profesora pokazano m. in. opracowanie projektu witrażu Józefa Mehoffera *Sadzenie drzewek wolności*, wykonanego dla Prezydenta RP w 1930 r., do Gabinetu Prezydenckiego na Zamku Królewskim na Wawelu. To jedna z prac, która w naszym mieście obrosła już legendą.

W latach 50. XX w. Muzeum Częstochowskie weszło w posiadanie projektu młodopolskiego artysty a na początku XXI w. narodził się pomysł jego urzeczywistnienia. Zadania tego podjął się częstochowski witrażysta Grzegorz Słomka (uczeń Jarosława Kwechlicha). Początkowo projekt przygotowywał Jarosław Kwechlich, ówczesny prorektor AJD, a jako miejsce przyszłej prezentacji wskazywano okno w Galerii Dobrej Sztuki. Potem Kwechlicha zastąpił Osadczy, a „Popówkę” zamieniono na ratuszową wieżę. Ostatecznie projekt 1:1 został zaprezentowany 12 grudnia 2010 r. W dolnej części witrażu artysta proponował swoje dialogowanie z Mehofferem. Odsłonięcie planowano na 2011 r., termin jednak przekładano, a ostatecznie ratuszowej lokalizacji sprzeciwił się konserwator zabytków. Praca Mehoffera mimo zaangażowania Osadczego nadal pozostała w fazie projektu, o czym także przypomniiała wystawa *In memoriam*.

Prace Jerzego Dudy-Gracza w Częstochowie

Od listopada do końca lutego w Galerii Dobrej Sztuki można było zwiedzać wystawę *Jerzy Duda-Gracz – polski malarz w kolekcjach częstochowian*

Jednym zdaniem

■ Zagrali: klub Rura – Lona&Webber, Łąki Lan; klub Politechnik – Sztuka Basu, Stare Dobre Małżeństwo; Muzyczna Meta – Dezerter; TP – Besides; Carpe Diem – AmperA; Klub Muzyczny Klimaty – Kasa Chorych; Hala Polonica – IRA; Filharmonia – Robert Janowski; klub Stacherczak – Teddy Bears; MDK – Kukiz i Piersi, Janusz „Yanina” Iwański; klub Five O’Clock – PSJT All Stars.

■ Wystawiali: MGS – 5. Plener w Bobolicach Spotkania na jurze, komisarz Rafał Stępnia; Konduktorownia (Regionalne Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych) 8 kobiet, absolwentek ASP w Krakowie: Mariola Jaśko, Anna Karpowicz-Westner, Anna Kostenko, Berenika Kowalska, Małgorzata Lazarek,

zorganizowaną w dziesiątą rocznicę śmierci artysty. Tuż przy drzwiach dla zwiedzających przygotowano film zrealizowany przez Zdzisława Sowińskiego, będący zapisem jednego z Wieczorów Muzealnych prowadzonych przez Andrzeja Kalinina z 1998 roku. W czasie tego spotkania Duda-Gracz opowiadał m. in. o swojej przyjaźni z Wojciechem Kilar, co potwierdzały także obrazy inspirowane jego muzyką – *Kościółec*, *Exodus*, czasami jednak interpretowanej jakby przeciw kompozytorowi. Tak było np. przy okazji *Exodusu*: dla Kilara był to utwór afirmatywny, podczas gdy plastyk dostrzegł w nim również niechęć do współczesności.

Najważniejsze częstochowskie dzieło to na pewno *Golgota Jasnogórska* (2000–2001), ale na wystawie pokazano kilka zdjęć artysty, a przede wszystkim ok. 30 obrazów obecnych w mieście, choć na co dzień nie zawsze dostępnych dla oglądających. Pochodzą one ze zbiorów Muzeum Częstochowskiego, Klasztoru Jasnogórskiego, Zespołu Szkół Plastycznych w Częstochowie, kolekcji Mieczysława Wyględowskiego, Krystyny Krygier, Andrzeja Patrzyka, Tomasza Matysa czy Wilmy Dudy-Gracz. Wśród prac wyróżniały się: *Scherzo* i *Sonata* (inspirowane muzyką Fryderyka Chopina), *Portret Marka Patrzyka*, *Obraz z Jubileuszowego Pleneru Malarskiego 1982* dedykowany ojcu Janowi Golonce (w ramie znajdowały się portreciki artystów biorących udział w wydarzeniu) oraz ogniwa cyklu *Motyw Polski*.

Inspirowani Beksieńskim

Z okazji dziesiątej rocznicy tragicznej śmierci Zdzisława Beksieńskiego Miejska Galeria Sztuki w Częstochowie, która dzięki kolekcji Anny i Piotra Dmochowskich wciąż prezentuje jeden z większych zbiorów prac artysty, zorganizowała konkurs dla młodych plastyków – *Warsztat i wyobraźnia. Z inspiracji twórczością Zdzisława Beksieńskiego*. W lutym w Sali Poplenerowej otwarto wystawę pokonkursową oraz przygotowano specjalny katalog.

W konkursie skierowanym do uczniów oraz studentów szkół plastycznych wzięło udział 89 autorów, którzy przysłali 164 prace. Jury w składzie: dr Judyta Bernas (ASP w Katowicach), dr hab. prof. PCz Jacek Sztuka oraz mgr Adam Rokowski (ASP Kraków), zakwalifikowało na wystawę 45 prac 32 autorów i przyznało nagrody w dwóch kategoriach. Pierwszą nagrodę zdobyli: Piotr Siudeja (ASP w Łodzi) oraz Paulina Opieka (ZSP w Dąbrowie Górniczej), drugą – Joanna Graniczowska (ASP w Gdańsku) oraz Agnieszka Gorgoń (ZSP w Dąbrowie Górniczej), trzecią – Kamil Skrzypiec (Uniwersytet Rzeszowski), Patrycja Konieczko (Uniwersytet Rzeszowski) oraz Monika Baran (ZSP w Jarosławiu); wyróżniono także Sonię Nowicką (ASP w Łodzi) i Weronikę Krawczyk (ZSP w Dąbrowie Górniczej).

Artyści na wiele sposobów mierzyli się z tematem śmierci – motywy czaszek, krzyży, sądu ostatecznego, fragmenty ciał i świata przedstawionego. Tematem stawała się również faktura obrazu, np. Agnieszki Brzozowskiej *Zadrapania w cieniu. Objawiające się światło*. Niektóre prace łączyły się też z twórczością innych polskich plastyków, m. in. Leszka Mądziaka czy Franciszka Starowieyskiego. Wystawione prace to rysunki, fotografie, obrazy, grafiki oraz przykłady poszukiwań techniki własnej.

Wystawa dzieł Beksieńskiego w obecnym kształcie prezentowana jest w Częstochowie do końca roku. Potem obrazy z kolekcji Anny i Piotra Dmochowskich zostaną przewiezione do Krakowa, ale jak zapowiada miasto, kolekcjonerzy zastąpią je innymi pracami artysty, które uzupełnienie zbiorami MGS-u stworzą nową wystawę.

Julita Malinowska, Alicja Słaboń-Urbanik i Małgorzata Stępnia (pomysłodawca i kurator); CPM – Dokumentacja obrazu Agaty Czeremuszkin-Chruciak.

■ W Filharmonii Częstochowskiej odbył się popis uczniów Zespołu Szkół Muzycznych im. M. J. Żebrowskiego w Częstochowie, a kilka dni później koncert dyplomantów tej szkoły.

■ W OPK Gaude Mater kolejna odsłona JAZ-Ztochowy – wystąpił Henryk Miśkiewicz z kwartetem Full Drive; gościnnie trębacz Michael „Patches” Stewart.

■ W Teatrze im. Adama Mickiewicza Salon Poezji – *Teatr malowania Tomka Śętowskiego: Zerwany sen* z okazji 111. rocznicy urodzin Salvadora Dali.

Polak, Węgier, dwa bratanki...

Znane powiedzenie Polak, Węgier dwa bratanki – „Lengyel, Magyar két jó barát”, wiele razy powtarzane przy okazji spotkań polsko-węgierskich staje się powierzchowne, a nawet banalne, jeśli nie sięgamy głębiej do polsko-węgierskich losów splecionych jak korzenie wiekowych dębów. Wolnościowe dążenia i wspólne ideały wskazywały drogę kolejnym pokoleniom. Warto zatem odwoływać się do wspólnego dziedzictwa, stanowiącego kamień węgielny przyjaźni i współpracy pomiędzy Województwem Opolskim i komitatem Fejer. Stolica partnerskiego regionu – Székesfehérvár, miasto koronacyjne węgierskich królów z relikwiami św. Stefana, od średniowiecza do czasów współczesnych jest świadkiem wspólnej historii obu narodów. Organizatorzy opolskich obchodów Dnia Przyjaźni Polsko-Węgierskiej, poszukując patrona sięgnęli tym razem do postaci wybitnego twórcy romantyzmu Mihályja Vörösmartyego (1800-1855). Życiorys poety, dramaturga, redaktora czołowych pism literackich przedstawił Zoltan Bobory, Prezes Towarzystwa Literackiego im. Vörösmartyego z Székesfehérváru. Warto podkreślić, że przywołany Poeta (związany z tym miastem i regionem Fejer) należał do licznego grona węgierskiej inteligencji, która po wybuchu powstania listopadowego przejawiała propolskie postawy. Wówczas Węgrzy na rzecz Polaków prowadzili zbiórki pieniędzy, organizowali charytatywne bale. Węgierska młodzież w dowód sympatii nosiła polskie stroje. Do cesarza austriackiego skierowano petycję, aby udzielił Polsce pomocy. Przywódca węgierskiej opozycji m.in. Ferenc Deák, Lajos Kossuth, Ferenc Kölcsey, József Eötvös otwarcie stanęli po stronie Polaków, wśród nich byli wybitni pisarze Mihály Vörösmarty i József Bajza. Wspominał o tym dr Géza Cséby, poeta i autor książki „Portret rodzinny”, ukazującej rodowód jego polsko-węgierskich przodków. Vörösmarty przyjaźnił się z wieloma Polakami, uczestnikami niepodległościowego zrywu. Głęboko przeżywał klęskę powstania listopadowego, dał tego wyraz w swojej twórczości. „Zywy Posąg” jeden z wielu jego wierszy o tematyce polskiej stał się symbolem naszej Ojczyzny w literaturze węgierskiej okresu romantyzmu. Należał do czołowych postaci rewolucji węgierskiej 1848 roku. Napisał wiele patriotycznych wierszy. „Wezwanie” rozpoczynające się wersem – „Twojej Ojczyzny niezłomnie, wierny Madziarze”, strzeż! recytowany jest obecnie po hymnie węgierskim podczas najważniejszych uroczystości państwowych. Pogrzeb Poety 21 listopada 1855 roku był dniem żałoby narodowej na Węgrzech. Dziś Mihályja Vörösmartyego upamiętnia jeden z głównych placów Budapesztu oraz wiele pomników wzniesionych na Węgrzech m.in. w mieście partnerskim Opola – Székesfehérváru, gdzie Towarzystwo Literackie im. Vörösmartyego aktywnie przyczynia się do rozwoju polsko-węgierskiej współpracy kulturalnej, a jego prezes – poeta Zoltan Bobory, autor wierszy o tematyce polskiej doprowadził do wzniesienia Katyńskiego Krzyża Pamięci w centrum węgierskiego Gniezna.

JANUSZ WÓJCIAK

OPOLE NOTATNIK KULTURALNY

Nagroda im. Jana i Wojciecha Wawrzynków

Kapituła Nagrody im. Jana i Wojciecha Wawrzynków za najlepszą pracę magisterską poświęconą dziejom politycznym, kulturze i problemom społecznym Śląska przyznała nagrodę i wyróżnienia w XXIV edycji konkursu. Laureatem głównej nagrody został mgr Marcin Wądołowski (Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie) autor pracy *Muzeum Śląskie w Katowicach – między tradycją, współczesnością i przyszłością*, napisaną pod kierunkiem dr. hab. Jacka Dębickiego, prof. AGH. Ponadto Kapituła postanowiła przyznać również dwa wyróżnienia, które uzyskał: mgr Kamil Bembista (Freie Universität Berlin), autor pracy *Transnationale Europastadt? Eine qualitative Studie in der Doppelstadt Görlitz/Zgorzelec (Transnarodowe miasto europejskie? Studium jakościowe podwójnego miasta Görlitz/Zgorzelec)* napisanej pod kierunkiem prof. dr. Jochena Roose oraz mgr Aleksandra Kwiecińska (Uniwersytet Opolski), autorki pracy *Obrzędowy strój weselny w procesie przemian*, napisanej pod kierunkiem dr. hab. Teresy Smolińskiej, prof. UO. Laureaci wraz z opiekunami zostali uhonorowani na posiedzeniu Rady Naukowej Państwowego Instytutu Naukowego – Instytutu Śląskiego w Opolu. Nagroda, której statucie edycje mają zasięg ogólnopolski i międzynarodowy, upamiętnia dwóch braci Jana i Wojciecha Wawrzynków wybitnych działaczy przedwojennego ruchu polskiego na Górnym Śląsku. Fundatorami Nagrody są przedstawiciele rodziny Wawrzynków a patronem honorowym Marszałek Województwa Opolskiego.

70. rocznica wyzwolenia Stalagu 344 Lamsdorf

Uroczystość rocznicowa z asystą wojskową i udziałem licznych delegacji odbyła się przed Pomnikiem Martyrologii Jeńców Wojennych. Po hymnie państwowym odegranym przez Orkiestrę Wojskową z Bytomia, głos zabrał Wiktor Natanson, powstaniec warszawski i były jeńiec Stalagu 344 Lamsdorf. Następnie w imieniu organizatorów dr Violetta Rezler-Wasielewska, dyrektor Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach-Opolu, przypomniała, że miejsce gdzie odbywa się uroczystość, Cmentarz Jeńców Radzieckich, skrywa szczątki blisko 40 tysięcy lu-

dzi: przede wszystkim Rosjan oraz innych narodowości, więzionych w nieludzkich warunkach i pochowanych w zbiorowych i nieoznaczonych mogiłach. Świadek tamtych wydarzeń przedstawił Przemysław Czernik – aktor opolskiego Teatru Eko Studio, odczytując fragment dziennika Siergieja Woropajewa, młodego radzieckiego jeńca, który zmarł z wycieńczenia kilka dni po wyzwoleniu obozu. Do tragicznych losów żołnierzy i cywilów podczas II wojny światowej nawiązały w swoich wystąpieniach: Andrey Yakovlev – konsul generalny Federacji Rosyjskiej w Poznaniu oraz wicewojewoda opolski Antoni Jastrzębski. Modlitwy w intencji wszystkich ofiar stalagów Lamsdorf odmówili przedstawiciele czterech wyznań: ks. Adam Ciośmak – proboszcz rzymskokatolickiej Parafii Św. Marii Magdaleny w Łambinowicach, ks. ppłk Sławomir Fonfara – dziekan Wojsk Łądowych, kapelan Parafii Ewangelicko-Augsburskiej Św. Łukasza w Brzegu, Aleksander Gleichgewicht – przewodniczący Gminy Wyznaniowej Żydowskiej we Wrocławiu i ks. Stanisław Strach z prawosławnej Parafii Ikony Bogurodzicy „Wszystkich Strapionych Radości” w Kędzierzynie-Koźlu. Na zakończenie uroczystości po Apelu Pamięci i salwie honorowej pod pomnikiem zapalono znicze i złożono kwiaty.

Jubileuszowy Jarmark Wielkanocny

W Muzeum Wsi Opolskiej w Niedzielę Palmową już po raz czterdziesty odbył się tradycyjny Jarmark Wielkanocny, najpopularniejsza plenerowa impreza folklorystyczna w regionie, na którą od lat przybywają wielotysięczne tłumy mieszkańców Opola i województwa opolskiego. Goście odwiedzający skansen skorzystali z wielu atrakcji wystawienniczych i handlowych a także bogatego programu imprez. Uczestniczyli w tradycyjnych warsztatach zdobienia i barwienia jaj oraz innych ozdób wielkanocnych a także w pokazach odbywających się w zagrodach, które obejmowały m.in. kucie wyrobów z żelaza, wyrób naczyń glinianych oraz rzeźbienie w drewnie. W zabytkowym piecu wypiekano prawdziwy chleb oraz wędzono mięsa w zabytkowym kominie. Na jarmarku przygotowano również atrakcje dla najmłodszych: gry, zabawy, przejażdżki konne. Sporem powodzeniem cieszył się kiermasz oryginalnych pamiątek oraz wyrobów rękodzieła ludowego i artystycznego. Zwiedzający oglądali także prezentacje obrzędów ludowych związanych ze świętami oraz okresem wiosennym (m.in. topienie marzanny) oraz wystawę tradycyjnych stołów wielkanocnych – śląskiego i kresowego. Na estradach występowały kapele i zespoły ludowe. Podczas Jarmarku Wielkanocnego wręczono nagrody laureatom konkursu kroszonkarskiego oraz otwarto wystawę „Kroszonki Opolskie 2015”, a także fotograficzną ekspozycję „Tkanina”, zorganizowaną we współpracy z Muzeum Miejskim w czeskim Rymarzowie. Podczas Jarmarku Wielkanocnego Muzeum Wsi Opolskiej odwiedziło blisko dziesięć tysięcy zwiedzających.

Jednym zdaniem

■ Szczepan Twardoch zaprezentował swoją najnowszą książkę „Drach” na spotkaniu autorskim w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Opolu.

■ Koncert zespołu barokowego kameralistów Filharmonii Opolskiej „Sanssouci” upamiętnił w Muzeum Śląska Opolskiego 330. rocznicę urodzin Jana Sebastiana Bacha.

■ W opolskiej siedzibie Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych otwarto wystawę „Murnau 1945. Zapomniane fotografie z kolekcji Oliviera i Alaina Rempferów”, prezentującą fotografie wykonane w Oflagu VII A Murnau w Bawarii, dokumentujące codzienne życie obozowe polskich oficerów w niemieckiej niewoli.

■ W ramach projektu „Nowe Opole”, który ma na celu ukazanie twórczości młodych artystów związanych z Opolem w Galerii Sztuki Współczesnej, zaprezentowano prace malarskie Magdaleny Zolaż.

■ Elżbieta Zapendowska – osobowość telewizyjna, znany krytyk muzyczny gościła na spotkaniu z cyklu „Sławni Opolanie” w czytelni Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej w Opolu.

■ Zespół Nandu z Warszawy zdobył Złoty Wiatraczek XXV Zimowej Giełdy Piosenki w Opolu, podczas wielkiego finału w Studenckim Centrum Kultury wykonawcy zaprezentowali interpretacje utworów Wojciecha Młynarskiego.

■ W salonie muzycznym Zamku Piastów Śląskich w Brzegu w kolejnym koncercie z cyklu „Wieczory Liszowskie” wystąpił Zbigniew Raubo – profesor Akademii Muzycznej w Katowicach, laureat międzynarodowych konkursów pianistycznych.

■ Wieczór wspomnień poświęcony Helenie Majdaniec z udziałem Rafała Podrazy, autora książki „Helena Majdaniec, Jutro będzie dobry dzień” oraz redaktora Edwarda Spyryki zorganizowała Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Opolu.

■ Podczas XXII Wojewódzkiego Konkursu Gawdziarskiego „Śląskie Beranie” w Szkole Podstawowej w Izbiuku popularyzowano śląską gwara, uczniowie szkół podstawowych oraz dorośli uczestnicy zaprezentowali monolog, natomiast uczniowie gimnazjów przedstawili krótkie scenki oparte na dialogach.

Ślubów tutaj nie będzie

Ozdobą Sosnowca nigdy nie było, wbrew temu, co dziś niektórzy sugerują. Mowa o byłym pałacu ślubów, który od lat nie ma szczęścia do dobrych gospodarzy. Stoi, straszy i marnieje. Budowla od początku swojego istnienia, czyli od 1965 r., zakładając nawet, że jak na owe czasy była obiektem nowoczesnym, nie wzbudzała żadnego zachwytu a z pałacem nigdy nie miała wspólnego. Może umieszczony na dachu neon miał być symbolem wytwornej rezydencji, ale nie był. Przed wojną na placu tym stała cerkiew św. Mikołaja Cudotwórcy, którą w 1938 r. zrównano z ziemią, uznając ją za groźącą Polsce „pięść imperializmu rosyjskiego”. Nawet historię o niej starano się wymazać do szczętnie.

Kiedy pod koniec lat osiemdziesiątych Urząd Stanu Cywilnego zagościł w eleganckich wnętrzach pałacu z prawdziwego zdarzenia, czyli w byłej rezydencji Ernsta Schöna, opuszczony dziwoląg długo nie czekał na nowego właściciela. Zainstalowała się tam Galeria Extravagance, było ciasno, oświetlenie pozostawiało wiele do życzenia, ale bryła tętniła życiem, gwarano i głośno było zwłaszcza podczas wernisaży. Odrestaurowany Zamek Sielecki porwał jednak w 2003 r. galerię do siebie a opustoszałe sale wystawiennicze na krótko zamieniono na restaurację Empire. Ta także długo nie przetrwała, trudno dziś dochodzić, czy z braku klientów, czy mało atrakcyjnej kuchni. Pierwsza próba sprzedaży budynku w 2012 r. zakończyła się fiaskiem. Chętnych nie było. Nie wiadomo czy cena wywoławcza 1,1 mln. okazała się zbyt wysoka, czy zabrakło pomysłów na zagospodarowanie budynku.

Po handlowej porażce pojawił się więc pomysł, aby kolejnymi lokatorami byli uczniowie Technikum nr 7 Projektowania Stylizacji i Ubioru. Ktoś bowiem uznał, że była galeria świetnie nadaje się jako miejsce wystaw prezentujących szkolne projekty. Z planów nic nie wyszło. Przetarg na projekt termomodernizacji byłego pałacu został unieważniony z powodu „braku środków niezbędnych do realizacji zadania inwestycyjnego”. W tym roku pojawiła się kolejna próba pozbycia się przez miasto zbędnego balastu. Cena pozostała bez zmian. Internauci mnożą pomysły. Od luksusowego domu opieki nad starszymi ludźmi, po... skwer z egzotycznymi krzewami, pojawiły się nawet złośliwe rady, aby urzędnicy miejsca przenieśli tam któryś z wydziałów, była także mowa o klubach muzycznych i kawiarniach. Tymczasem obiekt niszczeje, przed skutkami kapryśnej pogody nie chronią wnętrza nieszczęsne szklane ściany. Nie jest ważne jakie emocje wzbudza porzucony i poszarzały 50. latek, choć grono tych, którzy ślubowali sobie tu dożgonną miłość i wierność jest nadal wciąż liczne, ale losy ich związków nie pozwalają na obiektywną ocenę. Nie mają sentymentów także młodzi, którzy czasów ślubnych orszaków u zbiegu ulic 3 Maja i Parkowej pamiętać nie mogą. Pozostaje więc obawa, czy kiedy po 25 maja lista chętnych do zakupu zostanie pusta, któregoś dnia wjeżdżając na estakadę nie zobaczymy pustego miejsca po niedłusiejszym „pałacu ślubów”, jak kiedyś po kinie „Zagłębie”, czy kompleksie „Savoyu”.

MARIA SZTUKA

ZAGŁĘBIE NOTATNIK KULTURALNY

Strefa wykluczenia

W marcu w Galerii Extravagance w Sosnowieckim Centrum Sztuki – Zamek Sielecki Anna Bujak przedstawiła swój projekt „Strefa wykluczenia”. Artystka jest absolwentką Akademii Sztuk Pięknych im. E. Gepperta we Wrocławiu, którą ukończyła z wyróżnieniem w 2011 r. Swoje prace prezentowała na kilkunastu wystawach indywidualnych i kilkudziesięciu zbiorowych w kraju i za granicą. W 2015 roku nominowana była do WARTO, nagrody kulturalnej Gazety Wyborczej Wrocław dla młodych artystów w dziedzinie sztuk wizualnych. Mieszka i pracuje we Wrocławiu. Wystawę Anny Bujak tworzą głównie rzeźby, są także rysunki, fotomontaże, a cała ekspozycja ma charakter instalacji artystycznej. „Podstawowym wątkiem, którym się posługuję – mówi artystka – jest motyw zwierzęcia. Może być on interpretowany dwojako: metaforycznie, jako odwołanie do podobieństw kondycji ludzkiej i zwierzęcej, lub w odniesieniu wyłącznie do zwierzęcia jako podmiotu. Źródłem moich inspiracji jest podświadomość oraz złożona sieć symboli, archetypów i mitów.”

Ukraińscy tancerze w Sosnowcu

W marcu w Sosnowcu wystąpił Narodowy Balet Ukrainy VIRSKI, jeden z najlepszych zespołów tanecznych na świecie. Jego historia u sięga roku 1937, kiedy to dwaj znakomici tancerze Pavlo Virski i Nikola Bolotov, założyli pierwszy na Ukrainie zespół tańca folklorystycznego. Wspaniałe choreografie ludowych tańców, które w niezwykle i niepowtarzalny sposób przedstawiały tradycję i piękno Ukrainy oraz łączyły folklor z akrobatyką i tańcem klasycznym szybko otworzyły zespołowi drogę do sukcesu. Każdy ich występ to fontanna radości, artystycznej ekspresji i żywiołowości, humoru i zadumy, zawsze na najwyższym poziomie. Artyści podbili serca pu-

bliczności wspaniałymi choreografiami ludowych tańców, były więc m.in.: *Hopak, My z Ukrainy, Siostry, Lalki*.

Portrety kobiet w pałacowych wnętrzach

W marcu i kwietniu w Pałacu Mieroszewskich w Będzinie goszczą kobiety piękne, silne, fascynujące, tajemnicze i zjawiskowe, a wszystko za sprawą Beaty Orłowskiej i jej wystawy fotografii „Kobieta w sztuce kobiety”. Dla artystki aparat fotograficzny stał się swoistą terapią, po śmierci siostry, pasją, która pozwoliła na przeniesienie w bajeczną krainę, stał się także źródłem – jak mówi Orłowska – refleksji nad przemianami i kruchością ludzkiego życia i głęboką potrzebą pozostawienia śladu po własnym istnieniu. Sesja zdjęciowa jest zarówno dla artystki, jak i jej modelek oderwaniem się od szarej rzeczywistości, przeniesieniem w kolorowy świat marzeń.

Wernisaż uświetnił koncert Agencji Artystycznej Violino oraz pokaz mody przygotowany przez uczniów Technikum nr 7 Projektowania i Stylizacji Ubioru przy CKZiU w Sosnowcu.

„Inspiracje” w „Elektrowni”

W marcu Galeria Sztuki Współczesnej „Elektrownia” w Czeladzi gościła niezwykłą parę. ONA – Agata Koszczan jest fotograficzka, jej czarno-białe fotografie tworzą surrealistyczny obraz świata postrzegany oczami niezwykle wrażliwej artystki. Prace pani Agaty uczestniczyły w wielu wystawach zbiorowych („Rzeźbiarsko-Fotokorelacje” B. Czesak – rzeźba, A. Koszczan – fotografia; Wystawa zbiorowa „Romantycznie”; cykl fotografii „W stojącej wodzie spokoju”; Galeria Fotografii Kraków; Wystawa „Kraków-moje Macondo”; Galeria Fotografii Kraków). ON – Bogdan Czesak – rzeźbiarz, absolwent krakowskiej Akademii Pedagogicznej (dyplom z rzeźby) i Akademii Sztuk Pięknych (Wydział Konserwacji i Restauracji Dzieł Sztuki – kierunek rzeźba). Artysta uprawia grafikę warsztatową, rzeźbę ceramiczną i małe formy rzeźbiarskie w brązie. Brał udział w wielu wystawach zbiorowych m.in. w: „Whereareyou?” Centre d’art. EnL’lle-Genewa. „Mój Kraków”, Pawilon Wyspiańskiego 2000 – Kraków 2007.

Agatę Koszczan i Bogdana Czesaka połączyły: temat, emocje i kolorystyka.

Jednym
zdaniem

■ 8 marca w Energetycznym Centrum Kultury w Sosnowcu odbył się koncert Renaty Przemek, artystka m.in. promowała nową płytę „Rzeźba dnia”.

■ 12 marca w Pałacu pod Filarami w Czeladzi odbył się wernisaż „Utracone nadzieje. Ludność żydowska w województwie śląskim/katowickim w latach 1945–1970”.

■ 14–17 marca w Sosnowcu gościł festiwal „Weekend Kultury Irlandzkiej – St. Patrick’s Day”.

■ 21 marca w Hali MOSIR w Sosnowcu miała miejsce siódma edycja Turnieju Tańca Nowoczesnego World Dance.

■ 27 marca w czeladzkim muzeum Saturn wystąpiła Magdalena Lechowska ze swym zespołem.

Polskie wiadomości już nie o świecie?

Żeby dowiedzieć się z czeskiej telewizji o tym, co dzieje się nad Olzą i „co piszczy w trawie” wśród polskiej mniejszości w Republice Czeskiej, nie będzie już trzeba zrywać się w niedzielę o świecie lub nawet przed wschodem słońca. Wiadomości w języku polskim, nadawane obecnie przez ostrawski Ośrodek Regionalny Czeskiej Telewizji w niedzielę o godz. 6.00, przesunięte zostaną na przychylniejszy dla widzów czas. Przedstawiciele kierownictwa TVC zapewnili o tym przedstawicieli polskiej społeczności podczas marcowego posiedzenia Rady Rządu RC ds. Mniejszości Narodowych.

Przez lata program informujący o życiu polskiej mniejszości był nadawany w ramach Wiadomości z Regionu w piątki po godz. 18.00. Przed dwoma laty kierownictwo TVC przesunęło termin nadawania na niedzielę, w dodatku na godz. 6.00. Tak mało atrakcyjny czas emisji programu, który pociągnął za sobą spadek oglądalności, oburzył wszystkich. Rozpoczęły się protesty, dyskutowano o tej kwestii na posiedzeniach Rady Kongresu Polaków i Rady Przedstawicieli, poszły listy z Kongresu Polaków do kierownictwa telewizji – zarówno jej ostrawskiego ośrodka, jak i praskiej centrali. Poruszano też sprawę polskich wiadomości na spotkaniach Rady Rządu RC ds. Mniejszości Narodowych. Po marcowym posiedzeniu tej ostatniej zanosi się chyba wreszcie na lepsze czasy.

Program marcowego posiedzenia Rady, które prowadził jej przewodniczący, minister Jiří Dienstbier, był jak zwykle bogaty. Oprócz przedstawicieli wszystkich mniejszości (polską reprezentują Eugeniusz Delong i Dariusz Branny) w posiedzeniu wzięli udział również dyrektor programowy TVC Milan Fridrich, dyrektor Centrum Nadawania Radia Czeskiego Ondřej Nováček, przewodniczący Rady ds. Radiofonii i Telewizji Ivan Krejčí oraz wiceprzewodniczący Rady TVC Jan Bednář.

– Podziękowałem w imieniu polskiego społeczeństwa dyrektorowi Nováčkowi za polski program „Wiadomości” nadawany przez ostrawską rozgłośnię Radia Czeskiego. Skrytykowałem natomiast kierownictwo TVC właśnie za termin emisji polskich wiadomości telewizyjnych i poinformowałem o wcześniejszych już rozmowach z ostrawską dyrekcją – powiedział nam Eugeniusz Delong. – Przedstawiciele telewizji przyznali mi rację. Mogliśmy już nawet dyskutować o konkretach i nowym czasie emisji wiadomości w języku polskim. Padły propozycje, by audycja powróciła na piątkowy wieczór, albo aby została przesunięta na sobotę przed południem. Była mowa również o zachowaniu niedzielnego terminu, z tym jednak, że program miałby reperyż w niedzielę o godz. 9.00. Dyrektor Fridrich obiecał od razu zająć się tą sprawą i szybko ją załatwić. Do zmiany nie dojdzie jednak od razu, bo wiąże się to ze zmianami w telewizyjnej ramówce. Co jest jednak też ważne, że do końca roku wiadomości w języku polskim powinny zostać przedłużone z pięciu do dziesięciu, a nawet piętnastu minut – podkreślił Delong.

JACEK SIKORA

ZAOLZIE NOTATNIK KULTURALNY

W „Avionie” o Władysławie Sikorze

Poeta, prozaik i publicysta Władysław Sikora dwa lata temu obchodził 80. urodziny. Jubileuszowy wieczór literacki poświęcony jego życiu i twórczości odbył się dopiero teraz. Okazją była wydana przez Libora Martina monografia twórcy.

Na spotkaniu w kawiarni literackiej „Avion”, zorganizowanym przez Bibliotekę Miejską w Czeskim Cieszynie, zebrał się 12 marca przede wszystkim przyjaciele i znajomi Sikory. Bohatera wieczoru zabrakło – stan zdrowia uniemożliwia mu już wychodzenie z domu.

Po losach życiowych i twórczości Sikory oprowadzał obecnych poeta i dziennikarz, a zarazem przyjaciel literata – Kazimierz Kaszper. Jego dogłębna znajomość literatury zaolziańskiej sprawiła, że słuchacze poznali – lub przypomnieli sobie – Sikorę jako autora tworzącego w kontekście dziejowym i regionalnym, jako przedstawiciela pewnego pokolenia literatów zaolziańskich, którzy tworzyli zwarte i aktywne środowisko. Coś, czego już dzisiaj nie ma.

Jako wesołego kompana, z którym zaliczyli wiele imprez, wspominali Władysława Sikorę jego przyjaciele z tak zwanego „Trójkąta Bermudzkiego”: Bronisław Liberda i Kazimierz Jaworski. Jacek Sikora, syn poety, zapamiętał tatę z okresu swego dzieciństwa jako człowieka, który nawet w wolną sobotę od rana „stukął na maszynie”. Wspominał też wspólne niedzielne spacerować z tatą na łonie natury. – Ojciec był zawsze człowiekiem dość zamkniętym w sobie. Na tych spacerach się otwierał i rozmawialiśmy na różne tematy. To mnie bardzo kształtowało – zwierzył się ze wspomnień.

Dotacje przyznane

Na zastrzyk finansowy w wysokości 1,686 mln koron mogą w tym roku liczyć polskie organizacje w Republice Czeskiej. W konkursie Ministerstwa Kultury RC na dotacje na działalność kulturalną mniejszości narodowych

wzięło udział 13 polskich projektów, 11 z nich zostało zaopiniowanych pozytywnie.

Kongres Polaków złożył w Ministerstwie Kultury tradycyjnie dwa projekty. Pierwszy dotyczy działalności Ośrodka Dokumentacyjnego KP, który otrzymał z Pragi 263 tys. koron. Na realizację drugiego projektu: „Tacy jesteśmy 2015 – inicjatywy kulturalne Kongresu Polaków w roku 2015” komisja przyznała 200 tys. koron. – To trochę mniej, niż się spodziewaliśmy. To chyba wynik trochę mniej przychylnych nam opinii, które w ostatnim czasie próbują szerzyć o nas niektóre środowiska zaolziańskie – powiedział nam prezes Kongresu, Józef Szymeczek. – Uważam jednak, że przyznana nam kwota wystarczy na realizację tegorocznych naszych działań – zapewnił nas Szymeczek.

Większy zastrzyk od Kongresu otrzymał w tym roku Polski Związek Kulturalno-Oświatowy. Ministerstwo kwotą 600 tys. koron dofinansuje projekt „Kulturalno-społeczne inicjatywy i działalność dokumentacyjna PZKO”, natomiast na 26. Festiwal PZKO 2015 resort przyznał dotację w wysokości 350 tys. koron.

Jest trzeci tom „Leksykonu Polaków”

W środę 18 marca w siedzibie Kongresu Polaków w RC odbyła się promocja III tomu „Leksykonu Polaków w Republice Czeskiej i Republice Słowackiej”. W uroczystości wzięł udział Józef Szymeczek, prezes Kongresu Polaków w RC, a także autorzy „Leksykonu”, prof. Zenon Jasiński oraz prof. Bogdan Cimała.

Najnowsze wydawnictwo Instytutu Nauk Pedagogicznych Uniwersytetu Opolskiego ukazało się jeszcze w 2014 r., jednak do rąk czytelników trafia dopiero teraz. – Naszą główną intencją było, by w ramach tego wydawnictwa przedstawić kompletne i uporządkowane informacje dające jak najpełniejszy obraz życia Polaków w Republice Czeskiej i Słowackiej – mówił prof. Jasiński. – Każdemu z trzech tomów staraliśmy się nadać szczególny charakter, poświęcając sporo miejsca wybranej grupie i wybranym problemom. I tak najnowszy tom „Leksykonu” w bardzo szerokim zakresie prezentuje dorobek lekarzy wywodzących się z Zaolzia. Pokazujemy w nim także wielu inżynierów ze Śląska Cieszyńskiego. Często nie zdajemy sobie sprawy, jak duża to grupa. Ponadto staraliśmy się odrobić to, za co krytykowano nas po opublikowaniu drugiego tomu „Leksykonu”, czyli tym razem sporo piszemy także o Polakach żyjących na Słowacji – mówił naukowiec.

Jednym zdaniem

■ Janusz Konieczny pochodzący z Wędrzyn, a mieszkający obecnie w Pradze, będzie bronił interesów polskiej prasy mniejszościowej w komisji dotacyjnej ds. mediów mniejszościowych przy czeskim Ministerstwie Kultury.

■ W dniach 11 i 12 marca w Czeskim Cieszynie odbyły się eliminacje XIV Festiwalu Piosenki Dziecięcej. Finaliści zmierzają na koncercie, który odbędzie się 18 kwietnia w Domu Kultury Petra Bezruča w Hawierzowie.

■ Na walnym zebraniu sprawozdawczo-wyborczym spotkali się 18 marca członkowie Stowarzyszenia Przyjaciół Polskiej Książki. Podsumowano działalność w roku 2014 i wybrano nowego zarząd SPPK. Będzie on pracował w składzie: Helena Legowicz – prezes oraz Jan Kubiczek, Ewa Sikora, Anna Pomykać i Zenon Wirth.

■ W czeskojęzycznej kawiarni „Avion” odbył się 19 marca wieczór autorski Jerzego Kronholda. Poetę i dyplomatę zaprosiła poetka Renata Putzlicher. Ostatnio ukazały się dwie książki Kronholda: „Wiersze wybrane” i „Szlak jedwabny”.

■ Jakimi mitami żyją Polacy i Czesi i jak zmieniły się one na tle najnowszej historii? O tym rozmawiali 20 marca w czeskojęzycznym „Avionie” dyplomata, dziennikarz i tłumacz czeskiej literatury, Andrzej Jagodziński, oraz dziennikarz, publicysta, prof. New York University w Pradze, Tomáš Vrba. Okazją do debatowania na ten te-

mat był kolejny salon dyskusyjny z cyklu „Bez stereotypów. Polacy i Czesi o sobie nawzajem”.

■ W Galerii „Pod Wieżą” Miejskiego Centrum Informacyjnego na rynku Masaryka w Karwinie-Frysztacie można oglądać wystawę rysunków Stanisława Waszka. Jest to kolejna prezentacja inżyniera architekta, którego oczarował rysunek piórkiem i ołówkiem.

■ Władze Czeskiego Cieszyna doceniły w przeddzień Dnia Nauczyciela (obchodzony jest w RC 28 marca) pracę i zaangażowanie jedenaśtu pedagogów czeskojęzycznych szkół. Wśród nich znalazło się troje polskich nauczycieli – Renata Dobner z Polskiej Szkoły Podstawowej, Zbigniew Kujawa z Polskiego Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego oraz Jadwiga Feber z Podstawowej Szkoły Artystycznej im. Pawła Kalety.

■ Zaolzie ma swoją Kobiętę Regionu. Jest nią Małgorzata Rakowska z Czeskiego Cieszyna, która zdobyła najwięcej głosów w konkursie ogłoszonym przez spółkę Prime Communications.

■ Dlaczego pasterze muzykowali na halach, jak powstawały dawne piszczałki pasterskie i czy w Karpatach istnieją typowe instrumenty góralskie? Odpowiedzi m.in. na te pytania usłyszeć uczestnicy międzynarodowego seminarium pt. „Muzyka Karpat”. Zorganizowała je 7 marca w Łomnej Górnej Spółka Koliba i Ognisko Góralskie Śląskiego Związku Podhalan z Koszarzyšk.

Anekdoty

HENRYK BZDOK

Leon Dołżycki, artysta malarz, w latach pięćdziesiątych został dziekanem Wydziału Grafiki Propagandowej krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach, a w 1959 roku zdobył zaszczytny tytuł profesora zwyczajnego.

Był postacią wzbudzającą szacunek i poważanie.

Mówił krótkimi zdaniami, wyraźnie akcentował przerwy między słowami, słowa zaś wymawiał jakby szybko.

Najkrótszym niezapomnianym dźwiękiem, jaki wydał przy potknięciu się na schodach, rozkładając ręce jakby do lotu, było pełne lekku ale i ulgi po uzyskaniu równowagi – przeciągle: „Uuuf...”

Chwila ta dla wielu z nas, będących świadkami tej sceny pozostała niezapomniana.

Demonstrowaliśmy ją potem, tym co tego nie widzieli.

Miałem szczęście być przyjętym do pracowni profesora, to wydawało się być wygraną losu...

Po pół roku jednakże zasugerowano mi bym przeniósł się do innej pracowni, byłem pewien że miały na to wpływ „studenckie wygłupy”...

Kiedyś bowiem m.in. urządziliśmy james session na instrumentach wziętych z martwych natur, w bliskim sąsiedztwie pracowni graficz-



nej, co spowodowało wizytę wzbudzającego respekt profesora Raka – i takie jego spojrzenie na moją słówkę, że zamarłem, bo należało się spodziewać najgorszego.

Byłem także pewien, że jestem niegodny tej pracowni.

Minęły lata i dowiedziałem się, że zostałem wylany za antysemityzm, uczucie mi obce a do tego nieznane w moim otoczeniu.

Dopiero potem dotarłem do źródeł, wykryto gwiazdy Dawida na odwrotnej stronie płócien Jurka Sajdaka, po wnikliwym śledztwie wyloniono mnie jako autora.

Tak, ja rysowałem te gwiazdy Jurkowi wszak miał on taki nos, że sam się o to prosił, i tyle...

Kiedy profesor Dołżycki później zachorował, studenci jego pracowni wraz z panią asystent Haliną A. odwiedzili go...

I jak to w takiej atmosferze bywa, rozmawiano o wszystkim i o niczym, do chwili gdy student Jacek Kordowski wyjął z teczki i pochwalil się „skarbem”, który udało mu się nabyć na „pchlim targu”... numerowane litografie Henri de Toulouse-Lautrec’a... po prostu cymes, perełki... fart nieprawdopodobny... no więc nosił ten skarb zawsze ze sobą i cieszył się nim, jak dziecko.

Dołżycki zachwycił się także „Ach, wspa-ności”...

Pani asystent na to: „Bo my Profesorze właśnie to przynieśliśmy panu w prezencie”.

Nooo dzięki, dzięki – odrzekł obdarowany. Jacek nie śmiał zaprzeczyć, milczał i cierpiał w skrytości.

Po wyjściu od dziekana, asystent A. powiedziała: „Och, panie Jacku, ja to panu wynagrodzę”.

Po kilku tygodniach, owszem, podarowała mu... komplet dziecięcych plakatówek.

Obstrykałem już prawie wszystko i zastanawiając się nad kolejnym miejscem jeszcze przez obiektyw nie widzianym, gdy zostałem zapytany przez kolegę Jacka Laskowskiego czy mam ochotę na „Palaćinki s malinami a šlehačkou”. Nie wiedziałem „jak się to ma” (bo „technika tak ma” w reklamach TV) ale wiedziałem, że chodzi o Czechy.

No i pomknęliśmy w bliski bratni kraj, by zasiąść w miłej knajpce, gdzie nie zdziwiłby nas za stołem siedzący Szwajk, w której zamawiając „palacinki” otrzymuje się pięknie podane naleśniki z malinami i bitą śmietaną.

Kiedy o tym opowiadałem Józkwowi Krupie – wielokrotnie obecnemu w mych anegdotach – scenografowi TVP Katowice, ten także mi przytoczył wspomnienie:

Było to chyba w 1967 roku. Współpracowaliśmy z Telewizją Ostrawa. Oni zrobili program rozrywkowy u nas, a my u nich. Wtedy ich sytuacja gospodarcza była lepsza niż nasza. Opłacił nam się ten wyjazd do Ostrawy, bo zarobiliśmy trochę koron. Kupowaliśmy tam u nas niedostępne artykuły. Z reżyserem Włodkiem Gawrońskim byłem w jakimś domu towarowym i szukałem odpowiednich towarów. Włodek odzywał się raczej po czesku, bo doskonale znał ten język z czasów studiów w Pradze. Polakom tu niechętnie coś sprzedawano. W pewnym momencie odezwałem się po polsku do ekspedientki: „ja szukam”... Włodek mnie szturchał i przeproszał panią... A ja nie wiedziałem, że tym zwrotem uprawiam z nią seks.

Zajrzałem do Internetu by wzbogacić swą wiedzę w zakresie zabawnych „nieporozumień” polsko-czeskich i tak:

„Odbyt” to po polsku dział zbytu, zaś „Porucha w odbycie” to tylko awaria w dziale zbytu. „Ruchadlo” to po prostu plug, a awaria pluga: „porucha na ruchadle”.

Kiedy zaś w autobusie usłyszymy: „Kto ne ma listka w zadu?” To kontroler pyta jedynie o bilety pasażerów siedzących z tyłu. Tamże czytam o Czechu, który przyjechał do pracy w polskiej firmie – siedział w sekretariacie i czekał na dyrektora. Nagle weszła sekretarka i mówi, że szuka szefa. Zbulwersowany Czech zadzwonił potem do swojej żony, że w tak katolickim kraju sekretarka nie tylko robi „to” z szefem, ale jeszcze głośno o tym opowiada!

I stało się jasne, dlaczego grafik Jan Mandrek niegdyś w czasie studenckiej wycieczki po Pradze, „dostał w pysk” od czeskiej znajomej kiedy jej oświadczył, że bardzo długo jej szukał.

I na koniec: „Chyba” to błąd. „Divan” – kanapa. „Jagoda” – to truskawka. „Zakonnik” – kodeks prawny. „Sklep” to piwnica, a „piwnica” oznacza piwiarnię, nawet położoną na wyższym piętrze. „Odchody” autobusu oznaczają odjazdy. „Momentalnie nieprzytomny” oznacza chwilowo nieobecnego, a „napad” to pomysł.

... i to jest mój „napad o anekdoty”.



Wątróbkę się soli na końcu

JAROSŁAW STARZYK

Słońce wywabilo mnie na naszą ławeczkę na skwerku przed blokiem. Byłem sam. Profesor nadal pisał artykuł. Nasz osiedlowy biznesmen pojechał gdzieś w sprawie autorsingu – cokolwiek to znaczy (nie chcę nawet wiedzieć, jak się to pisze). W chaosie mojej biblioteki odkryłem parę dni temu powieść Jirzego Jirotki *Saturnin*. O tej uroczej książce mogliśmy godzinami rozmawiać z moim przyjaciелеm z Czech i zaśmiewać się przypominając sobie rozmaite fragmenty. Powieść została u nas wydana w roku 1958. Zastanawiałem się przez chwilę, dlaczego nikt nie wznowi tej historii o niezwyklej służącym zatrudnionym przez młodego człowieka z przedwojennej Pragi. A potem pogrążyłem się w lekturze. Niestety, na skwer wkroczyły dziatki i zajęły przeciwległą ławkę po drugiej stronie klombu. Dwie panienki i trzech kawalerów w wieku 14, może 16 lat. Dziaatki usiadły oczywiście na oparciu, buty umieściły na siedzeniu. I podjęły ożywioną konwersację. Zaczęło się od wątróbki, która – jak przekonywał jeden z młodzieńców – może być zaje..., jeśli się ją odpowiednio przyrządzi. Cebulkę należy podsmażyć oddzielnie, a solić wszystko na końcu. Mijały minuty, a ja wciąż dowiadywałem się, ile jest na tym świecie rzeczy zaje... I utwierdzałem się w tym, że absolutnie popieram pana profesora Jana Miodka, który nie lubi tego słowa na „z”. Mnie też bardzo razi. Dziaatki, ku mojej uldze, poszły, wprawdzie nie pod słup na wzgórek, tylko za śmietnik (tam ich nie widać z okien bloku), żeby sobie zapalić papierosy, które im wbrew prawu sprzedano.

Wróciłem do czytania. Wtedy pojawiła się młoda mama. Wypuszczone z wózka dziecię zaczęło walić swoją rodzicielkę gdzie popadnie plastikowym autkiem.

– Jacusiu, nie bij mamusi – postulowała napastowana. Bez skutku.

– Jacusiu, mamusię to boli.

Nic.

– Jacusiu, grzeczne dzieci nikogo nie biją – usiłowała wychowywać potomka cierpliwa mama. – Jacusiu...

Chłopczyk nie był grzecznym dzieckiem.

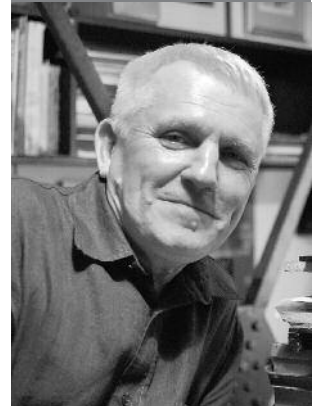
– Jacusiu, mamusia będzie miała siniaki...

Miałem ochotę jej poradzić, żeby zadzwoniła na jakąś błękitną linię, ale dzięki bogatemu doświadczeniu życiowemu wiedziałem, że podobne uwagi są z reguły źle przyjmowane przez rodziców, zwłaszcza wychowujących dzieci bezstresowo. Poszedłem więc ze swoją książką do naszej osiedlowej kawiarni. Usiadłem w sali dla palących, do której młodociani nie mają wstępu. Johnny (nadal nie wiemy, dlaczego tak go nazywają jego znajomi) przyniósł mi piwo z małego browaru, podobno bardzo dobre. Złe nie było. Otwarłem książkę, żeby rozkoszować się filipiką doktora Vlacha, skierowaną przeciwko tzw. fachowcom, którzy są niezbitym dowodem na upadek rzemiosła. Chyba należę do pechowców, bo wydaje mi się, że najczęściej takich spotykam na swojej drodze życiowej. Chciałem możliwie szybko dotrzeć do pointy wielkiego monologu trochę zrzedliwego doktora. Wreszcie przeczytałem, co rzekł Vlach po bliskim spotkaniu z pewnym stolarzem:

– Nie życzę nikomu nic złego – rzekł na zakończenie doktor Vlach. – I nie szukam podniety w postaci dramatycznych widowisk, ale gdybym się dowiedział, że zgodnie z niesłusznie zapomnianym zwyczajem z czasów śp. Karola IV, będą owego majstra topić w koszu w rzece Weltawie, wybrałbym się tam już rano, żeby zapewnić sobie miejsce tuż obok bariery.

No i co? Mogą książki działać antydepresyjnie?

Redakcja miesięcznika „Śląsk” wkraczając w 20. rok istnienia, pragnie z tej okazji sprezentować Czytelnikom publikowaną co miesiąc „Kolekcję jubileuszową”. Składają się na nią grafiki i malarstwo wielu znakomitych artystów z regionu śląskiego.



Jan Szmatoch

Urodzony w 1950 roku w Rudzie Śląskiej. Absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie na Wydziale Grafiki w Katowicach. Dyplom w Pracowni Projektowania Graficznego u doc. Tadeusza Grabowskiego. Od 1974 roku pedagog w tejże uczelni, a obecnie Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach. Pracuje w Katedrze Grafiki Warsztatowej, gdzie kieruje pracownią Druku Wklęsłego. Od 1990 roku jest profesorem nadzwyczajnym sztuk pięknych. Uprawia grafikę warsztatową: akwaforta i akwatinta oraz rysunek.

Główne cykle graficzne: „Okna”, „Zwrotnice”, „bez adresu”, „Martwe natury”, „Skarpy”, „Kalendarz śląski”. Laureat kilkunastu nagród na konkursach graficznych w kraju i za granicą. Autor kilkudziesięciu wystaw indywidualnych, uczestnik licznych wystaw zbiorowych. Mieszka w Chorzowie.



Jan Szmatoch, *Okno IVC*, 1979, akwaforta, collage, 21,5 x 15,5

BILETY ON-LINE

TEATRŚLAŃSKI.PL



TEATR ŚLAŃSKI

CZARNY OGRÓD

WARIACJA SCENICZNA NA MOTYWACH KSIĄŻKI
MAŁGORZATY SZEJNERT

—
SCENARIUSZ
KRZYSZTOF KOPKA

—
REŻYSERIA
JACEK GŁOMB



PRAPREMIERA

17.04.2015

DUŻA SCENA

Pracownia scenopisarska
Małgorzaty Szejnert w Katowicach
F. Skarżyński i in.



150 lat



Śląskie
Teatr w regionie



DZIENNIK
ZACHODNI

